

2000 MAR 07

002

Bachus
w
kontuszu

SPOŁECZNY KOMITET PRZECIWALKOHOŁOWY
STOWARZYSZENIE WYŻSZEJ UŻYTECZNOŚCI
Zarząd Główny w Warszawie

CIECHANOWSKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE

Na miejscu

228979

HORIZON

GRZEGORZ GODLEWSKI

Bachus **w** **kontuszu**

Z DZIEJÓW MOTYWU
ALKOHOLU
W LITERATURZE
POLSKIEJ

Ciechanów 1989



14.05.72 III

WPROWADZENIE

Tysiące stron zapisano na temat natury relacji łączącej literaturę z rzeczywistością, nie wymyślono wszakże formuły efektowniejszej od tej, którą w motcie do jednego z rozdziałów Czerwonego i czarnego podał Stendhal: „Literatura to zwierciadło, które przechadza się po gościńcu”. Choć metafora zwierciadła pojawia się w refleksji nad literaturą znacznie wcześniej — po raz pierwszy bodaj u Platona — to rozwinięcie dokonane przez Stendhala odsłania jej nowy sens. Gościniec bowiem to miejsce szczególne: miejsce, w którym krzyżują się drogi ludzi z różnych stron i z różnych piętrowości budowli społecznej, miejsce niweczące wszelkie pozory i iluzje, odsłaniające kształty najpowszedniejszych doświadczeń, miejsce, w którym ujawniają się — gdzie indziej głęboko skrywane lub przemilczane — rzeczy wstydlive, małe, brudne, słowem: kurz i pył gościńca...

Choć w różnych epokach różnie pojmowano zadania i funkcje literatury, rozmaite sprawy uznawano za godne artystycznego wizerunku — w spuściźnie dawniejszych i bliższych wieków nietrudno odnaleźć odzwierciedlenie „prawdy gościńca”, na który wyruszano niekiedy wbrew panującym kanonom estetycznym, zgodnie z elementarnym instynktem pisarskim.

Istotnym składnikiem owej „prawdy gościńca”, często usuwanej w cień w toku historycznych czy historycznoliterackich idealizacji, jest prawda o alkoholu, o jego obecności w życiu, kulturze i obyczajach Polaków. Przedsiębiorząc w tej książce wycieczkę po literaturze polskiej w poszukiwaniu śladów jej „przygód z Bachusem”, nie od rzeczy więc będzie przyjąć ową Stendhalowską formułę za dewizę.

Literacka dokumentacja tego zjawiska okazuje się nadspodziewanie bogata. Oto choćby rodzima tradycja bachiczna utrwaliła się w zwierciadle literatury tak wszechstronnie i wyraziście, że bez świadectw tam zawartych nie może się obejść bodaj żadna kronika dawnych obyczajów. Stąd też zamiar zgromadzenia wszystkich czy nawet większości śladów motywu alkoholu w literaturze polskiej byłby z góry skazany na niepowodzenie. Podejmując próbę prześledzenia dziejów tego motywu, zmuszony byłem poprzestawać na przykładach,

które wydały mi się najistotniejsze czy najcelniejsze, świadom w dodatku ryzyka, że do wielu innych — być może nie mniej ważnych — nie zdołałem dotrzeć. Ryzyka tego nie sposób było uniknąć, zważywszy, że teren to rzadko przez historyków literatury odwiedzany, a i to zazwyczaj okazjonalnie i fragmentarycznie (źródła i studia, którym zawdzięczam najwięcej, odnotowuję w zamykającej książkę bibliografię).

Praca ta jest więc w istocie wstępnym rozpoznaniem owego terytorium, próbą nakreślenia jego mapy w skali na tyle dużej, by objąć — przynajmniej w najogólniejszych rysach — możliwie rozległy obszar literatury: od średniowiecznych pierwocin po dorobek dwudziestolecia międzywojennego. Zamknięcie realcji na progu współczesności podyktowane było zarówno obawą przed nadmiernym jej rozrostem, jak też chęcią zachowania historycznej perspektywy, umożliwiającej, prowizoryczne choćby, uporządkowanie rejestrowanych zjawisk. Układ książki zachowuje więc rytm następstwa epok historycznoliterackich, chociaż kto wie, czy nie bardziej interesujące byłoby zbadanie związków funkcjonalnych między dokonaniem literackimi różnych okresów. Zakres i sposoby walki z pijaństwem w literaturze staropolskiej, oświeceniowej i pozytywistycznej, „metafizyka alkoholu” w romantyzmie, modernizmie i dwudziestolecu, formy i funkcję twórczości bachicznej w kolejnych epokach — to pierwsze nasuwające się przykłady tropów biegnących ponad barierami chronologii. Wyruszając na rekonesans — a tym przecież jest ta książka — bezpieczniej wszakże zawierzyć metodom znanym i sprawdzonym, zwłaszcza że i porównywanie współczesnych sobie świadectw literackich nie wydaje się zajęciem jałowym. Przeciwnie, pozwala niekiedy dostrzec wewnętrzne sprzeczności tej czy innej formacji literackiej, kulminujące w szeregu spięć polemicznych, czy, z drugiej strony, trwałość pewnych wątków, które — jak choćby sarmacki styl biesiadny — żyją w literaturze znacznie dłużej niż epoka, która je zrodziła.

I wreszcie — sprawa bodaj najważniejsza. Nie jest moim zamiarem wierne odtwarzanie rzeczywistości historycznej, z której przywoływane tu utwory wyrastają i którą we właściwy sobie sposób opisują, sporządzona jedynie na podstawie danych literackich dokumentacja obecności alkoholu w życiu Polaków minionych epok. Przede wszystkim dlatego, że literatura, choć bywa niezastąpionym źródłem wiedzy o przeszłości, żadną miarą nie może być traktowana jako źródło samowystarczalne. Liczne kroniki dawnych obyczajów, wykorzystujące bogaty rejestr ściśle historycznych źródeł i dokumentów, przynoszą obraz daleko pełniejszy i dokładniejszy od tego, który mogłaby dostarczyć najgruntowniej nawet przebadana tradycja literacka. Do nich więc odsyłam zainteresowanego Czytelnika, nie kryjąc, że i tego rodzaju prace (ich wybór mieści załączona bibliografia) na swój sposób spożytkowałem.

Literatura nie może służyć za bezpośrednie i samoistne świadectwo rzeczywistości historycznej z innego jeszcze względu. Będąc zwierciadłem, rzadko

bowiem bywa zwierciadłem obojętnym: zniekształca, zmienia proporcje, idealizuje, ośmiesza, w sam obraz wpisując autorskie emocje i sądy na temat tego, co portretowane. Mówi nie tylko i nie tyle o tym, jak ludzie żyli, ile raczej o tym, co myśleli o swym życiu, jak pragnęli je widzieć, kształtować, zmieniać. Towarzyszy swej epoce przedstawiając jej autowizerunek, co więcej, usiłuje — z różnym powodzeniem — projektować go, modelować wedle wzorca uznanego za najwłaściwszy. I w tej właśnie roli — roli dla niej najwiarygodniejszej — powołuje literaturę na świadka przeszłości: jako zapis historycznie zmiennego stosunku człowieka do problemu alkoholu, jego roli w kulturze i obyczaju, jako wyraz znamienych dla swego czasu postaw i dążeń w tej dziedzinie.

Ale twórczość literacka — jako domena twórczości właśnie — zwykła nie tylko służyć rzeczywistości, na swój sposób ją odtwarzać, ale i stwarzać, budować z jej elementów własne imaginacyjne światy. Zaczerpnięte stamtąd motywy — w tym również motywy zgrupowane wokół szeroko pojętego problemu alkoholu — bywają środkiem ekspresji artystycznej, tworzywem metafor i symboli, którymi żywią się wizyjne obrazy, intuicje filozoficzne, przesłania moralne. Choć sposób wykorzystania tych motywów często odbiega daleko od ich pierwotnego, realnego sensu, to przecież sama różnorodność tych sposobów, pojemność motywu alkoholu, podatność na wielorakie przekształcenia estetyczne świadczą o jego kulturowej istotności i choćby dlatego warte są uwagi.

Z tych właśnie względów wiele obiecujący tytuł książki „Bachus w kontuszu” opatrzony być musiał podtytułem „Z dziejów motywu alkoholu w literaturze polskiej”. Podtytuł ten zawęży pole obserwacji, ograniczając je do specyficznie literackiego sensu podjętego tematu, do tych wymiarów świadectwa udzielanego przez literaturę, które respektują jej swoistość. Ale perspektywa ta jednocześnie nakłada na piszącego nowe obowiązki. Do Czytelnika, oczywiście, należy osąd, na ile autor zdołał im sprostać, choć już teraz można stwierdzić, że wiele rysujących się problemów interpretacyjnych zostało jedynie zasygnalizowanych, postawionych raczej niż rozwiązanych.

Zapraszając zatem do wycieczki po literaturze polskiej zgodnie z tak wytyczoną marszrutą, chciałbym jeszcze odnotować, że pierwowzór tej książki od nowa na jej użytek opracowany, stanowił cykl artykułów, którego pomysłodawcą był red. Jan Brodzki, a który w latach 1979–1981 ukazywał się na łamach „Problemów Alkoholizmu”.

BACHUS W KONTUSZU: INTRONIZACJA

*„...zapomnię wszystkiego, co sławie przystoi,
Kiedy je wielki hetman, pan Bachus, przystroi...”*

Mikołaj Rej

Sięgając do początków literatury polskiej w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, kiedy Bachus został intronizowany jako patron staropolskich uciech biesiadnych, chciałoby się rozpocząć od efektownego stwierdzenia: „Już starożytni Polacy...” Skłaniać do tego mogłaby nie tylko tendencja części współczesnej publicystyki historycznej, uznającej całą kulturę Polski szlacheckiej za źródło dzisiejszych wad narodowych, ale również autorytet Ignacego Krasickiego, który w „Myszeidos” tak oto odmalował początki naszych dziejów:

„Z miodu się pierwszy Piast, książę, wylęga
(.)
Trunkiem się wielkie dusze upodlały:
Leszków i Mieszków on na złe przemienił...”

Tymczasem w konfrontacji z prawdą historyczną zarówno werwa rodzi-
mych Zoilów, jak i temperament satyryczny Krasickiego okazują się przesad-
ne. Choć alkohol znany był na ziemiach polskich już w okresie wczesnopia-
stowskim, długo jeszcze nie stanowił problemu społecznego. Aż do XVI wie-
ku bowiem prawo wyłączności na polskich stołach miały piwo i miód, trunki
nie najmocniejsze, a często nawet słabsze od dzisiejszych ich postaci. „Śred-
niowiecze polskie — pisze Aleksander Gieysztor — stało pod znakiem piwa
(...). Rozładowywało ono napięcie psychiczne, stanowiło jedną z podstaw
obyczaju towarzyskiego, mogło także prowadzić do nadużyć zdrowotnych i
wyskoków indywidualnych.

Nie słyhać jednak, aby było powodem jakichś szerszych, niekorzystnych
zjawisk społecznych. Przeciwnie, w odczuciu ówczesnych ludzi — jak świad-
czą źródła historyczne od kronik po rachunki gospodarskie — piwo należało
do fundamentów codziennej konsumpcji żywnościowej, podobnie jak wino w
krajach Europy południowej. „Sytuacja ta poczęła ulegać zmianie dopiero
około wieku XVI, wraz z rozwojem gorzelnictwa oraz importu wina, dotąd
używanego niemal wyłącznie w liturgii chrześcijańskiej.

Wprowadzenie tych trunków, gwałtowniej skutkujących, więc i łatwiej prowadzących do nadużyć, nie dokonało się wszakże bez oporów: jeszcze w późniejszych wiekach spotykały się one, także w literaturze, z licznymi głosami sprzeciwu, deklarującymi zarazem przywiązanie do tradycyjnych napitków, tracących z wolna popularność.

Póki co jednak nie wymagały one obrony: panowały niepodzielnie, a wraz z nimi — i stosownie do ich charakteru — łagodny styl raczenia się alkoholem, nie budzący zrazu żadnych zastrzeżeń. Można się o tym przekonać sięgając do wiersza „O zachowaniu się przy stole”, jednego z najstarszych świeckich zabytków literackich. W utworze tym, będącym w istocie średniowiecznym podręcznikiem biesiadnego savoir vivre'u, autor podpisujący się jako Słota wytyka uczującym lekceważenie dobrych obyczajów, grubiaństwo, łapczywość, brak higieny, nawołuje do respektowania przy stole hierarchii odpowiadającej godności biesiadników — ani słowem jednak nie wspomina o kulturze picia. Na tle skrupulatności innych wskazań przemilczenie tej kwestii musi świadczyć jeśli nie o wstrzymaniu, to przynajmniej o tym, że przesada w piciu rzadko zakłócała przebieg ówczesnych uczt.

Tym natomiast, co rzeczywiście poczęło budzić oburzenie, były praktyki mnożących się fałszerzy trunków. Niedwuznaczne groźby pod ich adresem wygłasza Śmierć, interlokutorka Mistrza Polikarpa z XV-wiecznego dialogu. Pośród różnego autoramentu grzeszników, którym obiecuje jednaką zapłatę, znajdują się i karczmarze, którzy napełniają swe mieszki dzięki temu, że „źle piwa dają”. Z czasem, gdy upowszechnią się trunki bardziej od piwa wyszukane — a zatem i trudniejsze do zdobycia czy wyprodukowania — rozpowszechni się również plaga fałszerstw, na które satyra staropolska reagować będzie z niezmiennym oburzeniem.

W tymże samym dialogu, literackim odpowiedniku „tańca śmierci”, wobec którego wszyscy stają się równi, a bezkarnym dotąd grzesznikom wymierzona zostaje sprawiedliwość, znajdujemy taką oto wypowiedź:

„Kanonicy i proboszcze
Będą w mojej szkole jeszcze
I plebani z mięsą szyją,
Jiżto barzo piwo piją
I pogardlki na piersiach wieszają...”

Okazuje się więc, że panująca w średniowieczu norma tolerancji dla używających alkoholu miała jednak wyjątki. To, co dozwolone w świeckim życiu towarzyskim, musiało razić w odniesieniu do tych, których powołaniem było głoszenie ewangelicznego ubóstwa i powściągliwości. Znamienne, że w okresie, kiedy krytyka duchowieństwa należała jeszcze do rzadkości — już wkrótce, pod wpływem promieniowania idei reformacji, zmieni się to radykalnie — wśród nielicznych zachowanych jej przejawów gros dotyczy właśnie nadużywania alkoholu; widać, że rodzić się zaczęła społeczna wrażliwość na tę

kwestię. Potwierdzeniem tego może być „Satyra na księży”, zapisana w traktacie teologicznym (!) z XV wieku:

„Kapłanie, chcesz polepszyć dusze swej,
Nie mów często: »Piwa nalej« —
Boć piwo jest dziwny olej.
Więc z nich kłamają chlopi,
Arzekąc: »szaleni są popi«.”

Osobne zjawisko stanowią proto-bachiczne zabytki wierszowane, notowane przez średniowiecznych kopistów na marginesach i w zakończeniach kodeksów, traktatów czy zbiorów kazań — jak choćby te dwuwiersze, zaczerpnięte z XV-wiecznych rękopisów:

„Dum bibo piwo,
Stat mihi kolano krzywo.”
„Przeto źle napisano,
Eże mało piwa w dzbanie imiano.”

Wierszyki te, podobnie jak wiele innych epigramatów i aforyzmów o podobnym pochodzeniu, stanowią pierwotny wyraz kultury plebejskiej, spontanicznie przełamującej sztywność literatury oficjalnej, która, skrzepowana licznymi ograniczeniami, zamknięta była na wiele tematów płynących z doświadczeń powszedniego życia.

Zresztą wraz z nadejściem Odrodzenia, epoki humanistycznej odnowy, literatura coraz chętniej podejmowała tematy bachiczne — jako jedne z tych, które renesansowa przemiana włączyła w obieg kultury oficjalnej zgodnie z Terencjuszowską zasadą humanizmu pełni. Twórcami kultury tego okresu byli głównie dworzanie, dostojnicy kościelni i świeccy, którzy ze względów towarzyskich, a nierzadko i „profesjonalnych” uczestniczyli w licznych ucztach, coraz częściej zakrapianych trunkami będącymi novum na ziemiach polskich: sprowadzanymi z krajów południowych winami i gorzałką. Przemianie obyczaju towarzyszy tu otwarcie literatury na rozliczne cienie i blaski kondycji ludzkiej, których ujawnieniu sprzyjały niewątpliwie okazje biesiadne, wprowadzające nastrój nieskrępowania, niwelujące przesady i różnice między ludźmi. Dzięki temu rodzi się poezja biesiadna, pełna ulotnych frazsek i zabawnych powiedzonek, w których komplement sąsiaduje z przycinaniem, a beztroski humor z melancholijną refleksją. W liczbie prekursorów tego nurtu znajdują się cudzoziemcy animatorzy polskiej kultury renesansowej — Kallimach i Celtes, którzy na marginesie swej „poważnej” działalności pozostawili wiele drobnych łacińskich wierszy biesiadnych, satyr i erotyków. Dla przykładu można tu przywołać wiersz Kallimacha „Do Jakuba z Bokszyca”, w którym autor składając hołd adresatowi (krakowskiemu profesorowi medycyny i teologii), jego rozumowi i gościnności, głosi zarazem pochwałę

umiarkowanych uciech przy stole, podczas których „myśl się rozpala winem, lecz się nie gmatwa pijana”, zaś

„Częsty żart z urokiem splata się słów
I nie ustają poważne rozmowy i rozważania.”

(*tłum. Kazimiera Jeżewska*)

Bezpośrednim kontynuatorem tej tematyki był dworzanin królewski, Andrzej Krzycki, piszący również po łacinie. Pisane z dużą swobodą wiersze służyły mu niekiedy jako oręż w rozgrywkach politycznych, a nawet w osobistych porachunkach. Zdarzało się, że chcąc okryć swych wrogów niesławą, nie wahał się oskarżać ich o niepomierne pijaństwo, nie licujące z noszoną przez nich godnością — jak w przypadku paszkwilu na Jana Łatańskiego, zwycięskiego rywala Krzyckiego w staraniach o biskupstwo krakowskie.

Hojnie obdzielając tego rodzaju inwektywami swych przeciwników, sam Krzycki należał do czołowych birbantów epoki — między innymi jako członek towarzystwa Bibones et Comedones (czyli, jak to barwnie tłumaczono, Opilców i Ożralców), założonego przez innego królewskiego dworzanina, Korybuta Koszyrskiego. Jemu to poświęcił Krzycki wiele utworów bachicznych, spośród których dosadnym humorem wyróżniają się „Testament Korybuta” i „Epitafium dla ojca szynków, Korybuta”, gdzie żywioł parodii splata się z brawurową pochwałą pijatyk:

„Żaden taki oprócz ciebie
Święty się nie zjawi w niebie
Ni w męczeństwie równy ci.
Ty bez chwili odpoczynku
W każdymś się rozwałił szynku
I wypijał kufli moc.
(.)
Bakchus za to cię przed czasem
Obdarował siwym włosem,
Wenus wrzodom Gallów znów.
(.)
Ze słomy wieniec Cypryda,
Z chmielu zasię wianek wyda
Tobie ojciec Bakchus sam.”

(*tłum. Edwin Jędrkiewicz*)

Utwory te należą do pierwszych przykładów pieśni pijackich, głoszących chwałę tych walorów alkoholu, które smakować można tylko odrzuciwszy wszelkie hamulce. Trudno byłoby jednak dopatrywać się w nich ściśle realistycznego odzwierciedlenia obyczajów, są raczej żartobliwą prowokacją wymierzoną przeciw światu przesadnych, a nie zawsze przestrzeganych norm moralnych i przeciwstawiającą im własne, równie przesadzone, anty-normy. Potwierdza to obecna u Krzyckiego, a spotykana i w późniejszych utworach tego typu, quasi-religijna stylizacja pieśni, balansująca na krawędzi profana-

cji, w czym zapewne tkwi pośredni wyrzut wobec niezbyt skrupulatnych co do swych obyczajów sług Kościoła. Przede wszystkim jednak dochodzi tu do głosu pierwiastek ludyczny, żywioł nieskrępowanej zabawy, w której każdy autorytet może stać się przedmiotem drwiny, humoru, nie pozbawionych niekiedy akcentów absurdalnych i groteskowych. Ta właśnie atmosfera panuje w „Pieśni o tym szlachetnym trunku, który po łacinie zową aqua vita, a po polsku gorzale wino”, utworze ze zbioru o wymownym tytule „Ludycje wieśne”. Jego anonimowy autor, głosząc uroki gorzałki, zdobywającej sobie coraz więcej zwolenników „tak w domiech jak w kościele”, nazywa ją „świętym lekarstwem” i uznaje za panaceum na wszelkie, cielesne i duchowe, schorzenia:

„Leczy ręce, nosy,
Na licu wszelkie zmayı,
France, zęby, kolikę,
Kordiakę.
Królestwa zachowuje,
W Moskwie, w Litwie panuje,
Miasta w Polsce buduje
Mocne wino.
(.)
K czemu ją przystosujesz,
Wielką w niej moc poczujesz,
Złego się uwiarujesz
I choroby.”

Długi pochód „zbawiennych” zastosowań kończy tu jednak przestroga, biorąca je wszystkie w nawias żartu:

„Boć wątrobę ususzy,
Na koniec cię udusi...”

Obok całego nurtu podobnej twórczości bachicznej — najczęściej zresztą anonimowej, o korzeniach plebejskich — coraz odważniej zaczęły odzywać się głosy utyskujące na zepsucie obyczajów, wyrosłe zazwyczaj z myśli i ducha reformacji. Jeden z nich należał do Marcina Bielskiego, który w swych satyrach przedstawił wszechstronną wiwisekcję społecznych bolączek. I tak jego „Sejm niewieści” — satyra wzorowana na Erazmiańskim „Senatulusie” — przynosi w jednym z „artykułów białogłowskich” wymowne obrazy awanturników i pijaków, połączone ze zdecydowanym żądaniem ograniczenia wyszynku:

„Wina i mocnych trunków by nie szynkowano,
Kto by je śmiał szynkować, by mu je zabrano;
Bo wnet chłopie szaleją, gdy sobie podpiją,
Zwłaszcza winem węgierskim albo małmaziją.

Rzadko chłop bywa trzeźwy, zawždy się popiją,
wstanie ku południowi, oczy mu zagniją;
Szatę zgniótl, ociera się, idzie do kościoła,
Twarz pijana, zapuchła, ujadła go pszczoła.
Gorzałki się opiją, śmierdzą nam przez skórę,
A wždy chcą mieć nad nami trzeźwiejszymi górę...”

Znamienne, że kwestia ta jako jedna z nielicznych przedstawiona została z całą powagą, przełamując kpiarski, przesycony antyfeminizmem ton utworu. Podobnych akcentów nie brak i w innych satyrach Bielskiego, a także w jego moralitecie „Komedyja Justyna i Konstancyje”. Pośród wielu personifikacji, służących typowej dla tego gatunku konfrontacji dobra i zła, pojawia się tu Bachus; jego pijacka oracja — w której szeroko wyzyskał Bielski mowę potoczną — nie pozostawia żadnych wątpliwości co do autorskiej oceny uosabianych przezeń cech. Podczas gdy u posługującego się jeszcze łaciną Krzyckiego Bachus wystylizowany jest na postać mitologiczną (także u Kochanowskiego, doskonale obeznanego z dziedzictwem starożytności), u Bielskiego pozbawiony zostaje swego antycznego rodowodu, zyskując w zamian rysy swojskie, rodzimy strój i upodobania. Znak to — potwierdzany później wielokroć — zadomowienia się tej postaci wśród motywów literackich Odrodzenia. Odziany już w kontusz, a nie w tunikę, stał się odtąd patronem staropolskich uciech biesiadnych, choć też wizerunek jego różnicował się stosownie do postaw zajmowanych przez portretujących go autorów.

Kolejny krok w kierunku polonizacji czy wręcz sarmatyzacji Bachusa czyni Mikołaj Rej, który obdarzając go mianem „wielkiego hetmana”, wprowadza niejako tę osobistość do panteonu szlacheckiego. Jednak nader liczne u Reja sceny hulanki, którym postać ta patronuje, wolne są zazwyczaj od klimatu swawolnej beztroski; przeciwnie, każą pamiętać, że panteon ów bywa czasem bliższy piekłu niżli niebu. Tak oto w „Kupcu”, kolejnym, obok „Komedyi Justyna i Konstancyje”, moralitecie renesansowym, bachiczne „zatrudnienia” są już po części dziełem podszeptów szatańskich. Jako że „Kupiec” daleko bardziej niż dramat Bielskiego odbiega od średniowiecznych tradycji tego gatunku, miejsce monotonnego pochodzenia rezonujących personifikacji, w tym i Bachusa, zajmują tu wyraziste postacie, mówiące zindywidualizowanym językiem i poruszające się w doskonale uchwyconej rodzimej scenarii. Wśród licznych scenek rodzajowych nie brakuje tu — zgodnie z krytyczną wobec katolicyzmu tendencją utworu — satyrycznych obrazów życia klasztornego (jakby zapowiadających „Monachomachie” Krasickiego), w którym piatyki należą do porządku dziennego. Tak Czart prawi o Mnichu:

„Wetgał się był do klasztoru
Wiedząc, iż tam beczka spora,
By proznując nie działał nic,
Jedno rozwiązawszy brzuch, pić.”

Ten zaś, zaskoczony przez posłańca śmierci, zdobywa się na taką jedynie odpowiedź:

„Milcz oto, lepiej nie szalej,
Radszej sobie piwa nalej.
Pijże sobie wlaższy na piec
A tych plotek więcej ni pleć.
(.)
Laus Deo, Sancto Francisco!
Wypilichmy piwo wszystko.
Kluczniku, po drugi idźi,
Jako się tej śmierci widzi.”

Ta ostrość krytycznego spojrzenia ma swe źródło w reformacyjnych sympatiach Reja, które z czasem doprowadziły go do otwarcie wyznawanego i propagowanego kalwinizmu. Wynikająca stąd bezkompromisowość pisarza, zwłaszcza w sferze walki z zepsuciem obyczajów duchownych i świeckich, stała się jednak — paradoksalnie — przyczyną niezbyt dobrej sławy wśród potomnych. Stało się tak w znacznej mierze za sprawą dziełka Józefa Wereszczyńskiego pod barwnym tytułem „Gościniec pewny niepomiernym moczymordom a obmierzłym wydrwikuflom do prawdziwego obaczenia a zabytków swych pohamowania...” Utwór ten, satyryczny opis upadków, których powodem jest grzech opilstwa, potraktowany został przez autora — kanonika, opata, a w końcu biskupa kijowskiego — jako polemika z Rejem-kalwinem. W tym celu przedstawił jego karykaturalny wizerunek („Jako polski poeta, Rej stary, rad dobrze pił i jadł...” — człowieka zepsutego, gustującego nad miarę w podłych trunkach i pustoszącego bezlitośnie piwnice podejmujących go gospodarzy. Wszystkie natomiast obrazy pijaństwa, jakich wiele zawierają utwory Reja, składają się — zdaniem Wereszczyńskiego — na wierny autoportret poety i jego niecných kompanów.

Z perspektywy czterech z górą wieków trudno pełnić rolę arbitra, trudno wyrokować, na ile wiedzę o piętnowanych przez siebie skłonnościach czerpał Rej z własnych doświadczeń, pewne jest jednak, że metoda, wedle której zobrazowane przez pisarza zło świadczyć ma o jego własnych grzechach, nie należy do najuczciwszych. Zwłaszcza, że temperament satyryczny, z jakim kreśli Rej scenki z życia opojów, pasja, z jaką formułuje wyrzuty wobec nich, nadają jego moralistycie znamiona autentyzmu. To satyryczne zacięcie zdradza już jeden z pierwszych jego utworów, zachowany jedynie w niewielkich fragmentach dialog „Kostyrz z Pijanicą”. Kwestia ta powraca rychło w „Krótkiej rozprawie między trzema osobami...” Również w dialogowej formie zawarł tu Rej szczegółowy wizerunek polskich stanów, dając przy okazji swą własną wizję naprawy Rzeczypospolitej. Pośród wielu przedstawionych tu bolączek zwraca Rej uwagę i na plagę pijaństwa, umieszczając taki na przykład portret „gamratów”:

„To się czasem na czczo spiją,
Łby sobie piwem pomyją,
Kompustem się popluskają,
A ostatek podrapają.”

Skutki tych zatrudnień kreśli jednoznacznie:

„Każdy to sowito płaci,
Zdrowie i pieniądze traci.
A to wszystko zbytki mnożą,
Niejednego tu w grób łożą.”

Pragnąc zaś ograniczyć przynajmniej materialne koszty tych skłonności, nawołuje do porzucenia drogiego win zagranicznych:

„A wedle starych kwotacyj:
Kto nie ma zacz, piwo pij.
Bo barzo z owego wina
Zamnoży się więc chudzina.”

Nie stroni przy tym i od subtelniejszej argumentacji:

„Wszakżeś Polak, dierz się swego
Seropu przyrodzonego.
I na tym się, co uwarzysz,
Natańcujesz i naswarzysz.”

Bogatą galerię próżniaków i opojów różnego autoramentu zawierają „Figliki”, pomyślane jako uzupełnienie „Zwierzyńca”, w którym zawarta została panorama ówczesnej Polski, urzędów i instytucji państwowych, wreszcie urzędów i czynności gospodarskich. „Figliki” uzupełniają humorem poważną tonację „Zwierzyńca”, ukazując niejako drugą, anegdotyczną stronę rzeczywistości. Zebrane tu „przypowieści przypadłe” to pozbawione zwykle moralistycznej oprawy komiczne obrazki z życia powszedniego, sięgające niekiedy najbardziej trywialnych czy wręcz ordynarnych jego przejawów. Wśród kilkuset facecji wiele jest takich, w których drwiącym, rubasznym śmiechem objęci zostają pijanice, leczący swe słabości przedziwnymi sposobami, wzniesający burdy podchmieleni awanturnicy, wreszcie duchowni, szukający wszędzie okazji do wypitki. Śmiech ten ma przede wszystkim wymiar ludyczny, stanowi reakcję na słowny, czy sytuacyjny komizm anegdoty, ale ośmieszając ludzi i ich skłonności określa zarazem sposób widzenia i oceny świata przez Reja, zdradza jego demaskatorskie intencje.

Intencje te w jawny sposób dojdą do głosu w „Apoftegmaty”, części wydanej przez Reja pod koniec życia „Zwierciadła”. Tworzywem, jak w

„Figlikach”, jest tu rozmaitość scenek rodzajowych, tak jednak uogólnionych, by mogły służyć za argument odautorskim komentarzom, układającym się w jednoznaczną tendencję moralistyczną. Bez ogródek szydzi Rej z pijaków, dla których schody stanowią zbyt trudną przeszkodę, szynkarzy oskarża o świadome rozpijanie klienteli i czerpanie nieuczciwych zysków, piętnuje wreszcie samą instytucję gospody, z której „wszyscy tyją”, bo „robią alchimią: z mądrych szalone, gdy piją”. Motyw szaleństwa jest zresztą częstym składnikiem pomieszczonych tu obrazów pijaństwa, bowiem najlepiej oddaje, zdaniem Reja, istotę przemiany, jakiej ulegają ludzie w karczmie:

„Tu się wnet odmieni głowa,
Krok, postawa, wzrok i mowa.
W tym gmachu rozum szychtują,
Na wywrot go wynicują.
Ten gmach siła ich zuboży
I mocarza z stolca złoży.
Tu w tym gmachu z mądrej głowy
Uczyni się łeb osłowy...”

Gdzie indziej Rej dokładniej jeszcze objaśnia sens tego porównania:

„Pijany mało z szalonym jest różny,
Bo w obudwu łeb płochy, ba, i próżny
(.)
Cóż na świecie ma być sprośniejszego,
Kto z siebie darmo czyni szalonego?
Szalony z mózgu nie tak winien bywa
Jako pijany, co chcąc ten dank miewa.
Nie wiem w pijanym czego nie dostaje,
Co właśnie ma być przy szalonym panie.
Pijany wrzeszczy, a co potka, drapie,
Tłucze się skacząc na szalonej szkapie...”

Szaleństwo zatem, w późniejszych epokach przypisywane niekiedy pijaństwu jako oznaka szczególnych doznań, wyzwalających od zahamowań i ograniczeń zdroworozsądkowych, przez Reja przywoływane jest w swej naturalistycznej, fizjologicznej wręcz postaci, jako obraz destrukcyjnego oddziaływania alkoholu.

Nie jedyne to skojarzenie wspomagające demaskatorskie zapędy Reja w tej materii. W tym samym wierszu, w którym autor opisuje, co w karczmach czynią z ludzi „szalonych łbów rzemieślnicy”, pojawia się taki oto dwuwiersz:

„Tu Cyrces swą gospodę ma
Co ludziom głowy odmienia.”

Tego samego, co uczyniła z towarzyszami Odysa owa mitologiczna czarodziejka, dokonuje zatem i alkohol: przemienia ludzi w wieprze. Trop ten wyzyskuje Rej wielokrotnie, bez oporów sięgając po dosadne określenia i drastyczne obrazy:

„Opilec nigdy nic dobrze nie czyni,
A w swych postępках podobny jest świni.
By był opilec w hatłasiech, we złocie,
Wnet jako świnia pluska się po błocie.
(.)
Pijany z miernem równa się bydłkiem:
Mogąc być wołem, czyni się cielęciem.
Patrz za pijanym gdzie z kąta, z przełaje,
Wszytki żwirzące najdziesz obyczaje:
Jako wilk wyje, jako cielę ryczy,
Jako gęś klekce, jako świnia kwiczy...”

Te „niepoetyckie” zgoła obrazy mogą się dziś wydawać cokolwiek ryzykowne, usprawiedliwia je wszakże zarówno właściwa Rejowi poetyka, bardzo bliska, i językowo, i obrazowo, treściom życia potocznego, jak też strategia dydaktyczna, upatrująca — nie bez podstaw — skuteczności swego oddziaływania w odrzynie, jaką mają budzić ukazane detale: cielesne konsekwencje pijatyki. Podobnych szczegółów znajdzie się zresztą u Reja więcej:

„Pijany śmierdzi, jako pies, przez ścianę,
Gdy skwarną miece a wieczorną pianę.”
„Pijany, gdy mu kęs w głowy uniżę,
Wnet go psi gołą, gdy mu gębę liżę...”
„Piwo gdy kiśnie, wnet wyrzuci wszystko;
Także pijany, aż nań patrzyć brzydko.”
„Słaby to rycerz, co tego poducha
Nie może zwalczyć, śmierdzącego brzucha.”

Charakterystyczne to dla staropolskiej fizjologii, że ośrodkiem zgubnych skłonności czyni nie głowę, a brzuch właśnie:

„A ty co rzeczesz, opily,
Coć już na poły brzuch zgniły,
Który prze twą świnia sprawę
Tracisz i rozum, i sławę?”

Ostatnie stwierdzenie naprowadza na trop innej jeszcze, różnej od ściśle cielesnej, argumentacji stosowanej przez Reja. W wierszu „Trzeźwy a pijanica”, z którego pochodzi większość przytoczonych tu fragmentów, głównym wątkiem staje się moralna strona nałogu. Siłę perswazyjną utworu potęguje rozpisanie tej kwestii na dwie tytułowe postawy, uogólnione, tym niemniej

wyraziste. Prezentowane naprzemiennie, oświeclają się nawzajem, co sprzyja dobitnemu wydobyciu walorów jednej i nędzy drugiej z nich:

„Pijany z trzeźwim barzo rozno chodzą:
W jednej gospodzie nigdy się nie zgodzą.
(.)
Pijany traci majątność i sławę,
Zdrowie, poćwiwość, każdą piękną sprawę.
(.)
Trzeźwość pomierna i zdrowia przedłuża,
Mieszka ni cnoty marnie nie zadłuża.
(.)
Dla pana brzucha, pana tak hojnego,
Siła nam ginie, co jest przystojnego.
Siła z trzeźwości pożytków przychodzi;
Marna ożarłość, ta nam na wszem szkodzi” itd.

Miary swego obrachunku z plagą pijaństwa dopełnia Rej w kolejnej części „Zwierciadła”, w „Przemowie krótkiej do poćwiwego Polaka stanu rycerskiego”. Ucieka się tu do innych sposobów nakłaniania rodaków do wstrzeźmiwości, apelując do ich dumy narodowej i uczuć patriotycznych. Nakreśliwszy pokrótce sytuację panującą w innych krajach, „tam, kędy się kochają w zacnych obyczajach”, biada nad powszechnością rodzimego opilstwa, urastającego do rangi cechy narodowej. Niemal w tym udział ma, jego zdaniem, przesadna tolerancja: podczas gdy gdzie indziej każdego, kto nadużyje trunku, spotyka surowa kara, to:

„U nas, by pijanego każdego stłuc miano,
Ledwe by kijów z lasu dostatek dodano.”

Tak rozplenione pijaństwo uznaje Rej za źródło gnuśności, marnotrawstwa, rozprężenia społecznego, a zatem i za groźbę dla bytu narodowego, którego bezpieczeństwo zależy wszak i od zdolności obywateli do obrony granic — tymczasem:

„Prze kęs małej swej wolej takiechmy zemdleli,
Z onych sławnych rycerzów prawie zniewieścieli,
Że i Boga, i sławę, i zdrowie tracimy,
A nie wiem, co za rozkosz z tego odnosimy.
(.)
A tak marnie tracimy i czasy, i sprawy,
Gdy kto chodzi z szumnym łbem jao błazen prawy...”

W tym ujęciu postawienie tamy zgubnemu nałogowi rysuje się jako wymóg troski o naprawę nie tylko obyczajów, ale i Rzeczypospolitej, jako powinność obywatelska.

Wszystko to nie oznacza jednak, iżby Reja traktować należało jako koszty-

cznego skrupulanta czy ascetę. Oto choćby w tejże samej „Przemowie krótkiej...”, powracając do poruszanej już wcześniej kwestii, głosi Rej przywiązanie do rodzimych trunków:

„Też ci nasz przodkowie podobno pijali,
Ale namilsze piwko, a barzo bijali.
I lepszą sprawę mieli, bo łba nie zaparzył
Gorącemi przysmaki: to pił, co uwarzył.”

Również w „Apoftegmatach” pojawia się taka wizja:

„Każdego zła myśl ominie,
Siedząc z czaszą przy kominie.
(.)
Możemy posiedzieć do dnia,
Kiedy mamy ciepło z ognia.
Grzanki piec,
Piwo siec.”

Podobnych obrazów nie brak i w „Żywocie człowieka poczciwego”, owej sumie doświadczeń „żegnającego się ze światem” pisarza. Wśród sielskich scen z życia gospodarskiego i rodzinnego nie raz i nie dwa pojawiają się pochwały wesołych i dostatnich uczt, podczas których z miłą pogawędką mieszają się żartobliwe toasty, a zalety trunków cenione są nie mniej niż zalety towarzystwa. Czy więc te upodobania nie kłócą się z tonem głoszonych przestróg, czy nie każą wątpić w ich szczerość? Bywały i takie opinie, jak choćby słynny sąd Boya, który „Żywot człowieka poczciwego” uznawał — śladem imię Wereszczyńskiego — za apologię staropolskiej „wieprzowatości” życia. Pozostawiając nawet na boku kwestię samego określenia, którego Rej niejednokrotnie używał w funkcji satyrycznej, trudno byłoby przystać na taką opinię. W kreślonych przez Reja idyllach biesiadnych należałoby raczej zobaczyć czynnik uwiarygodniający jego moralistykę. Tak uporczywie zwalczanemu opilstwu przeciwstawił bowiem nie purytańską surowość obyczajów — tyleż szlachetną, co ponad miarę odległą od realiów ówczesnego bytowania — ale inny model korzystania z walorów alkoholu, model, który dokonywał sublimacji bachicznych skłonności i podporządkowywał je rozlicznym powinnościom obywatelskim i moralnym.

Wszelkie dwuznaczności w tej mierze usuwają wymowne fragmenty samego „Żywota...”, choćby ustępy capitulum VI księgi II zatytułowane „Trzecia a słuszną przyczyna do łakomstwa i do złego żywota: niepomierne pijaństwo” oraz „Jako pijanice noc ze dnia sobie czynią” — przedstawiające kliniczny wizerunek opojów, wraz z patofizjologicznymi niemal objawami owego „wszetechnego a prawie bydlęcego nałogu”. Na koniec wreszcie, w części pt. „W opilstwie czas marnie ginie poćciwemu”, odwołuje się Rej do argumentu, który musi przekreślić ostatnie wątpliwości: „Albowiem jeśli ciało w tym

sprosnym, opitym przypadku na poły jako nieżywe jest, coś rozumiesz o mi-
łej a wdzięcznej duszycy, jeśli też tam obumrzeć nie musi siedząc w tak plu-
gawej wieży..." A gdzie indziej powie to samo jeszcze lapidarniej:

„Przy złym nałogu
Zmierzniesz i Bogu.”

W twórczości Jana Kochanowskiego, również nasyconej motywami bachi-
cznymi, można się dopatrzyć wielu podobieństw z wierszopisarstwem Reja —
czy pod względem wzorów kultury biesiadnej, wyrastających z ducha obyczaj-
ów epoki, czy pod względem znamiennej ewolucji stosunku do alkoholu,
rządzonej zapewne prawidłowościami biograficznymi. Ale i różnic jest nie-
mało. Ich miarą może być choćby porównywanie gruntowej edukacji huma-
nistycznej Kochanowskiego oraz fragmentarycznego i powierzchownego wy-
kształcenia Reja czy odmienność ziemiańskiego modelu wiejskiego bytowa-
nia, któremu wierny był Rej, oraz modelu kultury dworskiej, która ukształ-
towała w znacznej mierze osobowość twórczą Kochanowskiego. I stąd właś-
nie, z atmosfery życia dworskiego, nie szczędzącego zapewne poecie i weso-
łego towarzystwa, i przednich trunków, zrodził się nurt poezji biesiadnej,
ulotnej, choć nie zawsze beztroskiej. Najpierw w łacińskich „Foricoeniach”,
potem we „Fraszkach” pomieścił Kochanowski wiele strof poświęconych ucz-
tom i winu, flirtom i błazeńskim figlom. Już w otwierającym księgę I „Fra-
szek” wierszu „Na swoje księgi” wyjawia poeta rodzaj swych upodobań:

„Nie dbają moje papiery
O przeważne bohaterzy;
(.)
Ale śmiechy, ale żarty
Zwykły zbierać moje karty.
Pieśni, tańce i biesiady
Schadzają się do nich rady.
(.)
Przy fraszkach mi wždy naleją,
A to wniwecz, co się śmieją.”

Wysławiony tu, cokolwiek żartobliwie, program jest bez wątpienia prze-
jawem renesansowej przemiany wartości, zgodnie z którą uroki życia i dozna-
nia zmysłowe przestawały uchodzić za wstydlive, tworząc istotny wymiar zie-
mskiej kondycji człowieka. Źródłem tej przemiany był i wzrost dobrobytu, i
rozwój dworskich centrów życia kulturalnego, przede wszystkim jednak —
humanistyczna orientacja duchowych prądów epoki, nowa filozofia życia.
Ale we fraszkach obywateli Kochanowski bez tak głębokich uzasadnień:
przebija z nich żywioł wyzwolonej witalności, wola smakowania życia we
wszelkich jego powabach, pośród których dobry trunek nie należy do ostat-
nich. O tym właśnie mówi fraszka „Do Andrzeja Trzecieckiego”:

„Bógżeć zapłać, Jędrzeje, żeś mię dziś upoil,
Boś we mnie niepotrzebne troski uspokoił,
Które mi serce gryzły, jako to być musi,
Gdy człowieka niewdzięczność opętana dusi.
Wiem dobrze, że niedługo ze mną tej rozkoszy.
Bo to wszystko po chwili trzeźwia myśl rozpłoszy.
Ale witaj mi ta noc wolna od frasunku!
Któż wiedział, by tak wiele należało w trunku?”

Los ludzki zda się poecie na tyle zaprawiony goryczą i troską, że nawet przelotne chwile wytchnienia przy pełnym kielichu okazują się nieocenione. Nie dziw więc, że Kochanowski podejmuje ryzyko obrony swych zamiłowań wobec rzeczywiście czy potencjalnych krytyków:

„Ziemia deszcz pije, ziemię drzewa piją,
Z rzek morze, z morza wszystkie gwiazdy żyją.
Na nas nie wiem, co ludzie upatryli,
Dziwno im, żeśmy trochę się napili.”

Ta dowcipna, po części autoironiczna afirmacja tego, co naturalne, zgodne z powszechnym biegiem rzeczy, zbiega się z wysokim oszacowaniem niewymuszności zachowania, swobody w folgowaniu naturalnym skłonnościom:

„Gniewam się na te pieszczone ziemiany,
Co piwu radzi szukają przygany.
Nie pij, aż ci się pierwej będzie chciało,
Tedyć się każde dobrym będzie zdało.”

Tak miesza się we fraszkach serio z żartem, zaduma z beztroską, refleksyjne zwierzenie z kpiącym przytykiem. Zgodne to z przeznaczeniem tego typu utworów, zgodne też z postawą szczerości, jaką przyjął w nich poeta. We fraszce „O swych rymiech” powiada:

„Ja inaczej nie piszę, jeno jako żyję;
Pijane moje rymy, bo i sam rad piję.”

Wolno dopatrywać się w tym stwierdzeniu prowokacyjnej nieco przekory wobec stereotypowych wyobrażeń czy chęci zachowania krotoczwilnej tonacji właściwej fraszkom, ale trzeba też uznać je za świadectwo przywiązania do prawdy życia widzianego we wszystkich jego przejawach, prawdy, której nie wolno przesłaniać literackimi idealizacjami, sztafadem upiększeń. Ta przyległość prawdy biograficznego doświadczenia i poezji charakteryzować będzie całą twórczość Kochanowskiego.

Osad podobnych doznań, zobaczonych jednak głębiej, w perspektywie filozoficznej zadumy, mieszcza, odmienne już w tonie i nastroju, „Pieśni”. Są one w istocie obszernym, rozpisany na wiele wierszy, poetyckim wykładem

światopoglądu renesansowego humanisty, przynoszącym całościowe dobrze osadzone w duchowych tendencjach epoki, spojrzenie na sprawy boskie i ludzkie. Jednym z jego głównych wymiarów jest postawa afirmacji życia, odwołująca się do epikurejskiej koncepcji szczęścia. I tu szlachetny trunek okazuje się sprzymierzeńcem:

„Chcemy sobie być radzi?
Rozkaż, panie, czeladzi,
Niechaj na stół dobrego wina przynaszają.
I przy tym w złote gęśli albo w lutnię grają.”

Filozofia życia, bliska tu na pozór apologii użycia, żadną miarą nie da się sprowadzić do racjonalizacji żywionych przez poetę upodobań; jest raczej owocem nieokazjonalnej refleksji nad kondycją człowieka, rolą graną przezeń w teatrze świata. W tym świetle motywy bachiczne, pochwały trunków i biesiad stanowią nie tyle proste odzwierciedlenie autorskich doświadczeń, ile raczej symbol postawy wobec życia.

Stosownym przykładem może być słynna pieśń „Miło szaleć, kiedy czas po temu...”, którą otwiera niefrasobliwe wyznanie:

„Miło szaleć, kiedy czas po temu,
A tak, bracie, przypij każdy swemu,
Bo o głodzie nie chce się tańcować,
A podpiwszy, łacniej jest błaznować.”

Wartość trunku wszakże nie polega jedynie na jego osobliwych podnieciach, ale również na tym, że niwelując bariery między ludźmi, zbliża ich do siebie, niejako demokratyzuje wzajemne stosunki i pozwala każdemu, choćby na czas jakiś, zaznać niczym nie obwarowanej swobody:

„Niech się tu nikt z państwem nie ozywa
Ani z nami powagi używa;
Przywileje powieśmy na kołku,
A ty wedle pana siądź, pachotku!”

W innej pieśni Kochanowski wtóruje temu wezwaniu w formie apostrofy do dzbana:

„Ty cieszysz nadzieją
Serca, które mdleją;
Ty ubogiemu przyprawujesz rogi,
Że mu ani król, ani hetman srogi.”

Nastrój zabawy służy także odrzuceniu przesądów, przyzwyczajęń i ograniczeń krępujących wolną twórczą myśl, ożywia umysł i rozpala wyobraźnię:

„Tam dobra myśl nigdy nie postoi,
Gdzie z rejestru patrzą, co przystoi;
A powiem wam, że się tym świat słodzi,
Gdy koleją statek i żart chodzi.”

Gdzie indziej powie poeta najzwyczajniej:

„A nam wina przynosić,
Z wina dobra myśl rościć...”

Ale bodaj najważniejsze jest to, co płynie z zadumy nad prawidłami doczesnego biegu rzeczy i spraw ludzkich. Tu zaś wkrada się cień zwątpienia, niewiary w jakąkolwiek ziemską stałość. Skoro zaś Fortuna kołem się toczy — tak w powodzeniu, jak i w nieszczęściu należy zachować niewzruszony spokój, porzucając troskę o niepewne jutro na rzecz korzystania z tych umiarkowanych uciech, których dostarcza umykające życie:

„Czas ucieka, a żaden nie zgadnie,
Jakie szczęście z jutra przypadnie.
Dziś bądź wesół, dziś użyj biesiady,
O przyszłym dniu niechaj próżnej rady...”

W obliczu niepewności co do wszystkich „spraw świata tego” (poza tą jedną pewnością, że wszystko jest niepewne...), wobec niemożności zawierzenia jakimukolwiek niewzruszonemu autorytetowi — z wyjątkiem Boga, który wszakże pozostaje nieprzenikniony — człowiek zdany być musi na siebie, na swą własną, niedoskonałą miarę rzeczy, na ograniczoną w swym subiektywizmie zdolność oddzielenia spraw ważnych do błahych, przemijających. Nic więc dziwnego, że indywidualizm renesansowy często skłania się ku zwątpieniu we własną wartość, w wywodzone przez siebie prawdy. Tego właśnie przejawem są częste w „Pieśniach” akcenty autoironiczne, mające zapewne sugerować, że i zawarta tam „filozofia niestałości” — jedyna, na jaką stać pozbawiony zewnętrznego oparcia rozum ludzki — może okazać się... niestałą, może zawieść pokładane w niej zaufanie. Dlatego czymś więcej niż przekornym żartem są takie oto bachiczne, „pijackie” deklaracje:

„Ale to mój zysk, że mię słuchacie,
A żadnej mi pełnej nie podacie;
Znał kto kiedy poetę trzeźwego?
Nie uczyni taki nic dobrego.”

I w istocie, nawet ta, nie wolna przecież od sceptycyzmu, pochwała uciech kielicha jako antidotum na gnuśność i życiowe rozczarowania — ulega załamaniu. Przychodzi ono wraz z rosnącym rozczarowaniem życiem dworskim, znużeniem jego intrygami, zgiełkiem i nerwowością, co skłania ostatecznie Kochanowskiego do porzucenia dworu i zatopienia się w zaciszu „wsi spokoj-

nej, wsi wesołej”. Z perspektywy Czarnolasu świat, który porzucił, tracił swój blask i polor, okazywał pustkę swych iluzorycznych podniet; stosownie do tego pojawiać się zaczynają w „Pieśniach” oznaki zaniepokojenia co jaskrawszymi przejawami zepsucia obyczajów:

„Czołem za cześć, laskawy mój panie sąsiedzie,
Boże nie daj u ciebie bywać na biesiedzie!
Każesz mi pić przez dzięki swe przemierzone piwo,
Że do dna nie wypijam, patrzysz na mnie krzywo.”

Wiele podobnych obserwacji prowadzi poetę do niedwuznaczej konkluzji:

„Bodajże wam smród w gębę, mili pijanice,
A trąd na twarz, bo żona lubi takie lice.
Krzywej nogi na starość, nieobrotnej szyje,
Krom klątwy, kto będzie żyw, snadnie się dopije.”

Górze brać więc zaczyna ostrzejsze, krytyczne spojrzenie, piętnujące pijackie nadużycia. Najczęstszą bronią wytaczaną przeciw nim staje się śmiech, brzmiały z karykaturalnie przedstawionych scenek rodzajowych z życia biesiadnego. Wiele ich — barwnych, lapidarnych, ostro spointowanych — zawierają „Fraszki”. Choć można je czytać jako literacką kronikę towarzyskiego życia poety, to przecież materia zdarzeń autentycznych służy zwykle ogólniejszej refleksji, nawet jeśli nie wyrażonej wprost w odautorskim komentarzu. Zrazu satyryczne spojrzenie Kochanowskiego kieruje się poza krąg dworskiej kompanii — w stronę ziemian („W Polsce szlachcic jakoby też na karczmie siedział, Bo kto jedno przyjedzie, to z każdym pić musi”), kobiet wiadomej reputacji („Nagrobek opilej babie”) czy duchowych, których przedstawiciela sportretował w zabawnej fraszce „O kapelanie”: jej bohater, spóźniając się na poranną mszę, na zarzuty, że zbyt długo sypia, odpowiada, ledwie wstawszy od kielicha: „Jeszcze ci się dziś nie kładł, co za długie spanie?” Wreszcie sięgać zaczyna Kochanowski i do najbliższego swego otoczenia, czego przykładem — znany utwór „O doktorze Hiszpanie”, miniaturowe arcydzieło sztuki fraszkopisarskiej. Ten całkowicie niemal zdialogizowany wiersz zawiera opis komicznych perypeti tytułowego bohatera (jego pierwowzór, Piotr Rojzjusz, sam zresztą zasłynął jako autor makaronicznych satyr na pijaństwo), którego wstrzeмиęźliwość zostaje zwyciężona przez upór spragnionych jego towarzystwa biesiadników. Równie zabawna i kunsztowna literacko jest fraszka „Pełna prze zdrowie”, która obrazuje plagę „toastomanii”, obligującej do spełniania wciąż nowych kielichów:

„Prze zdrowie gospodarz pije,
Wstawaj gościu! — A prze czyje?
Prze królewskie. Powstawajmy
I także ją wypijajmy!

Prze królowej. — Wstać się godzi,
I wypić; ta za tą chodzi.
Prze królewny. — Już ja stoję,
A podaj co rychlej moję!
Prze biskupie. — Powstawajmy,
Albo raczej nie siadajmy!
(.)
Chłopie, wymkni ławkę moję,
Już ja tak obiad przestoję.”

Zapewne, wiele — jeśli nie większość — z przywołanych tu utworów zachowuje atmosferę żartu, służąc przede wszystkim duchowi zabawy, komizmu, wydobywanego z różnorodnych przypadków z trunkiem w roli głównej. Coraz częściej jednak te barwne, niemal ociekające winem anegdoty służą wyrazistszej tendencji krytycznej. Oto „Przymówka chłopska”, kolejna fraszka poświęcona przymuszaniu do spełniania wciąż nowych toastów, stanowi zarazem autpolemikę z wyrażonymi przez Kochanowskiego gdzie indziej poglądami na temat chwalebnej „demokratyzacji”, zrównania stanów dokonującego się przy dzbanie:

„Pij ty, włodarzu, i mów, coć się będzie zdało,
Prosto, jako za naszych ojców więc bywało.«
»Takci bywało, panie, pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą;
Dziś wszystko inaczej, wszystko spowaźniało;
Jako mówią: postawy dosyć, wątku mało.«”

Tak oto pojawia się ton nostalgii, świadomość odchodzenia w przeszłość świata biesiad wesołych, lecz nie trywialnych, pełnych nie tylko junackiej „postawy”, ale i szlachetnego „wątku”; poczucie pogłębiającego się z biegiem czasu, a może wraz z багаżem lat i doświadczeń przybywających poecie — upadku obyczaju bachicznego, który w zwyrodniałej postaci utracić musi swe miejsce w Kochanowskiego renesansowej wizji świata. W naśladowaniu z Anakreonta poeta, dokonując obrachunku swego życia, powie co prawda:

„Nie dbałem nigdy o złoto,
Alem tylko prosił o to,
Aby kufel stał przede mną,
A przyjaciel pijał ze mną...”

Jednak gdzie indziej, znów w tonie, bezwiednej być może, autpolemiki, tak skoryguje swoje słowa:

„Ale w czas wiedźcie, że nie dzierzę z tymi,
Którzy przyjaciół szukają pełnymi.
(.)

Ledwe par kilka w dziejach opisano,
Które za prawe przyjaciół miano.
A my się tego piwem dopić chcemy?
Zaprawdę lekce przyjaźń szacujemy."

Świadectwem tego, jak dalece Kochanowski przewartościował u schyłku życia swój stosunek do uciech kielicha, może być, pisana zapewne w cieniu czarnoleskiej lipy, a wydana już po śmierci poety, rozprawka pod wymownym tytułem „Iż pijaństwo jest rzecz sprosna a nieprzystojna człowiekowi”. Dawszy w niej rys upadłego obyczaju biesiadnego oraz plastyczną sylwetkę psychologiczną, a i cielesną pijaka, bez ogródek nazywa pijaństwo zgubnym nałogiem, w którym:” (...) człowiek i Boga, i ludzi, i powinności swej, na ostatek i sam siebie zapomnieć musi. A wždy to ludzie tak sobie cukrować umieją, iż żadna biesiada, żadna krotochwila bez pijaństwa być nie może; tym zachowania szukać, tym się ludziom podobać chcą. (...) I należeli sobie wymówkę, kiedy już co robią, że się pod pijany wieczór stało. Tymś świętszej kaźni godzien, żeś i bliźniego obraził, i k temu, żeś się upił. (...) Jako się im też to płaci, to każdy na oko widzi. Samo przyrodzenie jako z niewdzięcznych synów winy bierze: tego na rękę, tego na nogach karze, ten puchnie, ów gnije; abo wrzodliwi, abo trędowaci, żadnego zdrowego nie masz; to wniwecz, co ich nagle pomrze abo co ich pobije. Taką rozmaitą barwę swym dworzanom zwykła niemierność dawać (...) Zaprawdę, jako słońce światłość swoją traci, gdy za chmurę zajdzie, tak rozum ludzki od zbytków tępieje. (...) Trzeźwość a miara toć są nawierniejszy stróże zdrowia naszego."

Trudno nie zauważyć, że przedstawiona tu krytyka pijaństwa bliska jest — i w rodzaju przytaczanych argumentów, i w typie obrazowania — Rejowym satyrom na opojów, choć prawda, że przewyższa je szlachetnością formy. Trudno też zaprzeczyć, że w tej uogólnionej, lecz namiętnej moralistycie mieści się, ledwo skrywany, obrachunek poety z własnym życiem, z czasami, w których zawierał pobudzającym własnościami trunków, a w swej filozofii życia wysoko wynosił ich rolę. Ale też to właśnie — wielorakość postawy wobec uroków świata, jej ewolucja będąca osadem gromadzonych doświadczeń, nawet wewnętrzne sprzeczności, w jakie wikała poetę jego duchowa biografia — wszystko to sprawia, że świadectwo czasów i obyczajów, jakie pozostawiła twórczość Kochanowskiego, tchnie autentyzmem nie mniej cennym niż poetycki kunszt.

Z grona pisarzy Odrodzenia warto przywołać jeszcze na świadka Sebastiana Fabiana Klonowica. Był to pisarz o rodowodzie mieszczańskim, choć pierwszemu, łacińskiemu okresowi jego twórczości patronowała muza Kochanowskiego, któremu wielokroć składał poetycki hołd. Pod tym też znakiem — jak też pod znakiem antycznych tradycji — powstała „Roxolania”, jeden z pierwszych w literaturze polskiej poematów opisowych. W utworze tym, będącym zapewne echem peregrynacji po Rusi Czerwonej, stworzył

Klonowic poetycką monografię tego regionu, nie stroniąc od drobiazgowych opisów geograficznych i etnograficznych. Dostrzegając panującą tam nędzę, co najmniej tyle samo miejsca poświęcił urokom krainy, ze sławnym miejscowym piwem na czele:

„... w tej eprawie biegli Haliczanie
Ciagną z chmielu korzyści nie lada.
Ich towar głośny, póki świata stanie,
Kupią go wszędzie, kędy Bachus włada.
(.)
Sarmackie zielsko zarówno oczadzi
Pijaństwo zjęte węzły braterskimi,
Panuje krajom i dodawa chluby.
Każdy wychwala owoce swej ziemi,
My nasze piwo, Grek swoje cekuby.”

Dochodzi tu więc do głosu — nie po raz pierwszy w literaturze epoki — pochwała rodzimości, która rychło przybierze postać polemiczną:

„Wioski mieszkańcze! cóż twoje nektary?
Co twoje wino przed nektarem Rusi?
Wino jest z ziemi błotnistej i szarej,
Miód prosto z niebios spuszcza być musi.”

Niechęć do wina żadną miarą jednak nie dorównuje wstrętowi, jaki żywi autor wobec gorzałki:

„Nie wiem zaiste, kto w pierwszej osnowie
Ognisty napój wymyślił z gorzelnie?
Kto jest ów zbrodniarz? i jako się zowie?
By go przekleństwu oddać nieśmiertelnie.
(.)
Ktoś nieprzyjazny — Szatan mu na imię,
Styksowym jadem chciał zatrzeć nam zmysły;
Wynalazł napój wywarzony w dymie
I z czarnej sadzy gorzelnej wytrysły.”

Ten to „ognisty napój” — inaczej niż łagodne piwa i miody — sprawia, że:

„Wola samopas bezrozumnie broi,
Na czole bezwstyd osiada dobitnie,
Krzyk zamiast mowy i przekłństwa krocie,
Gniew zamiast słowa i pochop do wojny...”
(tłum. Władysław Syrokomla)

Odzywający się w tych strofach zapał satyryczny i moralistyczny — który burzy harmonię i dystans postawy opisowej poematu — zaważy na kształcie późniejszej twórczości Klonowica. Zawarty w „Roxolanii” syntetyczny obraz zła rodzącego się z pijaństwa zostanie następnie rozwinięty w „Worku Juda-szów”, przynoszącym katalog wszelakich występków, na które autor oburzał

się jako lubelski ławnik, burmistrz i rajca. Kreśląc wierszowane studia usystematyzowanych przestępstw — znać tu nie tylko umiejętność obserwacji, ale też oko i pióro prawnika-praktyka — jedną z najważniejszych ich przyczyn upatruje w nadużywaniu alkoholu, które jednych skłania do wejścia na przestępczą drogę, innych zaś — odebrawszy im rozum i zdolność oceny rzeczy — wystawia na łup złoczyńców, stwarzając tym samym niezliczone okazje, które, jak wiadomo, czynią złodzieja. Oto choćby jak w Polsce odbywa się „ludokupstwo” czyli, ni mniej ni więcej, handel żywym towarem:

„Prosi na halbę wina, prosi i na drugą:
Wda się w rzecz z nieborakiem i w rozmowę długą.
Dodawa dobrej myśli, pełnymi dogrzewa,
A owdzie opoiwszy błazna, zrozumiewa.
A gdy go już doleje, z karczmy go wywabi
Miedzy góry, tam go już do końca oszwabi.
Porwie go z towarzystwem na turecką stronę,
Przeda go do Budzynia, bierze zaś mammonę.
Otóż tobie pijaństwo, kuflu nieboraku!
Przywiódł cię brzuch bezecny do takiego kroku.
Przedaleś drogą wolność za szklenicę wina:
Zostałeś niewolnikiem srogiego Turczyna.”

Tak zaś dokonuje się inna oszukańcza transakcja:

„Przeto najdziesz takowych, którzy gdy nie mogą
Trzeźwych ludzi oszukać, więc idą tą drogą:
Handlują z pijanymi, proszą na litkupy,
Frymarczą na towary, kupują chałupy.
Rękują po pijanemu, żenią głupie chłopcy
I biorą też do tego rzadko trzeźwe popy.
Naprzód więc pieniężnego pacholka upoją,
Posadzą podle niego niepewną dziewczoją;
(.)
Gładsza pod wieczór niż w dzień zda się pijanicy.
Przyzwala na małżeństwo i hojny, i śmiały,
Pan młody bez baczenia, jak kot zagorzał.”

Wreszcie, podsumowując przyczyny wszystkich tych łotrostw, kreśli autor wyrazistą sylwetkę opoja, w której — jak pierwaj Kochanowski — bliski staje się Rejowi, jego stylowi i wyobraźni:

„Gdyż mało od martwego pijanica rozny:
Baczenia przystojnego i rozsądku próżny,
Tak na targu jako i przed urzędem błdzi,
Bo go chmiel i jagoda, a nie rozum rządzi,
Abo ów dymny trunek, co go piją łajac,
Oczy mrużac, marszcząc się, kaszląc i charchając
(.)
Wodka modro płonąca, co do niej rozum płynie,
Lecz odsyła do domu błotołozne świnię.”

Czy jednak pijackie zamroczenie może kogokolwiek usprawiedliwić, zwo-
lnić z odpowiedzialności za popełniony występki? Tu dochodzi do głosu jury-
styczne doświadczenie Klonowica, przynosząc odpowiedzi, które zadowolili-
by zapewne i dzisiejszych prawodawców:

„Filozof pijanego niewiadomym zowie,
Bo mu się opak w szumnej mózg obrócił głowie.
Lecz jeśli po pijanemu co złego pobroi,
Często się o tym potym potrzeźwiawszy znoi.
Bo tej niewiadomości sam sobie przyczyną,
Iż pił wiele, za jego stało się to winą.
Mogąc do domu wczas iść, nie pić bez pamięci,
Nie przeciwiąc się garłu i niezbytej chęci.”

W galerii renesansowej literatury wskazać można jeszcze niemało pisarzy,
których twórczość nosi ślady zainteresowania problemem alkoholu — by wy-
mienić tylko Łukasza Górnickiego, którego „Dworzanin polski” zawiera po-
kazną antologię bachicznych anegdot, czy Andrzeja Frycza Modrzewskiego i
Piotra Skargę, którzy — z innych pozycji i z odmiennym temperamentem —
całą mocą swych autorytetów piętnowali nałóg pijaństwa i demoralizację, do
jakiej prowadzi.

Trudno, rzecz jasna, wymagać, by literatura tego okresu, wybijająca się
dopiero na samodzielność, zdolna była ogarnąć owo zjawisko w całej skali
jego przejawów i konsekwencji, zwłaszcza że było ono w polskiej kulturze
czymś nowym. Jest to raczej stadium wstępnej krystalizacji i polaryzacji po-
staw wobec alkoholu: od bezkrytycznych pochwał po namiętne ekskomuniki.
Z dzisiejszej perspektywy najbardziej interesujące i płodne kulturowo wyda-
je się to, co mieściło się pomiędzy tymi skrajnościami: sfera, w której prakty-
ka obyczajowa zderzała się z krytyczną refleksją, młodzieńcza brawura z roz-
sądkiem wieku dojrzałego, dworska komnata z wiejskim zaciszem, a swoboda
jednostki z racjami społecznymi. W ścieraniu się tych przeciwstawnych
postaw ukształtowały się dwie najwyrazistsze osobowości twórcze Odrodze-
nia: Mikołaj Rej i Jan Kochanowski. Każdy z nich potrafił stworzyć własny
ton mówienia na temat alkoholu i sposób włączania motywów z nim związa-
nym w obręb przyjętej wizji świata. Ale ich drogi przecinały się niekiedy, wy-
znaczając punkty wspólne nie rzadsze niż sporne. Utworzyli wspólny — przez
długi czas nie rozszerzony — kanon form literackich właściwych tej tematy-
ce: od pieśni biesiadnej i bachicznej facecjonistyki, przez satyrę i lirykę ref-
leksyjną, po różnorodne gatunki moralistyczne. Nic więc dziwnego, że w naj-
bliższych, a nawet dalszych epokach liczni portreciści „Bachusa w kontuszu”
będą często sięgać do ich spuścizny, a samo powołanie się na autorytet które-
goś z nich znaczyć będzie opowiedzenie się za wartościami i postawami, któ-
rych tak dobitne świadectwo pozostawili w swej twórczości.

BACHUS W KONTUSZU: PANOWANIE

Epoka baroku to okres, który do dziś wywołuje sprzeczne opinie wśród historyków kultury. — Są to czasy poważnego wzrostu znaczenia Polski na arenie Europy, czasy rozwoju politycznego i ustrojowego, a także istotnego postępu w procesie krystalizacji świadomości narodowej i poczucia kulturowej odrębności. Z drugiej jednak strony jest to epoka niewątpliwego regresu w sferze obyczajów i społecznie praktykowanych wartości moralnych, regresu, który w pewnych przejawach zyskał sobie nawet miano przysłowio-owego. Trudno w tym miejscu ważyć na szali te różne zjawiska, trudno — czy nawet niemożliwe — kusić się o jednoznaczną ocenę trwającej półtora wieku epoki. Pozostając przy snutym tu wątku, dość stwierdzić, że podobnie jak kontusz właśnie w wieku XVII stał się polskim strojem narodowym, tak i przejęta z antycznej tradycji postać mitologiczna, bachus — a wraz z nim upodobania i zwyczaje, którym patronował — zadomowił się wówczas w rodzimym panteonie, przybrany w tę orientalną z pochodzenia szatę z odwiniętymi wylotami.

Gdyby nawet pominąć ustalenia historyków, wystarczy sięgnąć do literatury tego okresu, by stwierdzić niepomierne poszerzenie skali obecności alkoholu w życiu ówczesnych Polaków, i to zarówno w sferze indywidualnego stylu bycia, jak też w obrębie zjawisk, które ważyły na obliczu i losach całego społeczeństwa. Trudno zaprzeczyć, że tendencje obyczajowe zrodzone i opisane we wcześniejszej epoce wpisały się na trwałe w codzienność Polaków doby baroku, sięgając niekiedy miary przekraczającej najbardziej nawet pesymistyczne przewidywania przodków. Dokonało się to w warunkach rozwarstwienia kulturowego, również będącego efektem zarysowujących się wcześniejszych procesów. Oto w toku wzburzających konfliktów politycznych między sięgającą po władzę w państwie oligarchią magnacką a rzeszami szlacheckimi, dobijającymi się egzekucji swych praw, wytworzyły się dwa konkurencyjne modele kultury i obyczaju, symbolizowane przez pałac i dworek. Pierwszy z nich to model elitarny, oparty na wyrafinowanym smaku i wytworności, zorientowany na europejskie mody i ze skwapliwością przejmujący obce wzory

obyczajów, języka, stroju etc. Drugi zaś to daleko powszechniejszy model sarmackiej megalomanii, stawiającej na pierwszym miejscu rodzimość i tradycję, gloryfikującej niewymuszony i fantazyjny styl życia szlacheckiego. Choć różnorakie wspólne zależności i interesy — od politycznych po towarzyskie — zbliżały do siebie marmurowy pałac i dworek z modrzewia, choć między tymi dwiema sferami następowało obustronne przenikanie, choćby na zasadzie tak czy inaczej zorientowanego snobizmu, to opozycja cudzoziemszczyzny i swojskości w znacznej mierze zaważyła na kształcie kultury baroku, różnicując zarówno wzory kultywowanych rozrywek, jak też styl i treść ówczesnej literatury.

Ale w najbardziej zasadniczych wymiarach obyczaje biesiadne różnych warstw społecznych nie różniły się od siebie aż tak bardzo. By się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć do pisanych wówczas dość powszechnie pamiętników („raptularzy” — jak je zwano), będących niezastąpionym świadectwem realiów bytowania w tych czasach. Ich wartość w tej mierze polega w równym stopniu na wierności, z jaką odwzorowywały kształty codziennego życia, co na doborze faktów i zdarzeń, na sposobach ich relacjonowania i koloryzowania, odzwierciedlających mentalność autorów, ich postawy wobec przedstawianych zjawisk.

W tym zakresie, w jakim bohaterem tych relacji — czy spisywanych przez „karmazyna”, czy przez „szaraka” — jest trunek i związane z nim obyczaje, wystawiają one swym autorom i prezentowanym przez nich środowiskom dość jednorodne świadectwo. Oto choćby Albrecht Stanisław Radziwiłł, kanclerz litewski, czołowa postać ówczesnego życia publicznego, a zarazem człowiek nader bogobożny, skrupulatnie odnotowuje w swych pamiętnikach liczne okazje, przy których przekraczał miarę w piciu, skłaniany do tego częstokroć przez nadgorliwych a równie znamienitych gospodarzy. Nie inaczej bywało i przy królewskim stole, o czym świadczyć mogą listy Jana Sobieskiego do Marysieńki. Nieraz przewijają się w nich takie stwierdzenia: „...żywot mój taki: od świtu do południa słuchać różnych kłótni, plotek, bajek: od południa aż do wieczora sidzieć u stołu a pić, a jeszcze niektórym tego nie dosyć. „Albo też: „...już też zdrowie całe na schyłku, bo i upić się przyszło kilka razy, co z jakim musiało być gwałtem, waszmość sama lepiej wiesz.” Sobieski nie był zresztą pod tym względem wyjątkiem — podobne skłonności przypisywano choćby Janowi Kazimierzowi, o Sasach już nawet nie wspominając.

Na niższych szczeblach drabiny społecznej nie bywało inaczej. I tak słynne pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, obraz barwnego życia mazowieckiego szlachcica, przynoszą pokaźny rejestr sposobności, przy których ówczesny Polak rad sięgał do kielicha czy wręcz wprost do fiaszy: od uroczystości rodzinnych i karnawału (jak napisze Pasek: „Bachusowego święta”), po sejmiki i zwycięskie bitwy. Oto ich charakterystyczny opis: „I tak sobie dyszkuruję-

my, żeśmy i podpili, jak to moda polska. Przy owym podpieniu co się przypomnie afekt, to się ledwie nie łzami koloryzuje trunek; a potem rozeszliśmy się. Noc nie dała snu na oczy, choć podpiłem. Jużem i pieł więcej, żeby usnąć; żadnym żywym sposobem nie mogło to być. Tak to uprzykrzone w młodych ludziach są afekty.”

Nie brak niekiedy u Paska krytycznego dystansu wobec hulaszczyczych wybryków, tych zwłaszcza, które ingerują w bieg spraw publicznych, ale z chwilą, gdy dochodzi do głosu jego szlachecka fantazja, widać, że wstrzeźliwość nie była jego pierwszą naturą. Podobnie, choć chyba z większym jeszcze uzasadnieniem, można by rzec o innym, nieco późniejszym pamiętnikarzu, Krzysztofie Zawiszy, wojewodzie mińskim. Ten otwarcie deklaruje się jako zwolennik kufla, a jego relacja wprost roi się od takich obrazków: „Dziwnie hulaliśmy wesoło, żartowali, pili niepomrotnie (...). Po tych dniach całe dwa dni leżałem.” A dalej: „Podczas tego wesela na zepsowanie żołądka przez pięć dni chorowałem” itd. Dość sięgnąć do źródeł w mniejszym stopniu nacechowanych subiektywizmem — do „Opisu obyczajów...” Jędrzeja Kitowicza czy relacji zagranicznych posłów — by stwierdzić, że wyłaniający się z wszystkich tych relacji obraz nie jest nadmiernie przesadzony, a i te pierwiastki przesady, które ujawniają się ponad wszelką wątpliwość, są znamienym świadectwem ówczesnych zamiłowań i aspiracji. Pijaństwo, tracąc właściwie charakter nieodpowiedzialnego wybryku czy zgubnego nałogu, przekształcało się w rzadko kwestionowaną regułę zachowania, a jako składnik rozpowszechnionych wyobrażeń na temat fantazji szlacheckiej, współtworzyło obowiązujący styl życia.

Źródeł tego stanu rzeczy można upatrywać w wielu rejestrach — od ekonomicznych po polityczno-ustrojowe; nie najmniej jednak istotne było oddziaływanie nowych idei, inspiracji umysłowych tej epoki. Podstawowym składnikiem wizji świata właściwej barokowi — będącego wszak nie tylko prądem literackim czy doktryną estetyczną, ale i pewną formacją kulturową — była bowiem szczególna filozofia zmysłowości, przydająca nowych sensów postawie korzystania z uroków doczesności. Najprościej wyraził to jeden z pomniejszych poetów dworskich:

„O rozkoszy, rozkoszy! Czegóż więcej trzeba?
Po cóż my już Jowisza mamy spychać z nieba?
Albo tu źle, ba, lepiej niż i w samym niebie!”

Jako jeden z pierwszych wątek ten podjął Hieronim Morsztyn, piewca „światowej rozkoszy” — jak sam nazwał najważniejszy swój cykl poetycki. Wypowiadając nienowyy pogląd o nietrwałości wszystkich rzeczy, dostrzegł w nim argument skłaniający do poznawania i smakowania przyjemności, których dostarcza ziemskie życie:

„Moja rzecz jest opisać świeckie delicyje,
Których każdy, póki żyw, niech, jak chce, zażyje.
Bo po śmierci, acz wierzym o wiecznej radości,
Daleka ta od ziemskich będzie rozpustności.”

Zestawiając wartości doczesne z wiecznymi, poeta nie przeciwstawia ich sobie, przeciwnie, to właśnie perspektywa metafizyczna czyni owe „śliczne świata tego pozorności” godnymi ludzkich starań. Świat bowiem:

„Piękny jest. Ten dla człowieka Bóg z swej wszechmocności
Stworzyć raczył. (.)
.
...człowiek pan stworzenia wszelkiego,
Jakoż chwalić go nie ma? Jakoż świata tego
Nie ma zażyć Rozkoszy, gdy je jemu k woli
Stwórca nadal?”

Skoro tak, to czy postawa ascezy, dobrowolnej rezygnacji z doczesnych przyjemności może nadal uchodzić za cnotę?

„Mnie się tak zda, że to grzech uciekać od tego,
Co Bóg z upodobania sam dał człowiekowi swego.”

Zgodnie z tym programem prezentuje poeta monologi dwunastu postaci, uosabiających różne formy dostępnych człowiekowi „uciech; jako to: Muzyki, Gry, Krotchwili, Podwiki, Diety (!), Kompanii, a w tej liczbie i Pijatyki. Ich oracje, sławiąc bogactwo „światowego” piękna, są niejako wezwaniem do rozszerzenia skali doznań, wrażliwości zmysłowej, której niedostatek czyni życie ludzkie ubogim, samo człowieczeństwo zaś — niepełnym. Ale podobnie jak eleganckie, kunsztowne wywody i obrazy poetyckie zderzają się tu z realistycznymi szczegółami i jędrnymi obrazkami, tak i pochwałę rozkoszy przerywa w końcu przestroga: „Vanitas vanitatum et omnia vanitas.” Płynąca z ducha baroku estetyka zmysłowości i filozofia użycia ciąży tu ku wartościom związanym z ziemiańskim modelem kultury, by w późniejszym zbiorze poezji Hieronima Morsztyna ustąpić miejsca i tradycyjnym formom stylistycznym, i równie tradycyjnym pochwałom cnoty.

Barokowe inspiracje bowiem — choć znacznie wzbogaciły arsenał stosowanych środków artystycznych — ukształtowały jedynie powierzchnię literatury tego okresu, nie będąc w stanie przerwać jej kulturowej ciągłości, wykorzystać z dziedzictwa rodzimych wartości i doświadczeń. Jakkolwiek ziemiańskie pochwały uroków życia bywają zgodne w treści z barokowym sensualizmem, różnią się zwykle od niego typem uzasadnień, a także materią poetyckiego obrazowania. Co więcej, polorowi kultury dworskiej, będącej wszak ośrodkiem „poezji kunsztownej”, przeciwstawiano prostotę szlacheckiego bytowania, podobnie jak misternej karafce i kryształowemu kielichowi —

prosty dzban i kufel. Metaforyczny sens tego przeciwstawienia ujawnia wiersz Kaspra Miaskowskiego „Na sklenicę malowaną”:

„Ale cóż potym? Sklenica snadnie,
Niż się napijesz, z rąk ci wypadnie:
A on spaniały kryształ w perzyny
Poszedł, ostatek dym niesie siny.”

Ta opozycja wyrafinowania i prostoty, pucharu i dzbana, kunsztu i szczerości, „światowych” zawieruch i wiejskiego spokoju, słowem, pałacu i dworku — to rys charakterystyczny polskiego baroku, źródło jego wewnętrznych napięć i kolizji. Stanie się ona osią całego nurtu poezji ziemiańskiej. Tak Wespazjan Kochowski przedstawia „Perspektywę dworską...”:

„Powiadać, prawić, zmyślić co, żartować,
Stroić postawę, obiecać, zklimkować,
Obmówić, podwieść, rzec opacznie w tyle,
W oczy pochwalić, odrzucać paszkwile.”

Podobnie rzecz widzi i mieszczanin, Adam Władysławiusz, dający taką sumę „Żywota dworskiego”:

„Wiele prac i niewczasów znosić trzeba temu,
Kto się chce żywotowi przyuczyć dworskiemu.
(.)
Chcesz li suchy zakropić gardziel upragniony,
Ledwo wody więc podczas dostaniesz studzionej.
(.)
Do żołądka pańskiego żołądek sposabiaj:
Kiedy pije, abyś pił; kiedy też je, jadaj.”

Niewymuszoność, prostota, przeciwstawione dworskiej „nędzy świetnej”, najczęściej występowały jednak w kostiumie ziemiańskim — jak u Kochowskiego:

„Niech kto chce depce mozaikiem
Ułożone podłogi,
Ja nie chcę być niewolnikiem
W złotą wolność ubogi.
(.)
To jest szczęście: dom ojczysty,
Dobrze nabyte zbiory...”
„Dobre-ż, choć staroświeckie, Polaków zwyczaję,
Przy posiedzeniu słyszeć skrzypce, szalamaje,
Lub domowy zaśpiewał, kto umiał, przy dudzie,
A miejsca nie bywało fałszom i obłudzie.
(.)
Lepsza-ż jest pod pokrywką zła obłuda, czyli
Przy wesołej uprzejme serce krotofili?”

Ten konflikt wartości poeta wyrażał żartobliwie:

„Niechaj, kto chce, tam z fizyki
Mądry dyskurs wiedzie,
My zaś wolem ssać kufliki
Przy długim obiedzie.”
„Kto też bywał i w Londynie,
Niech powieści sieje,
Ja wiem, gdy przy starym winie,
Co się w Węgrzech dzieje.”
„Mądrym mądrość niechaj służy,
Dworowi fakcyjne,
Tym się każdy baw, coć pluży,
Ten żyje — co pije.”

Dworskim „nowinkom” i modom, sztywniej etykiecie i hipokryzji przeciwstawiano filozofię ziemiańskiej „mierności, w niej jednak zawsze znajdowało się miejsce dla pełnego dzbana, który wychylany współ z przyjaciółmi czy sąsiadami, przynosi wewnętrzną harmonię i spokój. Jak echo powracają podobne obrazy:

„...tu mi drewka nieście do komina,
A na stół czarę piwa albo flaszkę wina”

(Kasper Miaskowski)

„Dobrzeż mnie przy kuminie, wziąwszy kuflik spory,
Z bracią sieść...”

(Wespazjan Kochowski)

Oto apostrofa do czytelnika z wiersza tego ostatniego, będąca w istocie parafrazą jednej z fraszek Kochanowskiego:

„Kto czytasz, masz to wiedzieć, że też Bachus puszy
Wieszczków, a rzadko wiersze wiodą się na suszy.”

Pogłos twórczości Kochanowskiego nader często odzywa się w tej poezji: w myślach o ukojeniu przynoszonymu przez trunk, w zadumie nad zmiennością losu, która każe cenić chwile beztroskiej zabawy. Głoszone przy tej okazji pochwały trunków przybierały niekiedy postać uczonych niemal wywodów, których autorzy — czasem kosztem jakości literackiej swych utworów — popisywali się iście encyklopedyczną erudycją w tej materii. Oto wiersz z „Wirydarza poetyckiego...”, którego autor zdradza niepospolite znanstwo w dziedzinie gatunków piwa:

„W państwie naszym znajdziesz piwa różne
Klarowne i wystale. Najdziesz tu Leszczyńskie,
Łagodne, z gęstą pianą obaczysz Brzezińskie,
Albo Łowickie, co więc chłopom gębę krzywi,

Albo Wareckie, którym Warszawa się żywi,
Ujskie i to przyjemne, gdy nieprzypalone,
Wielickie niemniej sławne, które garła słone
Swą wdzięczną treścią chłodzi. Nie gań Żółkiewskiego,
We Lwowie będąc miej się do Jezuickiego,
Zielone Biłgorajskie jak lipiec się pije..."itd.

Piwo zatem, choć utraciło monopol na polskich stołach, znajdowało, jak widać, zagorzałych zwolenników i to we wszystkich stanach. „Pieśń o piwie” Adama Władysławiusza z perspektywy plebejskiej ślawi jego zalety:

„Jakoż go nie mamy pić
I nim mózgu podchmielić,
Gdyż umie podweselić.

Dobre piwo
Jako żywo!

(.)

O szlachetny napoju,
Rad pobudzasz do boju,
Nie dasz usnąć w pokoju.

Dobre piwo
Jako żywo!”

Oto następne walory piwa, zapisane przez innego poetę mieszczańskiego:

„Chmiel, co raz bierze w taniec Jej Mości hoże,
Chmiel, co padł umyślnie na Jej Mości łożo.
Chmiel, gdy z podobną grzeczną, młodą tańczy,
Szczypnie, przycisnie, umyślnie się spianczy...”

Choć chmiel, nie tylko jako synonim piwa, miał w kulturze staropolskiej ustalone konotacje erotyczne, to podobne funkcje przypisywano i innym trunkom. Daniel Naborowski w utworze „Sine Cerere et Baccho friget Venus” pisze:

„Kiepska miłość o głodzie,
Nie chce się giąć po wodzie,
Ale po dobrym winie
Dogodzi się dziewczynie.”

Swoich chwalców znajdowała także gorzałka. Jej to poświęcił niejaki Jurjek Potański kilkusetwersowy poemat, w którym niezmordowanie, acz nie bez wdzięku, opiewa różnorakie uroki tego „likworu nad likworami”:

„gorzałka wypędza to, co człeka suszy,
A nie tylko pomaga ciału, ale duszy.
Dlatego że się nie da frasować nikomu,
Już drugi niedostatku zapomni i w domu.

Ale wesele mnoży — stąd pisorymowie
Nad naukę dowcipne rodzą wiersze w głowie.
Marcyjalistom zasię dodaje śmiałości,
Ze nie czują, gdy ranę przyjmą i do kości.”

Mimo wszystkich tych namiętnych pochwał trunkiem uznawanym wówczas dość powszechnie za najszlachetniejszy było wino, i to wbrew takim filipikom jak z „Pieśni o piwie”:

„Radujcie się nowinie,
Nie kochajcie się w winie,
Pijcie, co się nawinie.
(.)
W winie-ć nie ma rozkoszy,
Gdy ma' kto nazbyt groszy,
Temu mieszek spustoszy.”

Jakby replikując na te zarzuty, Jan Gawiński pisze:

„Cię nie piją Turkomanie,
Lecz sami chrześcijanie,
Przecież nie gmin, tałatajstwo,
Lecz książęta, szlachta, państwo
Lub rad osoby publiczne,
Gdzie miasta polityczne.”

Nie bez znaczenia był zapewne fakt, że wino stanowiło integralny element liturgii i tradycji religijnej, a związane z nim motywy już od średniowiecza służyły jako symbole teologiczne. Oto przykład tej funkcji, zaczerpnięty z poezji Miaskowskiego:

„Jako sok winny prosto od prasy,
Rumiony strumień leje do fasy,
A z niej moszcz winny wierzchem odchodzi,
Tak Pan topnieje w krwawej powodzi...”

Prowadziło to niekiedy do obrazów, które — prawdopodobnie bez takiej intencji autorów — ocierały się o bluźnierstwo. Przykładem może być fragment jednej z ówczesnych kołęd:

„Najświętsza Panna, gdy skosztowała,
Z pełnego sobie nalać kazała:
— Ej wina, ej wina, ej wina,
Będę dziś piła w Kanie Galilejskiej.”

Sztuka uprawy winorośli — tym razem potraktowana ściśle ogrodniczo — stała się również tematem jednej z sielanek Bartłomieja Zimorowica, który rozprawiając o rozlicznych trudach, jakie trzeba przy tym ponieść, o pieczołowitych staraniach, jakich wymaga ta kapryśna roślina, wnioskuje tym sa-

mym o szlachetności owoców tej pracy, którym sam Bóg musi „dodać łaski z góry”.

Najczęstsze jednak były stereotypowe pochwały szlachetnego trunku, jak ta Piotra Zbylitowskiego w „Schadzce ziemianina”:

„Wino dowcip zaostrza, posieła człowieka,
Żołądkowi potrzebne i przyczynia wieka.
Frasunek, myśli próżne wybija nam z głowy,
Czemu żaden nie sprostą wymownymi słowy.
Dni wesołych matką jest, dobrą myśl sprawuje,
Winem głowa zagrzana kłopotu nie czuje.
(.)
Jeszcze coś więcej powiem, serca nas nabawi
I z największego tchórza wnet rycerza sprawi.”

Ostatni dwuwiersz przywołuje nową perspektywę, z jakiej nierzadko rozpatrywany był wówczas — mniej lub bardziej serio — obyczaj picia: perspektywę obowiązku obywatelskiego, spełnianego z szablą w ręku. Kwestię tę rozwiązywano — jak czyni to Zbylitowski — z punktu widzenia sarmackiej fantazji, która upodobanie do trunków stawiała na równi z walecznością, niekiedy wręcz uzależniając je wzajem od siebie. Tak lapidarnie ujmie to Zimorowicz:

„...kto dobrze mierzy
Konwią, ten nie najgorzej i z łuku uderzy.”

Ten kanon „cnót szlacheckich ” z czasem uległ wszakże częściowemu rozkładowi, już to dzięki świadomości opłakanych skutków „rycerskich pija-tyk”, już to ze względu na rosnącą niechęć braci szlacheckiej do coraz częstszych wojen, podczas których krew bywała ceną dochodzonej w ten sposób prywaty. Wyraziło się to w licznych utworach, które prowokacyjnie deprecjonują wartość „przewag” wojennych i żołnierskiej sławy na rzecz równie prowokacyjnej gloryfikacji hulanek i pijaństw. Ton tych wystąpień oddaje fragment wiersza Kochowskiego „Do Bachusa”:

„Kto zwyciężył nieprzyjaciół,
Stawiaj obeliski;
Ja się wolę wcisnąć za stół,
Gdzie gęste kieliszki.”

Podobne przesłanie zawiera anonimowy utwór pt. „Wyjeżdżając na wojnę”, w którym buńczuczna, prostacka pieśń wojenna zostaje opatrzona ironicznymi, biorącymi ją w cudzysłów komentarzami:

„Jeszcze się w Dnieprze, jeszcze w Dunaju
Dosyć napławisz, teraz w Tokaju!”
„Uczyń imprezie swojej odmianę:
Ma-ć też i Bachus rotę kwarciane.”

„Co-ć po hałasach? Co-ć po ryszunku?
Będzie czas do krwi, teraz do trunku!”

Także u Andrzeja Morsztyna, najwybitniejszego przedstawiciela barokowego kunsztu poetyckiego, obok typowych drobiazgów bachicznych, sławiących „białe trunki i wystające dzbany”, znajdujemy utwór, który w podobnie parodystyczny sposób obrazuje kryzys żołnierskiego etosu. Tak w „Pieśni w obozie pod Zwańcem 1653” transponuje Morsztyn tradycyjną pieśń „wsiadaną”:

„Bracia, bracia do koni!
Już flasza na stole!
Dopadź szklanej broni
Wypadajmy w pole!”

Pojawiają się wreszcie głosy otwarcie, bez ogródek piętnujące owo sarmackie mieszanie spraw „trunka” i „ryszunka”:

„Oj, nie rzecz, nie rzecz, i namniej przystoi
Mężnych Lechitów synom, bracia moi,
W obozie ze szkła winem zlanym hojnie
Mówić o wojnie

Placem wojennym nam stół, arsenałem
Pwnica, gdzie dość municji zastałem;
Bachus hetmanem, mistrz artylerji,
Kto lepiej pije.”
(*Wespazjan Kochowski*)

Sztuka parodii o podobnej postaci obejmowała swym zasięgiem także inne cnoty — choćby cnotę pobożności. Pieśń Andrzeja Trzecieckiego „Gdy rano dziatki wstaną”, zaczynającą się od słów:

„Rano wstawszy ze snu swego
Każdy serca ochotnego
Dziękuj Panu Wszechmocnemu...”

spotyka się z taką parodystyczną repliką:

„Rano wstawszy z pościółeczki,
Napijmy się gorzałeczki,
Napiwszy się więc do chleba,
I pacierza nie potrzeba...”

Motyw ten, wzięty z anonimowej „Szkolnej mizeryi”, prezentuje charakterystyczny ton literatury plebejskiej tego okresu, nazywanej sowizdrzańską lub rybałtowską. Były to utwory ludyczne, wykorzystujące plebejski zmysł humoru, żyjące najczęściej w jarmarcznym obiegu literackim. Szczególna była też przestrzeń społeczna, w jakiej się poruszały. Literatura ta była dziełem — a często i portretem — anonimowych zwykle klechów, bakałarzy,

skrybów, żaków etc., stanowiących niejako zaczątek dzisiejszej inteligencji zawodowej.

Posiadany cenzus wykształcenia nie odpowiadał zajmowanej przez nich pozycji społecznej, zaś feudalna struktura stanowa była zbyt sztywna, by pozwolić im na realizację aspiracji, które z kolei uniemożliwiały pełną identyfikację z prostym ludem. Czyniło to z nich ludzi „luźnych”, wyrzuconych poza istniejący porządek społeczny i uwrażliwionych na jego niedomagania. W swej twórczości przyjmowali postawę błaznów i prześmiewców, a ich krytyczny osąd świata przybrał postać negacji przez śmiech. Tak więc literatura sowizdrzalska to literatura parodii, a odzwierciedlana w niej rzeczywistość to rzeczywistość „na opak”, w której to, co złe, zostaje prowokacyjnie postawione na piedestale, a to, co powszechnie — mniej lub bardziej zasadnie — uznaje się za dobre, przybiera postać karykaturalną i groteskową.

Rybałci z upodobaniem więc penetrowali, życie nizin społecznych, koncentrując się na co trywialniejszych jego przejawach. Obok dosadnie przedstawianej erotyki, obok barwnych portretów „łotrów i kuglarzy jawnych”, jako też „łakomców, przekłębików, spanoszonych pachotków, zabobonników, wiedzów” etc. — na niepoślednim miejscu pojawiały się i wizerunki „Bachusowej kompanii”. Spod pióra „sowizdrzałów” — którzy zresztą sami przybierali charakterystyczne pseudonimy w rodzaju: Mateusz Moczygębski czy Jan z Wy-chylówki — wyszło niemało zbiorów facecji i wierszyków, w których aż roi się od anegdot pijackich i birbanckich przymówek, komicznych apologii napitków i portretów idealnego pijaka, quasi-moralistycznych katechizmów, w których formuowano przykazania podobne temu: „Co zarobisz, to przepij!” Spotykamy tu i typowe piosenki pijackie („Pieśń o dobry gorzałce”), i żartobliwe drwiny ze skłonności spotykanych w różnych regionach („Mazurowie mili, gdzieście się popili...”), i scenki z życia chłopów, którzy upiwszy się na targu, w drodze do domu przeżywają najrozmaitsze perypetie, i przygody samych „sowizdrzałów” w rodzaju tej, którą przytoczył bodaj najznamienitszy z nich, Jan z Kijan, spity do nieprzytomności przez drukarzy, których odwiedził przy pracy nad jego „Fraszkami Sowizdrzała Nowego”, i wreszcie żartobliwe przechwałki, których przykładu dostarcza również twórczość Jana z Kijan:

„A do mnie, skoro przydę, z kuflem się pospieszcie,
Boć się ja też czasem widuję z szynkwasem,
Pijam z cyny i ze szkła, ba, i z konwie czasem...”

Powodem tak częstej obecności motywów pijackich w literaturze rybałto-wskiej jest bez wątpienia chęć odsłonięcia tych sfer życia powszedniego, które rzadko dotychczas przedstawały się na karty literatury, utrwalenie niektórych rysów kultury ludowej — właściwej jej obyczajowości czy poczucia komizmu — które nie mieściły się w ozdobnych conceptach ówczesnej poezji. Jawne przerysowanie kreślonych obrazów, zamięlowanie do dosadnych czy

nawet drastycznych szczegółów jest tu tyleż odwzorowaniem stylu plebejskiego humoru, co reakcją na sztuczność literatury baroku, tracącej niekiedy kontakt z treściami potocznych doświadczeń. Ale jest też inna przyczyna tego rodzaju upodobań.

Literatura sowizdrzalska wyrasta bowiem z ducha święta karnawałowego, zwanego swojsko mięsopustem. Święto owo stwarzało osobny, wyłączony niejako ze zwykłego biegu, czas, w którym normy obyczajowe i kulturowe ulegały zawieszeniu, umożliwiając swobodną ekspresję wszystkich tłumionych przez nie dążeń i skłonności. Karnawał to żywioł niczym nie skrępowanej zabawy, ujawniającej to wszystko, co w zwykłym czasie naganne, wstydlive, nieprzystojne. To domena owego „świata na opak”, odwracającego na czas jakiś wszelkie obowiązujące zasady moralne, religijne, społeczne — stanowiącego zaś nowe: nieformalne, oparte na familiarności i pełnej swobodzie, bliskie niekiedy duchowi anarchii i profanacji. Literackim tego świadectwem są choćby wspomniane wcześniej pijackie parodie kanonów stylu rycerskiego czy nabożnego, będące nie tylko wyrazem dystansu wobec wcielanych przez nie ideałów i wartości, ale też próbą rozbicia ram obowiązującego wówczas systemu literackiego. W znacznie szerszym zakresie duch jarmarku i karnawału ujawniał się w dramacie plebejskim — komediach rybałtowskich i mięsopustnych. Nie przypadkiem wiele z nich rozgrywa się w karczmie: nie tylko dlatego, że niektóre z nich tam właśnie bywały wystawiane, ale przede wszystkim dlatego, że miejsce to szczególnie dobrze służy karnawałowemu przemieszaniu stanów, kontestacji przestrzeganych zwykle norm, atmosferze spontanicznej zabawy, nie cofającej się przed żadnym figlem czy dowcipem.

W tej właśnie scenerii rozgrywa się „Mięsopust”, XVII-wieczna komedia karnawałowa, w której obok stałych i przypadkowych gości pojawia się barwny orszak Bachusa. Jemu to, w komicznej scenie, przedstawiają się główni bohaterowie, a to ni mniej ni więcej, tylko: Dybidzban, Łapikufel, Moczygęba i... Wino-miodo-piwo-marco-gorzałczyński. Osnową całej intrygi utworu jest spicie się do nieprzytomności przez jednego z biesiadników, co prowokuje jego kompanów do przemyślnego figla: przebrania go za wołu, w co ten zamroczony — przez czas jakiś wierzy. Na zbliżonym pomysłe — stanowiącym zresztą obiegowy wątek ówczesnej facecjonistyki — opiera się inna popularna komedia, „Z chłopą król” Piotra Baryki. I tu występują osoby o „znaczących” nazwiskach: Piwowski, Pijanowski, Kwasipiwski, Kuflewski, Dzbanowski, Czopowski etc. Ciż to dworacy i żołdacy natrafiają na upojonego do cna Sołtysa, który nim zaśnie, zdąży jeszcze wygłosić taką pijacką tyradę:

„Upilem się, a czegoż? Likworu onego,
Co go kwawitą zową! Cóż komu do tego? Hej! hej!
Cnotliwiż to żołnierze, toć mię upoili,
Bodajże jak najprędzej z miłym Bogiem byli. Dzu! dzu!

(.)

Ej, nogi, trzymajcie się, jakeście cnotliwe,
Bo mi idzie nabarziej o ciury złośliwe,
By mi nie wyrządzali złości obiesiowie,
Kiedybym tu odpoczął trochę swojej głowie. Oj! oj!"

Niestety jednak, „obiesiowie” postanawiają zadrwić z owego, co „pijany jak bączek, ciemnobrudny na twarzy, a nos ma by strączek”: podsyciwszy fantazję licznymi kolejkami, spełnianymi w intencji „Rzeczypospolitej i wszystkich Polaków”, za „zdrowie pułkownika mego jegomości” i „wszystkich piwowarów zdrowie”, wysuwają najróżniejsze pomysły zabawienia się kosztem nieświadomego chłopca, by w końcu zdecydować się na przebranie go za króla. Sołtys, obudziwszy się, szybko przystosowuje się do niespodziewanej roli, natychmiast też upomina się o biesiadę. Wierny jednak swym przyzwyczajeniom, proste jadło i piwo przedkłada nad wymyślne potrawy, „konewkę” zaś nad „sklenicę”. Jego możliwości w tej mierze budzą niemały podziw całej kompanii, usługującej mu jako świta królewska:

„Aleć pił! daj go diabłu! nie chciałbym jak żywo,
Chociaż też nieźle piję, wyzwać go na piwo.”

Nie wie wszelako, że i ten poczęstunek jest elementem fortelu: ma umożliwić powrotne sprowadzenie go do przyrodzonego stanu. Pamięta wskaże o swych przeżyciach, co jednak czyni zeń obiekt nowych drwin. Powracając do domu ogołocoony z pieniędzy, poszkodowany na ciele i na duchu, z doświadczenia tego wynosi jedną naukę:

„I obuchem mi dano, i mieszekem stracił,
Bogdajęm się ja nigdy z żołnierzmi nie brać.”

Struktura tego typu dramatów jest odpowiednikiem kulturowej funkcji karnawału: jak trunek wprowadza człowieka w stan, w którym przestając być panem swoich czynów, wystawia się na pośmiewisko — tak karnawał jest czasem wyłączonym, wytrącającym świat ze zwykłych kolein, wprowadzającym stan wesołego zamieszania i pozbawionej wszelkich hamulców zabawy.

To jednak, co dozwolone w czasie karnawału, kiedy indziej było przedmiotem oburzenia, co więcej, późniejsze dramaty tego rodzaju — jak np. „Dialog mięsopustny o Bachusie” — coraz częściej porzucały postawę świątecznej tolerancji, przyjmując wobec pijackich wybryków stanowisko moralistyczne. Gdy więc we wspomnianym dialogu Bachus, zasiadłszy przy stole, rozpoczyna swą typową orację:

„Będzie czas pokutować, jak się zestarzejemy,
Teraz pókiśmy młodzi, świata zażyjemy”,

zostaje surowo skarcony najpierw — słowami — przez uosobioną Pokutę, a później — w sposób nie pozwalający już na żadne sprzeciwy — przez Śmierć. Także i w innych podobnych utworach żart ustępuje powadze, uderzającej w tony przestrogi. W „Sejmie piekielnym” Januariusza Sowizraliusa „karczemny diabeł”, Asmodeus, wyjawia powody, dla których gorzałka jest jego sprzymierzeńcem:

„A ten trunek takiej mocy; kto go jedno skusi,
Wszystko, co my rozkażemy, to wypełnić musi.
Co był po trzeźwu nabożnym, dobrym i pokornym,
To się stanie pijanicą, łotrem, frantem dwornym.
Cnoty o kość ani prawdy, ani też baczenia;
Wszystko to w sobie odmieni, co miał z przyrodzenia.”

W intermedium Sebastiana Skargi pojawia się już bezpośrednie oskarżenie adresowane do braci szlacheckiej:

„Ustało nabożeństwo w tym stanie i statek,
Tylko pijaństwo przy was i wszelki niestatek.
Prawda nogę złamała, trzeźwość w gębę wzięła,
Toć to wasze rycerstwo i szlachetna żyła.
Z nabożnego szydzicie, mnichem go zowiecie,
Szklaniami wydzwaniać, to tylko umiecie...”

Z kolei Jurek Potański, wspomniany wcześniej piewca gorzałki, gdzie indziej gotuje przeciw niej istny paszkwil:

„O, wódka zdrażliwa,
Wielom rzeczom krzywa;
Rządowi dobremu,
Sprzętowi mnogiemu,
Biegłej roztropności,
Przyjemnej ludzkości,
Dobremu baczeniu,
Wolnemu sumnieniu,
Zgodzie i miłości,
Biedaź na twe złości!”

Upadłe obyczaje, które nawet we własnej karykaturze przeglądały się jak w zwierciadle, budziły więc sprzeciw nawet wśród tych, którzy nieskorzy przecież byli do przesadnej wstrzemięźliwości czy mentorstwa. Podobne tony odzywają się też w twórczości Daniela Naborowskiego, Jana Gawińskiego czy Stanisława Jagodyńskiego, którzy w satyrach czy nacechowanych nierzadko patosem wyrzutach dają wyraz swemu zaniepokojeniu rzeką alkoholu płynącą bez ograniczeń do gardeł Polaków. Nawet Piotra Zbylitowskiego, który deklarował się wcześniej jako zwolennik umiarkowanych „igraszek z Bachusem”, oburzają „nowomodne” obyczaje:

„Gorzaleczki by trzeba, mówią, gospodarzu,
Zatrzymaj się ty jeszcze z obiadem, kucharzu.
Chłopi młodzi, dwudzieste jakoś pędzą lato,
A wždy się grzać gorzalką, aż i mnie wstyd za to.”

Najpełniejsze jednak, nacechowane temperamentem moralisty stanowisko zajęli w tej materii ci poeci, którzy i w innych kwestiach poruszali sumienia ówczesnych Polaków: Krzysztof Opaliński i Wacław Potocki. Pierwszy dał w swych satyrach niezwykle szeroką panoramę społecznych przejawów nałogu, nie stroniąc od najsroższych inwektyw wobec tych, którzy mu ulegają:

„Rozumiem, że pijaństwo w Polsce zasadziło
Swe gniazdo Tu się mnoży i swoje wywodzi
Gniazdusięta; bo ledwie że ząbki narostą
Dzieciuszkowi, aż on już kieliszki wytrząsa
(.)
Owo zgoła pijana Polska zwać się może.
Piją wszyscy, biskupi, i senatorowie,
A piją do umoru; piją i prałaci,
Żołnierze, szlachta, w miastach, we dworach i we wsiach.”

Wychodząc z tego syntetycznego obrazu, przedstawia Opaliński szczegółową analizę zjawiska. Rozpoczyna od złego wychowania — od ojców, którzy „złym przykładem synów psują”; gromi „stan białogłowski” za coraz częstszy udział w libacjach, wytyka „zbytki w częstowaniu i bankietach”, do których okazją bywają nawet pogrzeby; piętnuje przywileje propinacyjne, prowadzące do rozpijania chłopów; oskarża nieuczciwych mieszczan, czerpiących zyski z wyszynku stojącego na fałszerstwach i oszustwach. W pijaństwie widzi poeta groźbę dla gospodarki i siły militarnej kraju, źródło przestępstw i duchowego wyjałowienia Polaków, nie pamiętających już o swych obywatelskich powinnościach. Oto przekrój wszystkich stanów — we fragmentach obszernej satyry „Na pijaństwo nieposkromione i pijaniców”:

„Obróć-li się tam, kędy obóz leży,
Aż tam wszystko pijano.(.)
Zabijacie przy stole i waszych pucharach
Pełnych nieprzyjaciela, a kiedy w rzecz przyjdzie,
Nic, widzę, pijakowie marni nie umiecie,
Bo was, niż nieprzyjaciół, wprzód wino zwojuje.
Przyjdiesz-li do dworu. Co czynią panowie?
Piją, nie radzą; piją — bardzi o węgrynie
Myśląc, niżli Ojczyźnie. Stąd pijana rada
I sprawa też pijana. Pijany i senat,
A dopieroż poselska Izba, gdzie na sejmach
Jedna facies karczmy co i consilii.

Stąd swary, stąd do szabel po grubych przymówkach.

Nie dziw, bo gdy pijani znidą się do rady,

Miasto teźże skutecznej, przyjdzie wnet do zwady.

(.)

Do miast idę. O Boże, czy tam trzeźwo, czy nie?

I urząd, i ławica, i wszystko pospółstwo

W piwie, w miedzie i w winie aż po garło siedzi.

Stąd też pijane sądy, rząd także pijany...

(.)

Browarów jednak znajdziesz z potrzebą, a domów

Szynkowych; bo w tym wszystka polskich industria

Mieszczan zawisła: piwsko mizerne szynkować,

Napojem zbioru szukać. Ziemianin czy karczmarz,

Jedno u nas. Kto tylko przyjedzie, więc pić z nim,

A pić i przez kilka dni bez przestanku...

(.)

O chłopach zaś co powiem? Tym i sami giną,

Tym i panów swych własnych wniwecz obracają.

Więc zysk z karczmy u ciebie nawiększy, a tego

Nie widzisz, przez co chłopiek do nędzy przychodzi,

Kiedy wszystko przepije i swoje, i twoje,

Gdy niejedyn wół i koń w karczmie się ostanie."

Opaliński dostarcza w ten sposób — choć prawda, że niekiedy przedkładając publicystyczne efekty nad walory artystyczne — jednej z najwnikliwszych dotąd literackich diagnoz pijaństwa. Wyrzucił on cechy perswazyjne noszącą w jego utworach zarówno bezpośrednie, gwałtowne komentarze, jak i warstwa obrazowa, portrety opojów, ukształtowane w ten sposób, by jak najskuteczniej zrazić czytelnika do nałogu. Oto przykład z satyry „Na tych, którzy w głębokiej gnuśności i lenistwie leżą ponurzeni”:

„Na półzegarze dwunasta dochodzi.

Jużby i pijanica wyszumiał najtwardszy.

Ej, wstanici-ż wždy, mój panie — rzecz kto z kompanów.

Aż ci tandem porwie, ziewa, a na łóżku siedzi,

Siedzi, oczy wygniły, z gęby śmierdzi piwsko,

W paszczęce klują pełno, a w czuprynie pierza.

Toż dopiero do portek. Ubiera się przez dwie

Albo przez trzy godziny, aż dadzą śniadanie

A za nim prędko obiad, po którym już pije

I leje w się jak w beczkę. Za tym podwieczorek,

A na koniec wieczera, po wieczery szlaftrunk

A tak cały dzień znidzie śpiąc, jedząc a pijąc."

Warto odnotować, że Opaliński nie poprzestaje na gorzkich wyrzutach i przepelnionych odrazą opisach — próbuje równocześnie znaleźć remedium na ten „w zwyczaj obrócony występki”. Proponuje mianowicie zdecydowane zaostrenie kar — egzekwowanych w dodatku publicznie — dla zakłócających spokój pijaków, a ponadto znaczne ograniczenie wyszynku, który

miałby odbywać się tylko w dni świąteczne, a i to jedynie do ściśle określonej godziny.

Nie tak jednolite, choć nie mniej prawdziwe odzwierciedlenie tej problematyki można znaleźć u Wacława Potockiego. Nie brak w jego twórczości okolicznościowych wierszy bachicznych — jak choćby ten, który poświęcony jest zięciowi poety, Janowi Stanisławowi Lipskiemu, z okazji nadania mu starostwa sądeckiego. Utwór ten oddaje znakomicie nastrój wesołej biesiady, a żartobliwe toasty, tworzące tu małą antologię, stanowią szczególną materializację ducha wzajemnej życzliwości. W innej zupełnie funkcji pojawia się motyw alkoholu w „Peryjodach na śmierć syna Stefana”. Ten cykl poetycki, będący wyrazem ojcowskiej rozpacz, brzmi tonami autentyzmu i prostoty, które stwarzają wrażenie przejmującej prawdy psychologicznej:

„Bez niego śmiech nie śmieszny, jałowa zabawa,
Z gęby lezie potrawa,
Wina mi nie są winmi, nie miodami miody,
Piwo gorsze od wody.
Jedna tylko gorzalka.
Serce gore, gęba łka.”

Aprobatywna postawa wobec trunku — będącego tu źródłem pocieszenia — jest jednak tylko epizodem w twórczości Potockiego. W swych satyrach tropi on zaciekle wszelkie pijackie nadużycia, kreśląc plastyczne wizerunki — prałata, którego pobożność znika natychmiast, gdy dostanie się on we władanie Bachusa, czy też podczaszego królewskiego, który pełnienie swego urzędu okupuje stale opróżnianą przez kompanów piwnicą i dolegliwościami wynikającymi z nieustannej nietrzeźwości. Oto zaś, co pisze Potocki o typowym uczestniku sejmików:

„...rozum przedawszy, duszę i z ojczyzną
Za kwaterkę gorzałki, byle gotowizną
Gotów sprzedać (.)
Zginęliśmy, niestetyż, i nie masz nadzieje,
Bo co z sejmikami, toż z sejmami dzieje.
Tych by, co przez pijaków chcą prywat dopinać,
Rzeczpospolitą gubić, pierwej trzeba ścinać.”

Kwestia ta wydała się pocie tak dojmująca, że nie zawahał się wyzyskać jej przy obrazowaniu powszechnego rozkładu i marazmu, w mrocznej wizji świata otępiełego w grzechu.

„Śpi świat pijany winem, zamrużywszy oczy;
Nalewa babilońska swacha, czart go toczy.
Śpi świat rówien martwemu, opiwszy się, drzewu,
Winem z prasy Bożego na swe grzechy gniewu.”

Ten sugestywny obraz może posłużyć za syntezę świadectwa wystawione-

go przez literaturę tego okresu współczesnej sobie kulturze i obyczajom: iście barokowy koncept, przyrównujący ludzką gnuśność do pijackiego zamroczenia, owo zaś czyniący produktem „prasy Bożego gniewu”, stapia się tu z moralistyczną wrażliwością na zagrożenie tkwiące w potężniejących nałogach rodaków. Taki też był „Bachus w kontuszu” literatury baroku: łączący metaforę z dosłownością, rodzimość z perspektywą uniwersalną, a literacki efekt z obywatelską i etyczną odpowiedzialnością.

BACHUS W KONTUSZU: SCHYLEK

„Z miodu się pierwszy Piast, książę, wylęga,
Za nim syn idzie, odważny i chciwy.
Toż dalsi, jedni śmieli i potężni,
Drudzy rozpustni, gnuśni, niedołężni.

Trunkiem się wielkie dusze upodlały:
Leszków i Mieszków on na złe przemienił,
Bolesław, z męstwa okrzykniony Śmiały,
Miodem kijowskim cnoty wykorzenił;
Poległ na uczcie Przemysław wspaniały,
Gdy się w Rogoźnie do kufla nie lenił;
Kazimierz Wielki! a przecież kwaterką
Łyłł miód smaczny w Łobzowie z Esterką.

Olbracht w Krakowie berdyszem raniony,
Gdy się pijany uwijał po rynku;
Stefan! ów Stefan! dziełami wstawiony,
Połknął śmierć w Grodnie z ustawnego szynku;
I nasz Władysław, słusznie uwielbiony,
Przecież pedogry dostał w upominku.
Każdy w pijaństwie dziwne rzeczy broił,
August zaś Polskę do reszty rozpoil.”

Ta, cytowana już wcześniej we fragmencie, przedziwna i zarazem cokolwiek przerażająca — choć znajdująca przecież pewne potwierdzenie w zapisach kronikarzy i legendarnej tradycji — wizja naszych dziejów pochodzi z „Myszeidy” Ignacego Krasickiego. Wytaczając w niej walkę wszelkim bajecznościom i zafałszowaniom wcześniejszych dziejopisów (poczynając od Wincentego Kadłubka, od którego zaczerpnął osnowę utworu), walkę o rewizję historii w duchu racjonalizmu, Krasicki aluzyjnie dokonał zarazem na poły satyrycznego, na poły parodystycznego obrachunku ze współczesnością, dziedzącą wiele z obskurantyzmu czasów saskich.

Adres tego rodzaju przedsięwzięć w istocie nie był przedawniony. Kultura Oświecenia, choć niosła wraz z sobą idee trzeźwości nie tylko umysłowej, w niewielkim stopniu decydowała o kształcie codzienności ówczesnych Polaków. Oparty na kulcie rozumu program odnowy życia społecznego materiali-

zował się w postaci demokratycznych instytucji kulturalnych powołanych wówczas do życia. Ich oddziaływanie jednak ani nie było natychmiastowe, ani nie dokonywało się bez oporów. Choć w kręgach „oświeconych” zaczął się kształtować nowy styl życia, krańcowo odmienny zarówno od dworskiej „nędzy świetnej”, jak i od sarmanckiej rubasznosci, nie miała część społeczeństwa szlacheckiego pozostawała wierna tradycyjnym przyzwyczajeniom, które z kolei szeroko promieniowały i na inne stany. **To właśnie w połowie XVIII wieku, a więc u progu nowej epoki, nastąpiło w Polsce apogeum spożycia alkoholu.** Pijaństwo było wówczas prawdziwą plagą społeczną, a zarazem należało do przyjętego stylu życia. Zasada — wzięta w tym sformuowaniu z „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadków” — że „dobrze w dom gościa przyjąć jest toż samo, co się z nim upić”, obowiązywała niemal powszechnie i czyniła — mówiąc z kolei słowami księdza Kitowicza — „reputacją w narodzie rycerzom kuflowym oraz wynosiła ludzkość gospodarza do najwyższego stopnia”. W tej samej mierze, co życiu towarzyskiemu, alkohol towarzyszył sprawom publicznym. Przy butelce — a częściej przy całych tuzinach! sejmikowano, obradowano w trybunałach, zawierano umowy polityczne. Pełniąc jakikolwiek urząd publiczny — wedle jednej z ówczesnych opinii — nie tylko nie można było nie pić, ale wręcz trudno było zachować na dłużej trzeźwość.

Zjawisko to miało, prócz obyczajowego, także istotne polityczne znaczenie. Raz jeszcze odwołajmy się do Kitowicza: „Wielcy panowie starali się o takich pijaków, którzy lubili trząść sejmikami i rej wodzili po wszystkich magistraturach. Gdy albowiem w narodzie nic nie można było zrobić bez pijaństwa — czy to zgodę jaką, czy elekcją, czy interes własny utrzymać nie oblawszy go trunkiem jakim według wartości osób należycie, sama zatem rzecz zniewalała panów do konserwacji przy boku swoim głów na wszelkie trunki jak najmocniejszych, którzy by ich w takowej potrzebie gardłem swoim zastępowali, gdy tymczasem panowie takowym zastępstwem cokolwiek przy lepszym rozumie zostawieni, zamroczone rozumy albo raczej maszyny bezrozumne do swoich zamiarów nakręcali.”

Choć ten wymowny opis tyczy sytuacji za ostatniego Sasa, wiadomo, że i w późniejszym okresie tak właśnie forsowano partykularne interesy. Potwierdzenie tego stanu rzeczy znaleźć można by w publicystyce Franciszka Salezego Jezierskiego, w korespondencji Adama Naruszewicza czy w obfitej literaturze diarystycznej, na czele z „Pamiętnikami” samego króla Stanisława Augusta. Najzwyczajniej wyśłowił to Stanisław Trembecki:

„Co tysiąc dobrych mężów zbawiennie uradzi,
Przekupny pijanica słowem jednym zgładzi.”

O tym, że czasy saskie nie ze wszystkim jeszcze minęły, świadczy również bogata galeria słynnych opojów epoki, którzy zadziwiając współczesnych swymi isticie pantagruelicznymi możliwościami, zażywali sławy bohaterów, da-

rzeni atencją nie mniejszą niż „arcypijacy” minionych czasów. Ignacy Kona-
rzewski, który dzięki swym niezliczonym wyczynom zyskał miano „Bachusa
Polski stanisławowski”; Piotr Borejko, kasztelan zawichowski, zarządzający
gigantyczne orgie pijackie z przypadkowymi kompanami; Adam Małachowski,
krajczy koronny, w domu którego nierzadko ponoć zapijano się na
śmierć; kasztelan Dembowski, który dzięki niezwykłym właściwościom swej
głowy, wyparowującej natychmiast alkohol, mógł w picciu przetrzymać
wszystkich — to tylko wybrani spośród „herosów kielicha”, tłumnie zaludnia-
jących karty ówczesnych pamiętników.

W epoce stanisławowskiej te patologiczne w skali społecznej wyczyny
utraciły wszakże ów bezwzględny priorytet, jakim cieszyły się za Sasów.
Oświeceniowa formacja kulturowa nie stanowiła już dla nich oparcia: poja-
wiała się alternatywne wartości i wzory życia, grupujące wokół siebie co
światlejszych ludzi epoki. Z wolna ulegała zmianie atmosfera społeczna to-
warzyszczą „saskim” obyczajom, w czym nie miały udziału mianem sam Stanisław
August, ogólnie znany jako zwolennik ich uzdrowienia. Jeden z cudzoziems-
kich obserwatorów rzeczywistości polskiej w czasach Sejmu Czteroletniego
pisał: „Dawniej żadnej sprawy nie załatwiono bez uczty i pijatyki. Zwyczaj
ten jednak szybko zanika, ponieważ król i jego rodzina świecą przykładem
wstrzemięźliwości.”

Choć pod względem roli politycznej postać to nader kontrowersyjna,
bez wątpienia był monarchą prawdziwie oświeconym, człowiekiem
wszechstronnie wykształconym i artystą z powołania, a także mecenasem
kultury i animatorem wielu przedsięwzięć, mających na celu reformę oby-
czajów i kanonów życia publicznego. Zarzuty, które go z tej przyczyny
spotykały, znakomicie sparodiował Krasicki w głośniejszej satyrze „Do króla”
oraz we fragmencie „Monachomachii”, będącym przewrotną pochwałą
monarszej wstrzemięźliwości:

„Z góry zły przykład idzie w każdej stronie,
Z góry naszego nieszczęścia przyczyna.
O ty, na polskim co osiadłszy tronie,
Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina!
Cierpisz pijaństwo, że w ostatnim zgonie,
Z ciebie gust książek, a piwnic ruina.
Tyś naród z kuflów, szklenic, beczek złupił;
Bodajżeś w życiu nigdy się nie upił!”

Słynną, a w typie dość unikalną formą królewskiego mecenatu były „obia-
dy czwartkowe”, gromadzące na cotygodniowych „uczach uczonych” naj-
świetniejsze osobistości ówczesnej kultury. Niewymuszona sytuacja biesiadna
znakomicie sprzyjała wzajemnym kontaktom i wymianie myśli, czyniąc te
nieformalne spotkania prawdziwą instytucją życia kulturalnego, centrum, z
którego promieniowało wiele inspiracji i pobudzających idei. Powściągliwość

gospodarza ważyła na walorach stołu, choć bez przesadnego rygoryzmu. Co prawda sam król pijał jedynie wodę zdrojową, tylko od wielkiego dzwonu sięgając po swe ulubione wino węgierskie, które zwał Popielem (to zapewne pogłos „Myszeidy”, czytanej tam przez Krasickiego) — na stole jednak pojawiały się trunki, w umiarkowanych ilościach, jako środek budzący „ducha swobodnej rozmowy prowadzonej przy kielichu wina”. To umiarkowanie było nawet powodem żartobliwych przytyków, jak tego choćby, który wyszedł spod pióra Tomasza Kajetana Węgierskiego:

„A uczone obiady (.)
W których król musi wszystkie zastąpić expensa:
Dowcipu, wiadomości i wina, i mięsa.”

Trudno, rzecz jasna, brać te złośliwości poważnie — tak raczej jak przytoczone „zarzuty” Krasickiego — zwłaszcza że szlachetne wina bywały tam nie tylko elementem zastawy, ale i tematem tzw. wierszy desertowych: improwizowanej poezji biesiadnej, stanowiącej jedną z rozrywek dostojnego, acz nie pobawionego zmysłu humoru, grona. Przykładem utworów tego rodzaju, często drukowanych na łamach „Zabaw Przyjemnych i Pożytecznych”, pisma będącego niejako organem prasowym „obiadów czwartkowych”, może być oda Naruszewicza, dziękującego w niej królowi za butelkę wina, którą ten posłał mu, nieobecnemu ze względu na udział w rekolekcjach, prosto ze stołu podczas jednego z „czwartków”:

„Już ja wymowny, już ja przy pucharze
Brzękam, jak dawniej, na słodkiej cytarze
I coraz śpiewam, podchmielewszy sobie:
Kto panu krzywy, bodaj leżał w grobie.”

To właśnie król był inicjatorem szczególnego turnieju poetyckiego, podczas którego uczestnicy obiadu mieli improwizować wierszowane pochwały wina. Tak zrodziła się „Pochwała wesołości” Franciszka Bohomolca, niefrasobliwa pieśń o równie niefrasobliwym refrenie:

„Po szklaneczce do piosneczki,
Po piosneczce do szklaneczki.”

Od razu odpowiedział, zachowując ten sam tytuł i refren, Ignacy Krasicki, który pochwałę wina splótł z pochwałą samego Bohomolca:

„To mi mędrzec zawołany,
Co z szklaneczką mądrość godzi:
Trunek pieśnią przeplatany —
Ta zapala, tamten chłodzi.
(.)

Smutek się tam nie zapląta,
Gdzie szklaneczka myśli żarzy;
Wiwat syn Ankreonta
Z podobieństwa, myśli, twarzy!"

Znamienne, że w owym dialogu poetów (który zresztą na tym się bynajmniej nie zakończył) miejsce Bachusa jako patrona biesiadnych uciech zajął Anakreont: sarmacką brawurę zastąpiła przy królewskim stole oświecona elegancja, którą cechowała nie tylko wytworność manier, ale też artystyczno-intelektualna atmosfera, podtrzymywana, lecz nie zastępowana przez rozkośne kielicha.

Warto przy okazji zauważyć, że w zacytowanych strofach popada Krasicki w niejaką sprzeczność argumentacji, najpierw wskazując na kojące, „chłodzące” działanie wina, później zaś sławiąc je za to, że „myśli żarzy”. Sprawił to zapewne nastrój chwili, w której utwór powstał: konwencja turnieju poetyckiego, spontaniczność improwizowanego dialogu, podczas którego trudno dbać o wewnętrzną spójność myśli. Ale być może jest to mimowolny wyraz niejednoznacznej postawy Krasickiego wobec trunku, który na życzenie królewskie miał być opiewany. Oto bowiem w tym samym niemal czasie spod jego pióra wyszedł utwór „Do pana Lucińskiego, podczaszego JKMci”, zwany również „Pochwałą miodu”. Włączając się w toczony i w poprzednich wiekach spór, a zarazem podążając tropem uwag poczynionych wcześniej w „Panu Podstolim”, Krasicki przedstawia się tu jako zwolennik swojskich napitków, ganiąc zarazem skłonność do drogich zagranicznych win. Utwór rozpoczyna apostrofa do tytułowego adresata, wskazująca na zbożne, a zagubione przez współczesnych, zamysły, które przyświecały przodkom przy ustanawianiu sprawowanego przezeń urzędu:

„Na garncu zasadzony i kwarcie i flaszy,
Zda się podłym twój urząd, mospanie podczaszy.
Nie myśleli tak starzy, gdy go stanowili;
Chcieli oni porządku i w tem, jakby pili.
Więc na pamiątkę ojców naszych wiekopomnych,
Choć masz urząd pijacki, wodzem masz być skromnych.”

W dalszym ciągu przystępuje Krasicki do rzeczowego wyводу, umieszczając roztrzęsaną kwestię w szerszym kontekście — krytycznie oświetlonego — stanu społeczeństwa: jego obyczajów, wzorów życia, a wreszcie i ekonomiki:

„Słodka zawsze rzecz cudza: co nasze, mniej ważne;
Stąd miód poszedł w pogardę, piwo niepoważne,
A że go dostać można i łatwo, i tanio,
Dla mody go nie piją, dla mody go ganią.
Wkradł się zbytek w umysły zgnuśniałe w pokoju,
Wkradł się w odzież, w mieszkanie, do jadła, napoju.
A coraz postępując, fatalnem ogniwem,
Wzgardził dawną prostotą, w niej miodem i piwem.

Przeszedł nałóg nieprawy od ojców do dzieci:
 Co było trunkiem panów, teraz ledwo kmieci.
 Zrażeni niezgrabnością mniemanej prostoty,
 Wstydzim się miodu, piwa, tak jak dawnej cnoty.
 Lepiej było, kiedyśmy nasze trunki pili.
 Nie piwo lub miód czynił, żeśmy zwyciężyli,
 Ale, co za prostemi trunki zawsze chodzi,
 Trzeźwość była zaszczytem i starców, i młodzi.
 (.)
 Może się zda ten sposób i podły, i mały?
 Czyż się kiedy trunkami narody wzmacniały?
 Nie trunkami, to prawda; lecz, jak wśród machiny,
 Wielkich skutków sprawcami są małe sprężyny,
 Tak i napój ojczysty zbyt drogo niepłatny,
 Gdy oszczędza wydatki, szanowny i zdatny.
 (.)
 Z oszczędności dostatek, z pracy się zysk wszczyna;
 Pijmy skromnie miód, piwo; dojdziemy do wina."

Ta publicystyczna wręcz w tonie wypowiedź daleka jest więc od potępienia „powabnych trunków” — co przydaje jej tylko cech autentyzmu, zważywszy również na potwierdzane przez współczesnych upodobanie autora do wykiwnych biesiad, nie tylko królewskich. Warta przy tym uwagi jest wszechstronność argumentacji, odwołującej się wszak nie tylko do wartości ściśle moralnych, ale też wskazującej na materialne skutki, potępianego również w satyrach, marnotrawstwa i rozrzutności ponad stan.

Argumentacja ta jednak nie okazała się widać przekonująca, skoro wywołała rychło szeroki oddźwięk polemiczny, częściowo utrwalony w publikacji zatytułowanej „Spór rymotwórski między chwalcami miodu i wina...” Jednym z replikujących był Adam Naruszewicz, który w wierszu „Luciński podczaszy JKMci do Autora Podstolego” dowodził wyższości wina nad innymi trunkami. Czynił to zresztą i w innych utworach, często uderzając w tony niemal podniosłe — jak w wierszu „Do wina”, wyrażającym z ducha „światowych rozkoszy” Hieronima Morsztyna:

„Cokolwiek w sobie świat zawiera długi,
 Wszystko się kwapi do twojej posługi;
 Dla ciebie ziemia, biorąc w pęta wody,
 Wzniesła gnuśnymi zgaste ognie lody.
 Tyś ciało pierwsze gałęzistej rzeszy,
 Z ciebie się matka ziemia chlubnie cieszy;
 Słońce dla twego wzrostu promień sili;
 My się rodzimy, żebyśmy cię pili."

Nie brakło też anonimowych głosów ziemiańskiej prowincji, która zasmakowawszy w szlachetnym trunku, nieskora była do jego porzucenia:

„Kochany Panie Podstoli!
Już to nas zbyt wszystkich boli,
Co się szlachtą nazywamy.
Węgierskie wina pijamy,
Skąd się to wzięło Waszmości
Uczyć nas dawnej skromności,
A rzekłszy prawdę, podłości.”

Ton większości sprzeciwów, z jakimi spotkało się wystąpienie Krasickiego, zwięźle streszcza dialog z komedii „Pan Nowina” Juliana Ursyna Niemcewicza:

„EWELINA”:

Nie wiem, skąd to pochodzi, że w naszym rodaku
Nie znajdziesz ni grzeczności, dowcipu, ni smaku.

JASMIN:

(.)

Wina wcale tu nie masz, myśl nie będzie żywą
W narodzie, co ustawnie pije tylko piwo.”

Ten epizod polemiczny, choć w swoim czasie głośny, żadną miarą nie wyczerpuje stanowiska Krasickiego w kwestii alkoholu. Problematykę tę podejmuje już na progu swej działalności literackiej, jako autor i redaktor „Monitora”, pisma założonego przez Stanisława Augusta w 1765 roku. Będąc organem obozu reform, „Monitor” przy pomocy nowoczesnych form dziennikarskiej wypowiedzi prowadził batalię o przebudowę dziedziczonego modelu państwa i społeczeństwa zgodnie z racjonalistycznymi ideami Oświecenia. Tradycyjne pijackie nałogi były tym składnikiem „starego”, który stanowił częsty obiekt ataków publicystyki pisma. Również biskup warmiński ogłaszał tu felietony i korespondencje, w których roi się od zaściankowych birbantów, trawiących swój obywatelski zapał w groteskowych harcach przy kielichu. Zebrane wówczas obserwacje staną się materią późniejszych satyr oraz powieści Krasickiego: „Pana Podstolego” i „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadków”.

W zawartym w drugiej z nich opisie edukacji tytułowego bohatera znalazły odzwierciedlenie liczne zagrożenia czyhające na młodego szlachcica: od domu rodzinnego, którego sławę i dobre imię wśród sąsiadów podtrzymać mógł jedynie cały arsenał „amunicji piwnej, winnej i gorzałczynej”, przez bytność w mieście trybunalskim, zaludnionym przez sprytnych oszustów i pijaków, żerujących na naiwności prowincjuszy, aż po zagraniczne podróże, stwarzające aż nadto pokus dla niedoświadczonego przybysza. Po kilkuletnim pobycie na wyspie Nipu, utopijnej krainie rządzonej w doskonale racjonalny sposób i nie znającej zupełnie alkoholu, bohater powraca w rodzinne strony, postanawiając to, czego się tam nauczył, wykorzystać w działalności publicz-

nej. Już jednak starania o godność poselską wymagają odeń pojenia beczkami wina głosującej braci szlacheckiej, w trakcie czego i jemu samemu nie wypadło zachować trzeźwości: "... lubo uczynilem mocne przedsięwzięcie wstrzemięźliwości, przecież mimo heroiczną moją obronę musiałem się upić kilka razy." Zrażony tymi obyczajami, jak też niepowodzeniem podczas sejmowych obrad, wycofuje się do rodzinnej wsi, by tam kontentować się szczęściem familijnym oraz mądrym i sprawiedliwym gospodarowaniem.

Przywary rodaków, przedstawione tu w ujęciu epickim, choć nie bez intencji dydaktycznej, coraz częściej stawać się będą głównym tematem twórczości Krasickiego. Wiązało się to z jego zaangażowaniem po stronie obozu reform, które wszak byłyby tylko martwą literą, gdyby nie towarzyszył im proces uzdrawiania moralności publicznej, regeneracja obywatelskiej odpowiedzialności. Tak pisał Krasicki w liście poetyckim „O obowiązkach obywatela”:

„Z doświadczenia nauka. Więc gdy szczęście celem,
Nie fanatyk swywoli jest obywatelem.
Nie kocha ten ojczyzny, kto chce wolno grzeszyć.”

Zgodnie z tym mniemaniem Krasicki — podobnie jak wielu innych pisarzy Oświecenia — podporządkował swą twórczość celom społeczno-moralnym, czyniąc z niej narzędzie „zuchwałego rzemiosła”, jak nazywał dzieło poprawiania świata. Zdając sobie sprawę ze służebności literatury, z konieczności skutecznego oddziaływania za jej pośrednictwem na umysły współczesnych, stronił Krasicki od wszystkiego, co trąci werbalnym moralizowaniem, jawną perswazją, mentorstwem. Pod jego giętkim piórem dydaktyczne intencje przybierały postać wyrazistych obrazów, błyskotliwych aforyzmów i dialogów, zaskakujących i pobudzających do myślenia point. Nade wszystko jednak sięgał po żart, drwinę satyrę, parodię, ironię — środki działające energią śmiechu, w którym „przestroga zdalna się ukrywa”.

Nałóg pijaństwa był jednym z najwdzięczniejszych obiektów wycieczek satyrycznych Krasickiego. Znakomitym tego dowodem jest „Monachomachia”, poemat heroikomiczny, napisany zgodnie z zamysłem:

„Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych.”
Śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych.”

Poczynione zastrzeżenie jest o tyle uzasadnione, że zawarty w utworze atak na stan mnisi musiał wywołać — i rzeczywiście wywołał — niemałe oburzenie. Do dziś zresztą nie jest pewne, czy twierdzenie Krasickiego, że rękopis poematu został mu wykradziony i opublikowany bez jego wiedzy, jest tylko konwencją literacką, dosyć wówczas popularną, czy też prawdą. Krytyka pomieszczona w „Monachomachii” nie świadczy przy tym o antyklerykalizmie Krasickiego czy w ogóle polskiego Oświecenia, przynajmniej w takim sensie,

w jakim cecha ta przysługiwała Oświeceniu francuskiemu; krytyka sług Kościoła wyszła w końcu spod pióra biskupa i dotyczyła nie religijnych podstaw organizacji zakonnych, lecz obyczajowej deprawacji zaprzeczającej w istocie ich rzeczywistemu powołaniu. Co więcej, zwolennicy reform upatrywali w niektórych zakonach (niektórych — były bowiem i takie, które swą działalnością wspierały proces oświeceniowych przemian) czynnik konserwujący kulturę sarmacką, którą uznawano za synonim wsteczności.

Ten selektywny adres nie odbiera jednak ostrza satyrze „Monachomachii”. Oto już pierwsze jej strony zawierają opis zamętu, jaki „jędza niezgody” wywołała w „murach Karmelu”, owym „rozkoszonym siedlisku świętych próżniaków”. Oto pierwsza supozycja wysunięta przez jednego z obudzonych zbyt rano i zbyt gwałtownie:

„Cóż to za rozruch u nas niesłychany?
Czy do piwnicy wkradli się złodzieje?
Czy wyschły kufle, gąsiory i dzbany?”

Zoczywszy wszakże, iż najgorsze się nie stało, przystąpili do roztrząsania przyczyn niepokoju, wspomagając swą roztropność „słodko-dzielnym wódczanym likworem”:

„Wziął doktor kubek w pocie swego czoła,
Łyknął dla zdrowia posiłek gotowy;
Lecz żeby jeszcze myśl przyszła wesółą,
W świętym orszaku, w gronie miłych dzieci,
Raczył się napić raz, drugi i trzeci.”

Znalazłszy zaś przyczynę w zawiści sąsiadujących dominikanów, przyjmują ich wyzwanie na dysputę, choć zrazu rozważają, czy pojedynku na argumenty nie zastąpić pojedynkiem na kielichy, te bowiem lepiej odpowiadają duchowi czasów:

„Że dobrze myśleć o chlebie i wodzie,
Bajali niegdyś mędracy zapalczywi.
Wierzył świat bajkom, lecz mądry po szkodzie,
Teraz się błędom ponanym przeciwi.
Już wstrzemięźliwość nie jest teraz w modzie,
Piją, jak drudzy, mędracowie prawdziwi.
Miód dobrym myślom żywości udziela,
Wino strapione serca rozwesela.”

Gdy jednak pojawiają się przestrogi, by nie zaczepiać „rycerzów zbyt sławnych”, bowiem „pijemy dobrze, ale lepiej oni” — mnisi, choć niechętnie, postanawiają podjąć „uczone wyzwanie”, utyskując przy okazji na odejście w przeszłość złotego wieku „szczęśliwej prostoty” i przypisując winę za to — zacytowanymi już wcześniej słowami — przykładowi króla, z którego „gust

książek, a piwnic ruina". By jednak podkreślić, że dawne obyczaje mają wciąż w klasztornych murach swój przybytek, czyni je autor przedmiotem ironicznej pochwały:

„Wdzięczna miłości kochanej szklanice!
Czuje cię każdy i słaby, i zdrowy;
Dla ciebie miłe są ciemne piwnice,
Dla ciebie znośna duszność i ból głowy,
Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice.
W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy.
Byle cię można znaleźć, byle kupić,
Nie żał skosztować, nie żał się i upić!”

W oktawie tej Krasicki ściśle parodiuje swą własną pieśń „Święta miłości kochanej ojczyzny...”, podniosły utwór, który przez jakiś czas pełnił nawet funkcję hymnu narodowego. Fakt, że autor zdecydował się na tak ryzykowną, bliską profancji, trawestację (zamiana „ojczyzny” na „szklanicę”!), zdaje się świadczyć tyleż o libertyńskich skłonnościach pisarzy Oświecenia, nieskorych do czołobitności przed jakimkolwiek autorytetem, co o atmosferze swobodnej zabawy, która każe dostrzec w „Monachomachii” — obok dzieła surowego krytycyzmu — także „igraszkę wesołego dowcipu”.

Przemieszanie obu tych tonacji widać doskonale w kulminacyjnej scenie poematu, gdy bójkę na kufle, w którą rychło przerodziła się uczona sysputa, przerywa „vitrum gloriosum”, „dzban nad dzbany”, który wniesiony w sam środek bitwy przez prałata, poskramia najbardziej zaciętrzewionych, godzi najzacieklej zwaśnionych. Obraz ten wystylizowany jest najoczywściej na podobieństwo sakralnej procesji z monstracją, co symbolizuje zanik religijności zakonnych wspólnot, zastępowanej przez bałwochwalczo kulturowany obyczaj pijacki. Jednocześnie Krasicki odtwarza w ten sposób realia sejmików, które odbywały się zwykle w kościołach, a nierzadkie wówczas bójki między sejmikującymi uśmierzano za sprawą uroczystie wnoszonego Sakramentu. Z drugiej jednak — choć nie całkiem przeciwstawnej — strony scena ta odwołuje się do znanych od wieków „mszy pijackich”, parodiujących obrzędy liturgiczne, a być może również — do współczesnej Krasickiemu publikacji, w której pod niewinnym tytułem „Tradycji warszawskiej” ukrywał się akt fundacyjny „Kongracji Fratrum Bene Bibentium”. Żywiół obrazoburczej parodii wyzyskany tu więc został i jako instrument satyrycznego oskarżenia, i do celów czysto humorystycznych. Potwierdza to również końcowa scena zgodnej — jakże by inaczej! — pijatyki niedawnych przeciwników, czym potwierdzających starą zasadę „in vino veritas” czy raczej „in vino consensus omnium”.

Zasadę tę głosi jeszcze wyraźniej finał „Antymonachomachii”. poematu, w którym Krasicki, odpowiadając na liczne głosy krytykujące „Wojnę mniichów”, a nawet obcesowe żądania pod swoim adresem („pobiel, coś osma-

lił!”), na pozór skruszony, odwołując diagnozę tam przedstawioną. W istocie zaś wysubtelnia jedynie postawione wcześniej zarzuty, a oburzenie mnichów podrzuconą im do klasztoru „księgą zakonnej wojny” łagodzi... okazałym „dzbanem czworogarncowym”, wniesionym, aby „naprawił uprzykrzone dole”. Natychmiast też poczęto go opróżniać, zrazu „w skromności i mierze”, później odrzuciwszy zbędne skrupuły („Jak to nie lubić, skąd płyną radości?”), a gdy pokazał już dno, wyłoniła się stamtąd Prawda, usprawiedliwiająca w swej przemowie krytyczne intencje autora. Oto więc rzeczywista wymowa przewrotnej samokrytyki Krasickiego:

„Więc, zasilając ducha w troskliwości,
Pod dobrym hasłem: niech poczciwi żyją!
Wielebne ojcy jak piją, tak piją.”

Przyznać jednak trzeba, że i ten obraz nosi ślady właściwej satyrom Krasickiego ambiwalencji: przygany i żartobliwej pochwały. Tak bowiem opisuje on ów wspaniały dzban:

„Takiemi nasi ojcowie pijali;
Smutek stroskanych myśli nie zajmował,
Takiemi uczyły swoje odprawiali,
Uczyły, na których zbytek nie panował.
Szedł dzban na kolej, w nim radość czerpali,
A przemysł chytry ochoty nie psował.
Rozweseleni uprzejmym obchodem,
Napawali się i piwem, i miodem.”

Czyż wolno dopatrywać się w tych zdaniach wyłącznie szyderstwa, skoro w przywoływanych wcześniej utworach Krasicki, całkiem serio i nie bez racjonalnych uzasadnień, deklarował się jako zwolennik rodzimych, a nieszczęściem zarzuconych trunków? Czyżby więc mnisi bibosze, kultywujący tradycyjne obyczaje, nie zasługiwali na przyganę, a przeciwnie, najwierniej wypełniali intencję jego wskazań?

Ważnym składnikiem świadectwa, jakie biskup warmiński wystawił swym czasom, były satyry, w których zawarty został katalog społecznych przywar ówczesnej Rzeczypospolitej. Ośmieszając je w karykaturalnych wizerunkach, Krasicki wierny był jednak uznawanemu wtedy powszechnie, choć nie bez wyjątków, pogładowi, wedle którego śmiech tylko wówczas może spełnić swe dydaktyczne funkcje, „kiedy się z przywar, nie z osób natrząsa”. Tak sam rozwijał tę myśl: „Powstaję i powstawać będę na (...) każdego pijaka i złoczyńcę, ale palcem nikogo wytykać nie chcę ani mam wolę. Występkę, nie ludzie, są moimi nieprzyjaciółmi i dlatego, że ludzi kocham, występki nienawidzę.” Zgodnie z tym poglądem kreślił w swych utworach obrazy uogólnione, pogłębiając raczej interpretację typowego zjawiska, niż zdradzając personalne czy społeczne rysy służącego za tworzywo literackie przykładu. W ten właś-

nie sposób piętnował również grzech opilstwa. Przykładem może być bajka o szczepie winnym, w której kunsztowne wywody na temat legendarnych okoliczności powstania tej rośliny podsumowuje taka oto zgrabna, choć po Rejowemu dosadna pointa:

„Oto: gdy wina szklankę kto lyknie,
Jak paw się nadmie; po drugiej krzyknie,
Skacze jak małpa, gdy szklanki mnoży;
Po piątej, szóstej jak lew się sroży;
A kiedy coraz więcej przyczynia,
Z pawia, lwa, małpy staje się świnią.”

Bardziej rozbudowane, okraszone realistycznymi szczegółami obrazy tego nałogu przynoszą satyry: „Marnotrawstwo”, „Życie dworskie”, nade wszystko zaś słynne „Pijaństwo”. Utwór ten, wypełniony w całości żywym dialogiem, odsłania obyczajowe i psychologiczne (a miejscami nawet psychosomatyczne) motywacje nadużywania alkoholu, do czego ówczesne życie dostarczało nieprzeliczonych okazji: od imienin żony po wizytę przypadkowych gości:

„Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom przychodzi?
Jak częstować, a nie pić? i to się nie godzi.”

Podczas uczty, relacjonowanej przez jej schorowanego uczestnika, wraz z rosnącą ilością opróżnionych butelek, rośnie też temperatura biesiadnych „dyskursów”, pijackich przymówek i maksym, coraz częściej oscylujących wokół spraw publicznych, by przy dziesiątej zakończyć się ogólną bijatyką, do której asumpt dały sprzeczki na temat „żórawińskich klęsk”. Barwna scena pijatyki, wzbudzającej wśród biesiadników nienaturalną buńczuczność i rezolucję oraz podnoszącej poziom dumy własnej, wyczulonej na najmniejsze zadraśnięcia — dostarcza wyrazistej egzemplifikacji dla sumarycznej oceny:

„Bodaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!
Cóż w nim? Tylko niezdrowie, zwady, grubijaństwo.
Oto profit: nudności i guzy, i plastry.”

Niespodziewany jest końcowy akcent satyry: oto po pełnej moralizatorskiego patosu tyradzie drugiego z rozmówców, potępiającej alkohol i ludzi odanych w jego władzę, a sławiącej „pożytki trzeźwości” — ów zbolały uczestnik libacji, przed chwilą rzucający grad najcięższych inwektyw na wszelkie trunki, stwierdza nagle: „»Bądź zdrow!« »Gdzieś idziesz?« »Napiję się wódki.«” Ta znakomita pointa wzbogaca zawarty w utworze wizerunek pijaństwa o jeszcze jeden rys: bezsilność jakichkolwiek moralistycznych napomnień wobec nałogu, gubiącego także tych, którzy — zwłaszcza nazajutrz po przepiciu — głoszą jego potępienie. Zakończenie to stanowić może również

pośredni wyraz niewiary autora w skuteczność dydaktycznego oddziaływania literatury (przynajmniej w tej kwestii!), opierającego się przecież na intelektualizmie etycznym, którego zasadność tu właśnie poddana została w wątpliwość. Świadczy o tym również rezygnacja Krasickiego z jakichkolwiek odautorskich komentarzy i utyskiwań: oddając głos samym bohaterom, aż nadto wyraźnie ujawniającym zarówno mentalność pijacką i mechanizmy nałogu, jak też bezsilność drętowego moralizowania, uczynił wiarygodnym swój stosunek do tego problemu, a zarazem osiągnął efekt artystyczny — błyskotliwość i żywość dramaturgicznego przedstawienia.

Nie jedyny to utwór, w którym Krasicki wyrażał sceptycyzm co do możliwości szybkiego dokonania dzieła „oświecenia publicznego”, co do skuteczności stosowanych metod oddziaływania na współobywateli. W „Pochwale wieku”, dokonując krytycznego obrachunku zbyt naiwnie niekiedy pojmowanego postępu, wskazywał, że tradycyjne przyzwary „zbyt porywczym zaciekły się pędem”, by można było liczyć na ich rychłe wypłenienie. Nie świadczy to jednak o bezwartościowości oświeceniowego programu reform, bowiem:

„Że się obrzask pokaże w źle chowanym winie,
Nie likwor temu winien, ale złe naczynie.”

Nie jest odosobnionym przypadkiem użycie przez Krasickiego metafory, której tworzywem jest motyw wina, do zobrazowania ogólnych kwestii etycznych czy obywatelskich. Wiele podobnych przykładów przynoszą bajki: w utworze „Woda i wino” dialog tytułowych bohaterów ilustruje relację między pańską chętnością a chłopskim upośledzeniem, zaś w „winie szampańskim” znajomość prawideł procesu fermentacyjnego pozwala Krasickiemu ukazać niebezpieczeństwa nazbyt wybujałej swobody oraz pożytki płynące z samoograniczenia. Zwolennik piwa i miodu potrafił więc wyzyskać estetyczne i perswazyjne walory tkwiące w motywie wina w sposób daleki od uprzedzeń, budując obrazy, które — osadzone w powszechnych doświadczeniach konsumpcyjnych — musiały oddziaływać na wyobraźnię odbiorców.

Krasicki nie był osamotniony w swych satyrycznych wycieczkach przeciw pijackim nawykom. Wspomagał go choćby pijar, Gracjan Piotrowski, który w zbiorze napisanym „przeciwko zdaniom i zgorszeniom wieku naszego” pomieścił sążnistą satyrę „Na pijaństwo a zwłaszcza obrzydliwym trunkiem gorzałki”. Jak widać, największe zagrożenie upatrywał Piotrowski nie w winie, jak Krasicki, a w wódce, którą nazywał „bezecną prostuchą”. Daleko mu co prawda do finezji i narracyjnej pomysłowości autora „Pijaństwa”, nie najszcześniejszy jest też kaznodziejski ton utworu, jak i argumentacja, miejscami bezwiednie komiczna, bo na przykład z całą powagą powtarzająca ludowy przesąd o pożarze wznieconym przez gorzałkę we wnętrzościach pijącego. Na uwagę wszakże zasługuje gruntowność, z jaką odslania satyryk żałosne skutki nadużywania alkoholu. Utyskuje też na szlachtę, która nie tylko

sama grzeszy opilstwem, ale też szerzy nałóg wśród poddanych w prowadzonych przez siebie karczmach. Nie na wiele zdała się ta krytyka, skoro niemal równocześnie z publikacją tego utworu, w 1775 roku autorytetem sejmu uchylony został — powszechnie dotąd łamany — zakaz trudnienia się przez szlachtę szynkarstwem pod groźbą wykluczenia ze wspólnoty stanowej. Akt ten stanowił bez wątpienia element rozpoczętego właśnie procesu oświeceniowej demokratyzacji, niwelowania barier stanowych, trudno jednak zaprzeczyć, że legalizował i tak nadmiernie rozwinięty proceder.

Piotrowskiemu wtórował w tej kwestii — występując wszelako z odmiennych pozycji — Adam Naruszewicz, który choć w cytowanych wcześniej utworach dał się poznać jako wielbiciel wina, z zaciekłością zwalczał wszelkie przejawy biesiadnego nieumiarkowania. Szczególną odrazę budziły w nim postacie opojów w kontuszach, których wizerunków — karykaturalnie przerysowanych, kraszonych zwykle jędrnymi epitetami — wiele zawarł w swoich satyrycznych scenkach rodzajowych. Pijaństwo to dla Naruszewicza nie tylko plugawość postury, ale przede wszystkim przyczyna marnotrawienia majątków, degeneracji umysłowej, zwłaszcza zaś powód bezmyślnych bijatyk, podczas których wytaczano krew z błahych powodów czy zgola zupełnie bez powodu. Oto fragment satyry „Do pijaków”, będącej rodzajem reportażu z karczemnej zwady:

„Nie znając w życiu uczciwej zabawy,
Zlecieli rojem pod wiechę pijacy.
(.)
Pękają w srogich targańcach kołnierze,
Jucha się leje, brzmia pięściami pyski,
Pełno hałasu, leci ze łbów pierze,
Kufle się tłuką, latają półmiski.”

Naruszewiczowi wtóruje tu Franciszek Zabłocki, ostro występujący w „Fircyku w zalotach” przeciwko pladze „pojedynekomanii”, która znajduje swe źródło w pijackiej fantazji, każącej sięgać do szabli przy łada sposobności:

„Przy prawie, przy swobodach, przy królu — w tej mierze
Słusznie człek swoje ważąc, cudze życie bierze.
Ale żeby za fraszki, za łada różnicę
Zabijać się przy kuflu, kartach czy podwice,
Żeby lekkie pomówki, mniej warte docinki
Zaraz przez barbarzyńskie kończyć pojedynki?”

W kwestii tej zabrał też głos Ignacy Krasicki, który w jednym ze swych „Listów z podróży” kreśli mimochodem taki obrazek:

„Tam w niezmiernej cholerze
Rozjuszeni rycerze
Dla przymówki lub flaszki
Kładą życie za fraszki.”

Wierny swej skłonności do wielostronnego oglądu rzeczy, dodaje wszakże natychmiast:

„Wdzięczniejsza zgody niżli bitew postać,
Lepiej się upić, niż w łeb kulą dostać.”

Pod zdaniem tym zapewne mógłby się podpisać Stanisław Trembecki, poeta-dworak, lubiący i potrafiący korzystać z uciech życia, który w liście do króla nazywał siebie bez ogródek „jednym z najzuchwalszych burdów, jednym z najjagnistszych pijaków”. Twórczość swą traktował nader lekko, w duchu swobodnej rozrywki — bywało nawet, że przegrywał swoje wiersze w szachy, skąd zapewne utrzymujące się do dziś wątpliwości co do autorstwa niektórych przypisywanych mu utworów. Nie stronił od kwestii politycznych i filozoficznych — oświecanych zwykle na sposób libertyński — jednak podstawowy nurt jego poezji stanowiły ulotne wiersze okolicznościowe, anakreontyczne i bachiczne, łączące zwykle — jak w wierszu „Przy odebraniu czary wina z pięknych rąk od J.W.H.P.W.” — epikureizm z rokokową elegancją i wdziękiem.

Podobne motywy zawiera również twórczość Franciszka Dionizego Książnina i wielu mniej znaczących poetów, związanych z „obiadami czwartkowymi” oraz „Zabawami Przyjemnymi i Pożytecznymi”. Twórcą najpopularniejszych bodaj pieśni biesiadnych był jednak inny członek tego grona, Franciszek Bohomolec, wspominany tu już jako autor „Pochwały wesołości”. Znany ze swego pogodnego usposobienia („wesół, rubaszny, rumiany” — to fragment jego autocharakterystyki), był wytrwałym bywalcem wielu warszawskich salonów, które chętnie uwieczniał w pochwalnych wierszach. Do najbardziej znanych należą „Wieczory na Starym Mieście u koncyliarzystwa Czempińskich”, a przede wszystkim „Kurdesz nad kurdeszami”, którego właściwy tytuł brzmi: „Do Imci Grzegorza Łyszkiewicza, prezydenta warszawskiego, na jego przysłówie »kurdesz nad kurdeszami«. Trudno powstrzymać się przed przytoczeniem choćby fragmentów tej będącej do dziś w obiegu pieśni, zabawnie ilustrującej wzrost pragnienia wprost proporcjonalny do ilości wypitego trunku:

„Kaź przynieś wina, mój Grzegorzu miły,

Bodaj się troski nigdy nie śniły,

Niech i Anulka tu zasiądzie z nami,

Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

(.)

Patrzcie, jak dzielny skutek tego wina:

Już się me serce weselić poczyną,

Pod stół kieliszki — pijmy szklenicami,

Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

(.)

Już po butelce, niech tu stanie flaszka,

Wiwat ta cała kompanija nasza,

Wiwat z Maciusiem i z przyjaciółmi,

Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

(.)

Odnówmy przodków ślady wiekopomne,
Precz stąd sklenice, naczynia ułomne,
Po staroświecku pijmy pucharami !
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!"

Odróżniał jednak Bohomelec użycie od nadużycia, czego dowodem — jego komedia „Pijacy”, w której wesoły ton farsy miesza się z satyrycznym napomnieniem. Akcja sztuki rozgrywa się w Kuflowicach, wiosce szlachcica Pijakiewicza, a pozostałe *dramatis personae* to osoby o równie wymownych nazwiskach: Bachusewicz, Ły kaczewski, Luszytkiewicz etc. Komedia zawiera karykaturalną panoramę pijackich wyczynów zaściankowych szaraków, ubolewających nad zanikiem „cnoty staropolskiej” (czytaj: nieustannych pijatyk) i w sobie samych upatrujących ostatnich przedstawicieli sarmackiej tradycji. Mieści się tu kompletny niemal katalog szczegółowych rysów rodzimego obyczaju bachiczego, jako to: zbiór mniej lub bardziej wyszukanych toastów, pijackich powiedzonek i przyspiewek, wzajemne „przymawianie się” i kompletowanie, legendy o wielkich opojach, przechwałki, kto może więcej wypić, bezprzymiotowe spory, prowadzące wprost do bójek etc. Wszystko to — choć utrzymane w konwencji rozrywkowej — składa się na obraz dość przerażający, a spod powierzchni farsowej beztroski wieje niekiedy grozą sprowadzonej do absurdalnych wymiarów, choć nie fikcyjnej przez to, rzeczywistości.

Podobna tematyka — choć rzadko w takim stężeniu — dość często trafiała wówczas na scenę teatru narodowego, by wymienić tylko „Pana Dobrego” tegoż Bohomolca, „Satyryzm” Zabłockiego czy „Szlachcica mieszczanina” Józefa Wybickiego. Teatr był bowiem godnym partnerem literatury w batalii o naprawę Rzeczypospolitej, która w pierwszym rządzie miała się przecież dokonać w umysłach obywateli. W walce tej kwestia trzeźwości społeczeństwa, przewyciężenia niechlubnego dziedzictwa saskich opojów i ukształtowania nowego modelu obyczajowości, odpowiadającego wymogom „oświeconego” państwa — zyskiwała pierwszorzędne znaczenie.

Ale czy rzeczywiście powstanie nowoczesnych instytucji kulturalnych i publicznych, forsowanie demokratycznego ustawodawstwa, nowe prądy umysłowe i artystyczne uparcie propagowane przez elitę intelektualną, wreszcie zaangażowanie pisarzy w dzieło reorientacji obyczajowej i światopoglądowej społeczeństwa — czy wszystko to w istocie sprawiło, że ginął rodzimy Ciemnogród, a wraz z nim i sarmacki Bachus? Powołajmy się na drobny, lecz wymowny przykład — fragment jednej z pieśni powstałej dla uczczenia wieńczącej oświeceniowe reformy Konstytucji 3 Maja:

„Witaj, Majowa jutrzeńko,
Świeć naszej polskiej krainie,
Uczcimy ciebie piosenką
Przy hulance i przy winie...”

Czyż nie tkwi w tym tonie mroczne *signum temporis*?

PIJANI GENIUSZEM

Romantyzm jest okresem najpoważniejszego chyba w naszej literaturze tonu — to obiegujące przeświadczenie, podtrzymywane przez podręcznikowy stereotyp. I choć nie sposób zaprzeczyć, że wydobywa ono zasadniczy rys romantyzmu, rys, który decyduje o kształcie żywej do dziś tradycji romantycznej, to przecież do literackiej spuścizny tego okresu należą nie tylko „Dziady” i „Kordian”, ale i... piosenka „Pije Kuba do Jakuba...”. Oczywiście, ranga tematów, a tym bardziej wartość artystyczna przywołanych utworów jest nieporównywalna. Warto jednak uzmysłowić sobie, że cierpiący „za miliony” i improwizujący na szczycie Mont Blanc bohaterowie romantyczni stąpali niekiedy po ziemi i ziemskim, pospolitym sprawom poświęcali nieco swej uwagi.

Darmo co prawda szukać w pismach romantyków tak obszernych i wszechstronnych jak w epokach wcześniejszych świadectw obyczajach bachicznego — wątek ten, nie przystający do obowiązującego wówczas modelu literatury, pozostaje w cieniu wielkich kwestii filozoficznych, narodowych, artystycznych. Zdawać by się więc mogło, że poszukując śladów tego motywu w twórczości romantyków, trudno liczyć na wykroczenie poza ramy przyczynkarstwa, antykwarycznego rejestru osobliwości. Tak jednak nie jest. Motyw alkoholu okazuje się bowiem na różny sposób obecny w romantycznych zmaganiach ze światem, losem i historią, i to nie tylko jako marginalny rys obyczajowy, ale także jako ważny aspekt wyrazu romantycznego buntu, tworzywo ówczesnej stylistyki oraz jedna z istotnych płaszczyzn rozrachunku z historycznym dziedzictwem sarmatyzmu.

Kim byli romantycy? W odpowiedzi ciśnie się pod pióro obfitość określeń: geniusze, wieszcz, kreatorzy, mistycy, nonkonformiści etc. Ale byli oni przede wszystkim pokoleniem „młodych”, potrafiących spontanicznie przeżywać swój wiek. Wczesnoromantycznym ugrupowaniom młodzieży nieobcy był więc duch zabawy, śmiechu, beztroski. I tak najśłynniejsi z nich, wileńscy filomaci — zwący się właśnie „przyjaciółmi pożytecznej zabawy” — nie stornili, na marginesie działalności samokształceniowej, od wesołych uczt, pod-

czas których wino bywało podnietą do swobodnej, często improwizowanej twórczości. Owocem tych spotkań są choćby znane strofy Mickiewiczowskiej „Pieśni filaretów”:

„Hej użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.
Hejże do niej wesoło!
Niechaj obiega w koło,
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil!”

Znamienne, że to właśnie w tej burszowskiej pieśni, w otoczeniu igraszek bachicznych wezwań i żartobliwych przycinków pod adresem zgromadzonych studentów, pojawiają się najwcześniejsze bodaj hasła romantycznej wizji świata:

„Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył;
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił.”

We wczesnej twórczości Mickiewicza podobnym tonem dźwięczy i parada wesołych toastów, i pokaźny zbiór jambów improwizowanych przy okazji imieninowych fet, a przetykanych gęsto krotochwilnymi apostrofami do Bachusa. Te prawdziwie bachiczne drobiazgi nierzadko posiłkują się autotematycznymi wstawkami, odwołującymi się — ponad głowami stuleci — do motywu „pijanych rymów” Kochanowskiego:

„Lecz gdy winem łeb naleję,
Wiersz się składny wtenczas kupi...”

Bez wątpienia sytuacja swobodnych spotkań przy winie usuwała skrepowanie obyczajów i myśli, sprzyjała spontanicznej ekspresji, a w niektórych przypadkach — co dotyczy zwłaszcza Mickiewicza — ożywiała dar improwizacji. Nie wydaje się wszakże, by właśnie alkohol był tego głównym sprawcą: wedle dość zgodnych świadectw filomaci strzegli się w tej mierze przesady, zgodnie ze swą niechęcią do rubaszości szlacheckiego stylu życia, a zapewne również stosownie do szczupłych zasobów finansowych. Potwierdza to „protokolan” uczt, na której Mickiewicz bodaj po raz pierwszy ujawnił się ze swym improwizacyjnym talentem: „Nie pomnię, (...) czy drugi kielich dodał Adamowi rezonu i większej śmiałości; ale zda mi się wyższą, miłszą były zapewne od wina pobudką wewnętrzne uradowanie i miłość, że się Adam odkrył w tej chwili z improwizatorstwem...”

Z drugiej jednak strony wiadomo, że trunek był niemal nieodłącznym

uczestnikiem ich towarzyskich spotkań, nawet w tak posępnej scenerii — potwierdzają to sceny III części „Dziadów” — jak mury wileńskiego więzienia. Zaskakujący — choć chyba psychologicznie zrozumiały — może wydać się fakt, że to tam właśnie powstał jeden z najbardziej znanych wierszy bachicznych tego kręgu, „Wiwaty” Antoniego Odyńca, zwane również „Pieśnią filaretów”:

„Precz, precz od nas smutek wszelki!
Zapal fajki, staw butelki.
Niech wesoly z przyjacioly
Wdzięcznie płynie czas.
(.)
Pijmy zdrowie Mickiewicza,
On nam słodkich chwil użycza...”

Tak czy inaczej, pieśni bachicznych w tonie, choć nie zawsze w treści, powstało w tym gronie wiele, a ich twórcami, często komponującymi również muzyczny akompaniament, byli, prócz Mickiewicza i Odyńca, także Tomasz Zan i Jan Czeczot, autor takich oto strof:

„Precz, precz, nudy, troski!
Hej, lej nektar boski!
Niech iskry lecą na szklanki
Dla przyjaciół, dla kochanki.
(.)
Graj, tańcz! — bądź wesoly!
Hucz, pij z przyjacioly!
Kto wie, jutra czy dożyjem,
To nasze, co dziś wypijem.”

Że jednak najbardziej nawet upragnionym chwilom beztroski i zapomnienia przy winie towarzyszy świadomość granic zabawy — świadczy reakcja Mickiewiczowskiego bohatera, Konrada, który bluźnierczą piosenkę swych przyjaciół, topiących w butelce gorzkiej więziennej niedoli, przerywa gwałtownie słowami: „Słuchaj, ty! — tych mnie imion przy kielichach wara.”

Z czasem młodzieńcze manifestacje obyczajowe i podniety trunku w coraz mniejszym stopniu ważyły na stylu życia, a zwłaszcza twórczości członków tej grupy, ustępując pod ciężarem bolesnych doświadczeń biograficznych i historycznych. Jednak wśród szerszych kręgów „rówieśników Mickiewicza” nowa sytuacja młodego pokolenia nie przestała wyrażać się w tych właśnie formach. Młodzi twórcy, obdarzeni ostrym, krytycznym spojrzeniem na świat, dostrzegali fałsz i bezmyślność wzorów życia kultury oficjalnej, budzących tym gwałtowniejszy sprzeciw, że lekceważących powinności patriotyczne. Protest ten przybierał postać buntu obyczajowego, prowokacji podejmowanej wobec obłudy salonu w imię niezawisłej spontaniczności. Prowadziło to do poszukiwania nowych, autentycznych form wspólnoty. Samorządnie powstające związki młodzieży gromadziły się zwykle w kawiarniach, klubach,

piwnicach — miejscach, gdzie nie docierała władza konwenansu. W oczach tych, których wiodło tam nie tylko upodobanie do trunków, miejsca te stawały się czymś w rodzaju Arkadii, ostoi prostoty i naturalności, wyspy prawdziwego życia otoczonej zewsząd przez gnuśność, sztywny tradycjonalizm, hipokryzję. Atmosfera szynku i winiarni, wraz z alkoholem osłabiającym obawę przed siłą „starego”, sprzyjała poszukiwaniu prawdy egzystencji, sięganiu po cele, o których w salonach mówiło się szeptem i ze zgrozą. W ten sposób to, co pierwotnie było formą odruchowego sprzeciwu, aktem kontestacji obyczajowej, stawało się załącznikiem romantycznej kontrkultury, poszukiwań alternatywnych wartości i wzorów życia.

Grupą o takim właśnie profilu była Cyganeria Warszawska. Jej członkowie bulwersowali mieszczańską Warszawę strojem, zachowaniem, wyglądem zewnętrznym. Ich brody i wąsy, bluzy robocze noszone zamiast fraka, hulanki w podmiejskich karczmach — wszystko to było nie tylko epatowaniem publiczności, ale też wyrazem rodzących się idei populistycznych, romantycznego buntu przeciw skostniałemu porządkowi społecznemu, zwietrzałej kulturze. W obrębie tej postawy istotną rolę grała swoiście pojmowana „metafizyka alkoholu”. Traktowany jako czynnik osłabiający wszelkie hamulce, dostarczał on w zamian poczucia mocy, pełnej spontaniczności, uniesienia uwolnionej z wszelkich więzów namiętnością. Krakowski „cygan”, Edmund Wasilewski nawoływał w swojej „Pieśni żeglarzów”:

„Dalej tu do mnie, młodzieńce!
Niech każdy kielich wypróżni,
Za życie my ziemi dłużni,
Strójmy ją w laurowe wieńce!
Żyjmy wielkością, młodzieńce!
Niech każdy półbogiem będzie,
Choć gorycz dymi z kielicha,
Niech pije, niech się uśmiecha,
Niech listek lauru zdobędzie
I żyjmy wielkością, młodzieńce!”

W „lirykach humańskich” Seweryna Goszczyńskiego — których żywiołem jest podobna tonacja — znajdujemy wiersz pt. „Uczta zemsty, w którym żar trunku wzmacnia bunt przeciw światu „tyranii i ucisku”:

„Kto w imię boskiej miłości
Wylał tyle krwi z ludzkości —
Ten godzien wypić jej z nami
I zakąsić sztyletami.
(.)
Sztylety w rękę, w czasie zemsty wina
(.)
Pijmy, pijmy — bez litości!
Zemsta za spodloną ziemię!”

W ten sposób podsycana wola zemsty była częstym składnikiem romantycznej wizji rewolucji, która — jak choćby w „Nie-Boskiej komedii” — rozpoczynać się musiała od okresu chaosu, dzikiej orgii zniszczenia. Jednym z katalizatorów procesu burzenia zrębów starego świata miał być właśnie alkohol, podsycający ekstatyczną zuchwałość butowników — jak w wierszu Gustawa Ehrenberga „Tańce zapustne”:

„Wyostrzcie broń na morderce,
Śpiewajcie, pijcie i tańczcie,
Przetańczcie rozum i serce,
Ale zemsty nie przetańczcie.”

Wyznawcy tej szczególnej „metafizyki alkoholu” rychło jednak stawali się ofiarami swych porywów. Te bowiem, sztucznie pobudzane i nieodmiennie w pustkę trafiające, pogrążały zbuntowanych w mroku beznadziejności i niemocy. Ponownie więc sięgali po alkohol — tym razem jednak szukając w nim nie gorączkowych uniesień, lecz zapomnienia. Znamiona tego „zatrucia czasem”, nie dostarczającym możliwości zaspokojenia gwałtownie rozbudzonych dążeń, noszą dekadenskie wręcz w nastroju wiersze Włodzimierza Wolskiego czy Aleksandra Niewiarowskiego.

Podobne wątki spotkać można również w twórczości największych polskich poetów romantycznych, choć zwykle nie są tam one obdarzone takim dramatyzmem jak w poezji cyganerii; bywają też raczej przedmiotem przedstawienia niż wyrazem bezpośrednich doświadczeń. Oto Mickiewiczowski Konrad Wallenrod, który poświęciwszy swój honor i osobiste szczęście dziełu unicestwienia wrogiej ojczyźnie potęgi krzyżackiej, „szukał pociechy w gorącym napoju”, nie przynoszącym jednak spodziewanego ukojenia, lecz jeszcze bardziej jęczącym duchowe rany:

„...gdy się winem zbyt wiele zapali,
W dzikie zapęły, w bezprzytomność wpada.”

Oto Jacek Soplica, zawiedziony w swej młodzieńczej miłości i poniżony, również próbuje w alkoholu utopić urazę i bolesne wspomnienia:

„Zemsty opętany biesem,
Zły, opryskliwy, znaleźć nie mogłem pociechy
W niczym na świecie — i tak z grzechów w grzechy
Zacząłem pić. (.)
Piłem, nie mogłem zapisać pamięci na chwilę
Ani pozbyć się, chociaż przebiegłem ziem tyle!”

Obaj bohaterowie znajdują jednak dość siły, by odrzucić pętający wolę i zatruwający duszę nałóg; w zmaganiach ze swym losem osiągają u kresu stan pogodzenia ze światem, ludźmi i samymi sobą. Czynnikiem przełamującym alkoholizujące zniewolenie są w obu przypadkach wartości i cele ponad jednost-

kowe, narodowe, włączające człowieka we wspólnotę, w której, choć sam, nie jest samotny, a ciche poświęcenie czy anonimowa służba stanowią wystarczające spełnienie.

W twórczości romantyków krajowych — zwłaszcza związanych z cyganerią — częstsze było jednak fatalistyczne ujęcie sytuacji człowieka, dla którego pijaństwo stanowi zastępczy obszar osiągnięcia mierzonych „na zamiary” pragnień. Przykładem takiego ujęcia może być nowela Józefa Dziekońskiego „Pająk”, historia domorosłego artysty, który w „trupim uroku” alkoholu szuka ratunku przed okrutną rzeczywistością: „... u was tam na świecie upijają się miłością, sławą, naukami, znaczeniem, potęgą (...). Widzisz, i ja kiedyś byłem człowiekiem, ale ja urodziłem się p i j a n y g e n i u s z e m, a oni doprowadzili mnie do wódki.” Wnikliwej analizie psychospołecznych motywacji upadku bohatera, realistycznemu studium jego delirycznych zachowań i uzależnienia od nałogu towarzyszy oskarżenie rzucone światu, który roztańczając przed człowiekiem miraż idealów, stawia zarazem bariery wszelkim próbom zbliżenia się do nich. „Bo to nieszczęśliwy, piekielny jest stan: kto raz się upije, a potem trzeźwo życie kończyć musi, ten bodaj nie rodził się” wyznaje bohater w desperacji i trudno rozstrzygnąć, na ile stwierdzenie to dotyczy potocznych pijackich doświadczeń, na ile zaś — „upicia się” uniesieniami przeżywanymi w feerycznym świecie sztuki, po których nie sposób już zadowolić się namiastkami dostarczanyymi przez bezbarwną powszedniość.

Pasja oskarżycielska romantyków nierzadko zyskiwała adres bardziej konkretny, zwracając się w pierwszym rzędzie przeciw warstwom uprzywilejowanym, przeciw tym, którzy za nic mając swe powinności wobec narodu, trawili życie na pustych zabawach i pijackich wybrykach. Szczególne walory demaskatorskie cechują III część „Dziadów”, gdzie Mickiewicz konfrontuje heroizm prześladowanej młodzieży wileńskiej z amoralnością i bezmyślną lub cyniczną obojętnością „salonu warszawskiego” i dostojników, którzy zdradzając interesy narodowe i zaprzędając się zaborcom, „z rana piją krew, a po obiedzie róm”. Słowa o podobnej wymowie padają też z ust Kordiana:

„Teraz car za stołem.

Satrapy nasze kornie pokładli się czołem,

Win tryskają brylanty z kielichów tysiąca...”

Ważne miejsce w rzędzie idei tworzących romantyczną wizję świata zajmował problem rozrachunku z tradycją szlachecką, wciąż obecną w pamięci, a często i w praktyce życiowej niektórych środowisk społeczeństwa polskiego. Dość silna i aktywna literacko, zwłaszcza w kręgu romantyzmu krajowego, była grupa zagorzałych apologetów szlachetczyzny i wszelkich wartości związanych z właściwym jej stylem życia. Literackim symbolem rozpowszechnionego wśród nich stereotypu Sarmaty jako uosobienia krzepy i jurności, doskonałego wcielenia cnót staropolskich, były nie tyle szabla i kontusz, co dębowy stół biesiadny i zło-

ty puchar. Legendarną waleczność szlachty kojarzono tu — podobnie jak we wcześniejszych epokach — z zamięłowaniem do trunków:

„Gdzie my bijem, gdzie my pijem,
Tam mogiły i posucha”

— pisał Wincenty Pol w wierszu „Szlachta na winie”. Także inne jego utwory, choćby „Pieśń o ziemi” czy „Śpiew Janusza”, nie wspominając o licznych zbiorach gawęd, opiewają uroki dawnego biesiadowania i krzepiącą moc staropolskich napitków. Podobny w nastroju wizerunek szlacheckiej przeszłości kreśli w swych opowieściach, zwłaszcza w „Pamiętkach Soplicy”, Henryk Rzewuski. Budując barwną i wyrazistą w szczegółach syntezę szlacheckiego życia, każdą niemal anegdotę kończy sielskim obrazem obficie zakrapianej uczty — swoiście sarmacką wersją happy endu. Nie brakuje w tych gawędach portretów wielkich opojów (z Karolem Radziwiłłem „Panie Kochanku” na czele czy raczej — na becze), opisów sejmików przekształcających się w zbiorowe pijatyki, pełnych pietyzmu obrazów zwyczajów biesiadnych szlachty. Cały ten ociekający wprost winem świat żegnany jest przez Rzewuskiego z odcieniem kpiny, ale także nostalgicznie, z bolesną świadomością jego bezpowrotnego odchodzenia w przeszłość.

Wśród „sarmackich bardów” częste były próby ożywiania archaicznych, wyeksploatowanych już form i motywów staropolskiej pieśni biesiadnej. Oto fragment „Kanonika przemyskiego” Władysława Syrokomli, jakby żywcem wyjęty z którejś z XVII-wiecznych wierszowanych „encyklopedii bachicznych”:

„Prawda, że i pułtuskie hańbie się nie poda,
A brzezińskie klarowne i gęby nie szkoda,
I sądeckie poszóstne wysmienite bywa —
Ale u Piotra Czopka toć piwo nad piwa.”

To zaś skromny, acz reprezentatywny wybór cytatów z „Podola” Maurycego Gosławskiego, sławiającego uroki krainy i zalety jej mieszkańców:

„Chylcie, bracia, czasę do dna,
Tam na dole myśl swobodna.”
„Darze boski!
Wino!
Przed twą potęgą troski
Giną!”
„Niechaj cnota w każdej chwili
Wspiera nas i rzeźwi,
Dopóki z nią będziem pili,
Zawsze będziem trzeźwi.”

Cała ta epigońska twórczość — a wymienić można tu jeszcze „kontuszowe pogadanki” Konstantego Gaszyńskiego czy cykle powieściowe Zygmunta Ka-

czkowskiego — jakkolwiek znajdowała chętnych czytelników wśród tych, którzy hołdowali „neosarmackiemu” snobizmowi, była jawnym anachronizmem na tle ówczesnego życia umysłowego i przemian dziejowych. A przecież i w naszej wielkiej literaturze romantycznej spotykamy przychylne oceny dziedzictwa kulturowego Polski szlacheckiej, zawsze jednak wolne zarówno od uprzedzeń, jak i od równie niebezpiecznego dogmatyzmu.

Nieporównaną wycieczką w barwną krainę szlacheckiej kultury jest „Pan Tadeusz”, żegnający ten świat z nie skrywanym żalem i tęsknotą. Świadomość historyczności szlacheckich wzorów życia pozwala jednak Mickiewiczowi spoglądać na nie z pewną dozą krytycyzmu, z łagodną, nie pozbawioną pierwiastków sympatii, kpiną. Spojrzeniem takim objęty jest także szlachecki obyczaj biesiadny, ważny składnik opisowej warstwy poematu. Do rangi symbolu w tej mierze urasta dwuwiersz, który powtarza się jak refren w opisach rytuału towarzyszącego tradycyjnym posiłkom:

„Mężczyznom dano wódkę; wtenczas wszyscy siedli
I chołodziec litewski milcząc żwawo jedli.”

Żadna oracja wygłaszana podczas uczty, żaden spór nie może się tu obyć bez kielicha, którego spełnienie daje niejako biesiadnikowi prawo do zabrania głosu. Szlachetne trunki bywają również kojarzone z wartościami narodowymi — nie czemu innemu służą przecież patriotyczne, podnoszące ducha toasty, a podobną wymowę ma także szczególna część Sędziego dla mieszczańczego wódką gadańską „puzderka zamczystego”, istnego sanktuarium narodowego. Sugestywnym rysem mentalności szlacheckiej są w poemacie sceny dokumentujące sarmackie mieszanie obyczajów biesiadnych z opacznie pojętym honorem. On to właśnie każe podejmującym gości bohaterom przymuszać ich do picia, a odmowę traktować jako obelgę, gwałtownie domagającą się pomsty.

W tak przepojonym duchem szlachetczyzny utworze nie mogło, rzecz jasna, zabraknąć portretu niezrównanego „harcownika” kielicha:

„... Konewka, któremu w powiecie
Nie znajdziesz równie mocnej głowy przy bankiecie,
Konewka, co mógł wypić miodu dwa antały,
Nim mu splątał się język i nogi zachwiały...”

Kulminacyjne dla opowieści sceny zajazdu i bitwy (w której cudów waleczności — zagrawszy się pierwszej mocnym trunkiem — dokonuje właśnie Konewka) obrazują destrukcyjną rolę, jaką odgrywał alkohol w zbiorowych poczynaniach szlachty. Przedwcześnie świętując zwycięstwo gremialnym pijaństwem, uczestnicy zajazdu popadają w niewolę Moskali; szczęściem, co ostatni giną od tej samej broni. Mimo heroikomicznej do pewnego stopnia tonacji opowiadania cała ta historia kryje w sobie gorzką w istocie refleksję

nad skutkami szlacheckiego mieszania alkoholu do publicznych przedsięwzięć. To organiczne zrośnięcie upodobania do trunków z wzorem sarmackiej kondycji znakomicie dokumentują wypowiedzi tych postaci „Pana Tadeusza”, które dostrzegając postępujący rozkład tradycyjnej kultury i wspominając blask „złotego wieku”, identyfikują go z czasami sławnych pijatyk. Gdy więc Gerwazy, oprowadzając Hrabiego po zamku, wspomina minioną świetność Horeszków, wywołuje taki obraz:

„W tej ogromnej sieni
Brukowanej nie znajdziesz pan tyle kamieni,
Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach;
(.)
A gdy wnoszono zdrowie, trąby jak w dniu sądnym
Grzmiały z chóru; wiwaty szły ciągiem porządnym:
(.)
A na koniec, po piątej szklanicy wypitej,
Wnoszono: Kochajmy się! Wiwat bez przestanku,
Który dniem okrzyknięty, brzmiał aż do poranku...”

Zbliżony w tonacji, choć pozbawiony zarówno epickiego rozmachu, jak i pietyzmu dla obyczajowych szczegółów, zapis reliktyw świata szlacheckiego rozproszony jest w twórczości Aleksandra Fredry, pisarza doby romantyzmu, choć odległego odeń tak pod względem artystycznym, jak też ideowym. W jego komediach, skrzących się niezrównanym dowcipem, pojawia się, w satyrycznym z reguły oświeceniu, pokaźne grono spadkobierców kontuszowego Bachusa. W częstej u Fredry scenerii zajazdów, oberży, gospód dowodzą swej dzielności przy kielichu, zagrzewając się do boju tradycyjnym zawołaniem:

„Któż bo pije kieliszkiem! to zwyczaj zbyt stary.
Złe trzeba mierzyć, dobre niech będzie bez miary.”
(„Intryga naprędcze”)

W liczbie tych postaci poziomu burleski sięga Papkin, „rotmistrz sławny i kawaler”, który pośród swych niezliczonych fanfaronad chlubi się i tym:

„Zwiedź piwnice wszystkie moje;
Gdzie z pół świata masz napoje,
Gdzie sto beczek stoi rzędem...”

Pijackie przygody bywają u Fredry nie tylko elementem odtwarzanego kolorytu, ale i czynnikiem sprawczym komediowych intryg i perypetii. Dzieje się tak na przykład w „Dożywociu” czy zwłaszcza w „Panu Jowialskim”, gdzie powraca — choć z odmiennym finałem — znany z dramatu rybałtowskiego wątek żartu polegającego na przebraniu zmożonego snem pijaka za władcę i odgrywaniu przed nim roli wiernopoddańczego dworu.

Znacznie drapieżniejszy i nie wolny od akcentów parodystyczno-groteskowych wizerunek Sarmaty z kurzącą się czupryną zawierają „Poema Piasta Dantyszka o piekle” Juliusza Słowackiego, opiewające perypetie tytułowego bohatera w zaświatach, po których podróżuje z nieodstępnym dzbanem. Prostopadłość, z jaką spogląda on na rzeczy ostateczne, owa szczególna „sarmatyzacja” piekła, czyni zeń wcielenie najbardziej stereotypowych rysów tradycyjnego typu szlachcica, co jednak nie odbiera mu ani realności, ani pewnych znamion tragizmu. Zwięzłą wersję tego samego wątku — cokolwiek zmodernizowaną i strywalizowaną, choć nie mniej malowniczą — zawiera wiersz Józefa Dunin-Borkowskiego „Zeznanie”:

„Dopóki jeszcze żyję,
To kocham wciąż i piję.
Naraz piję dwa garce,
A gdy się zachce Parce
Na dwoje przeciąć życie,
Do piekiel wezmę skrycie
Nie pieniądze ale flaszę,
Nią Cerbera postraszę,
Ogień Styksu przygaszę:
Z piekła zrobię kasyno
I z piękną Prozerpiną
Pohasam krakowiaka;
Niech pozna moja pani,
Że i w ciemnic otchłani
Nie gaśnie duch Polaka.
Wnet przed sędzią piekielnym
W humorze nieśmiertelnym
Wieczną chwałą okryty
Jak biała stanę spity.”

Stosunek Słowackiego do sarmackiej spuścizny, określonej lapidarnie w „Beniowskim” jako „pijące gardła, wasy, psy, kontusze”, częściej przybierał postać zdecydowanego i bezpośrednio wyrażanego sprzeciwu. „Czerrep rubaszny” więziący „duszę anielską” to dlań także odziedziczony z przeszłości bezruch otępiełego od trunku umysłu i błazeństwo biesiednej brawury. Ślaz, postać z „Lilli Wenedy”, identyfikująca się do pewnego stopnia z kanonem szlacheckich wartości — do pewnego stopnia, bo tak jak w „Dantyszku” i innych utworach sięgających do tej tradycji miesza Słowacki realność z fantazją, a komizm z tragizmem — waży się przecież na takie słowa:

„Gdybym nie mienił to być uchybieniem,
Plunąłbym w oczy temu, kto zapytał,
Czy ja Lechita. — Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburstwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku...”

Większa jeszcze gorycz przeziara z wierszy „Zawiszy Czarnego”, bolejących nad dziejami kraju, w którym:

„... rycerze naprzód w polu się popiszą,
A potem w karczmach sobie za to ciągną trudnek
I pić mogą całe życie na rachunek;
(.)
Po zamkach zawieszają na oku zbroice,
A winem napelniają węgierskim piwnice.
Tak że dopóki w gardła przyjaciółom leją,
To się ich sławy jako te wina starzeją
I coraz niby lepsze, ku starości dążą —
Potem te sławy oni między sobą wiążą
I rodów zawiązują bezecne fontazie,
Które na tych piwnicach, a nie na żelazie
Stoją w winach jak gniazdo octowych robaków.
I to jest sława naszych, Zawiszo, Polaków...”

W podobnym duchu, choć już bez historycznego sztafażu i z większą bodaj zjadliwością, pisał Ryszard Berwiński w „Ostatniej spowiedzi...”:

„Znam was, o! znam was, was dumnych i świetnych
Synów przeszłości po ojcach bezdzietnych,
Znam Cyncynatów — w dwumiesięcznej wojnie
Okrytych głośnie sławą bohaterów,
A od pół wieku zajętych spokojnie
Pędzeniem wódki i robieniem serów.
Znam wojowników pożądlivych boju,
co posiłkujący na zbytkach pokoju,
Z bliznami wieku i marsem na czole
Trupem pijackie zaścielają pole.”

Takie i pokrewne im osądy sarmatyzmu i jego dziedzictwa prowadziły do niezwykle surowej oceny roli tej formacji kulturowej w dziejach narodu — oceny, na którą wskazuje wiele romantycznych utworów, a która jednak rzadko kiedy była wypowiedziana tak jasno i bezwzględnie jak w wierszu Kazimierza Brodzińskiego „Do gospodarza”:

„Po staremu chcesz nas raczyć,
Stawiasz dziada puchar stary.
(.)
Niechże krąży w bratnim kole!
W nim tonęła dawna cnota,
Nim zapijmy dziś niewolę;
Nim przepita wolność złota,
Nim zapijmy czucie cnoty.”

Dramat społeczeństwa polskiego, które utracił państwowość tym bardziej potrzebowało przechowującej narodowość tradycji i ciągłości kulturo-

wej, polegał na tym, że przejmowane z przeszłości wzory szlacheństwa w znacznej mierze wyczerpywały się w zewnętrznych akcesoriach, pozbawione rdzenia wartości, takich jak poczucie misji dziejowej i odpowiedzialności za losy narodu. Nietrudno było o spadkobierców „ojców sławy”, którzy jednak często dziedzictwa swego upatrywali jedynie w pełnych kielichach, dla których więc — jak wyraził się Stefan Witwicki w „Wieczorach pielgrzyma” — „cały pobyt na ziemi był (...) jedną tylko ucztą huczną i na pół pijaną”. Etos stworzony przez wieszczą literaturę romantyczną był temu modelowi życia — podobnie jak konformizmowi i blichrowi „salonu warszawskiego” — nieskończenie obcy.

Prawda, że romantyczny bunt przeciw światu zwietrzałych lub martwych już w chwili narodzin form manifestował się także w prowokacjach obyczajowych wspomaganych przez alkohol; prawda, że młodzieńcza żywiołowość i impulsywność szukała niekiedy dodatkowej podniety w upajającej mocy trunku; prawda też, że płynące stąd zjawisko euforycznego pijaństwa stało się jednym z motywów romantycznej wizji świata, wyciskając swe piętno także na służącej jej wyrażaniu metaforze. Prawdą jest jednak i to, że dojrzały romantyzm, wyrastając z tych początkowych, po omacku nieco prowadzonych poszukiwań, wysuwał zdecydowany postulat rekonstrukcji narodowej kultury i odnowy moralnej, współtworzących oblicze osobowości heroicznej, dla której kwestie postępu i kształtu zbiorowej przyszłości były wartościami naczelnymi. Alkohol, unoszący w obszary zapomnienia czy fantastycznych rojeń, był wobec niej protezą, którą trzeba było odrzucić, jeśli nie chciało się już na zawsze pozostać kaleką.

„TRZEŻWI”?

„Trzeźwi” — tak brzmiał tytuł powieści Teodora Jeske-Choińskiego, dokonującej krytycznego obrachunku osiągnięć pozytywizmu warszawskiego, który po upadku powstania styczniowego zapanował na niemal trzydzieści lat w polskiej kulturze. Miano to, użyte przez Jeske-Choińskiego w znaczeniu pejoratywnym, było obiegowym hasłem ówczesnej publicystyki, elementem autocharakterystyki obozu rzeczników nauki, postępu i rozbudowy społecznej. Było ono wymierzone przeciw niepokornej postawie romantyków, stanowiąc zarazem wyraz opowiedzenia się po stronie zdrowego rozsądku, umiarkowania, powściągliwości i mierzenia zamiarów „podług sił”. „Zrzucićmy togę bohatera, wdziejmy szatę pracownika” — brzmiało jedno z popularnych haseł.

Niezależnie od tego, komu przyznać rację w tym historycznym sporze postaw — a miał on liczne, mniej lub bardziej fortunne, kontynuacje — faktem jest, że już w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku pozytywizm i jako formacja myślowa, i jako prąd literacki zaczął przechodzić dość ostry kryzys, natrafiając przy wcielaniu swych idei w życie na trudności nie do przezwyciężenia. Stwierdzają to zarówno czołowi ideolodzy tego ruchu, jak pisarze, służący mu swym piórem. Oto uwaga rzucona mimochodem w „Domu otwartym” Michała Bałuckiego: „My teraz wszystko robimy dla jakiejś idei, traktujemy każdą rzecz poważnie, ze stanowiska naukowego. Objadamy się z mikroskopem w rękę i podręcznikiem chemii organicznej w kieszeni; upijamy się analizując zawartość i składniki płynów, które wlewamy w siebie; tańczymy ze świadomością celów, dla których tańczymy; poruszamy się, śpimy, oddychamy ściśle według zasad higieny, słowem, żyjemy na serio, umiemytnie.”

Byłby to w istocie tragicomiczny obrót rzeczy: „trzeźwość” polegająca na upijaniu się w sposób racjonalny, zatem skuteczniejszy jeszcze od „nienaukowych” metod. Trudno orzec, czy tak było w rzeczywistości, czy też jest to jedynie figura retoryczna służąca ironicznemu przedstawieniu załamania się pozytywistycznego programu. Tak czy inaczej, „opór materii”, na jaki natra-



fiali jego entuzjaści, nie tylko pozbawiał ich energii działania, ale też skłaniał do rewizji jego założeń. Represje zaborców, niemożność stworzenia pełnowartościowych instytucji publicznych służących postawionym celom, dwuznaczny stosunek do kwestii niepodległości i przechowującej ją tradycji romantycznej, dodatkowo komplikowany przez cenzuralne ograniczenia wypowiedzi, wreszcie nadmierny optymizm co do skuteczności zainicjowanych poczynień — wszystko to sprawiło, że pozytywizm zarówno w sferze programu społecznego, jak też kultury był formacją chwiejną i nietrwałą, już to przekształcając się w lojalistyczną karykaturę, już to zmuszając swych co świątlejszych wyznawców do poszukiwania nowych inspiracji. Śledząc dzieje motywu alkoholu w literaturze tego okresu — a stwarza to możliwość wglądu w wewnętrzną rzeczywistość pozytywizmu, właściwe jej napięcia i sprzeczności — warto zważyć na to, że niemal od początku literatura ta realizowała swe dydaktyczne i społeczne funkcje w atmosferze sceptycyzmu co do propagowanego przez nią programu, a także co do jakości artystycznej, zbyt często zastępowanej szlachetnością intencji.

Zacząć jednak trzeba od pisarzy, którzy — nieco pod prąd obowiązujących tendencji — nawiązywali w swej twórczości do tradycji romantyzmu. Przy czym nie chodzi tu o jego aktywnych wciąż epigonów, lecz o twórców, którzy należąc już do świata nowych idei, poruszali się w kręgu „wielkich pytań” minionej epoki, a często także w kręgu stworzonej przez nią poetyki. Jednym z nich był Karol Świdziński, przedstawiciel szczupłego grona poetów „czasów niepoetycznych”. W wierszu „Ostatni toast...”, pisanym w rocznicę wybuchu powstania styczniowego, tak ujmuje przyczyny jego klęski:

„Wino — ogień w żyły lało
I wspomnienia poszły precz,
Ale siły nam nie dało,
Bo tam siła, gdzie i miecz.
(.)
Panów gią się stół od wina,
W złotej czarze kipiał miód,
W chatach ludu okruszyna
Czarna chleba — po niej głód.”

Wino symbolizuje tu gorący, lecz pozbawiony oparcia w rzeczywistej sile, zapal powstańców, by w kolejnej strofie posłużyć za motyw przedstawiający społeczny kontekst załamania się ich zrywu. W dalszym ciągu ten sam rekwizyt, czara wina, dostępuje niespodziewanej rehabilitacji, w takiej oto, dość ryzykownej, wizji:

„Chrystus wodę zmienił w wino,
Ja wam wino zmieniam w krew!
Krew to wrogów, pij drużyno,
A męźniejsz jak lew.”

Skala tonacji emocjonalnej, w jakiej występuje tu motyw wina, jest jeszcze szersza. Jest on najpierw przedmiotem przestrogi:

„Zapomnienia jedną chwilę
Wino daje — jak noc sny;
Lecz kto pije na mogile,
Temu później wstyd i łzy.”

W zakończeniu wiersza uderza zaś autor w ton skrajnie odmienny, bliski temperaturze „liryków humanistycznych” Seweryna Goszczyńskiego:

„Na pohybel wrogom piję!
To odwetu toast mój!
Wszyscy piją — więc niech żyją:
Stara wiara — nowy bój.”

Tę zaskakującą wolę tłumaczyć może okazja, której wiersz był poświęcony (to jego podtytuł: „Na uczcie młodzieży w Paryżu, w rocznicę powstania 22 stycznia 1863”), skłaniająca zapewne do utrzymania się w poetyce toastu; być może też doszła tu do głosu powstańcza przeszłość Świdzińskiego, której emocje zbyt żywych i bolesnych wspomnień nie pozwoliły zapanować nad romantycznie zdynamizowaną wypowiedzią; być może wreszcie poeta nie czuł się najlepiej w rymsztunku „natchnionych tonów”, co potwierdza jego głośny antyromantyczny manifest „Naprzód pracą”, nazywany często pozytywistyczną „odą do młodości”.

Romantycznym stylem i frazeologią posługiwała się również poezja zrodzona z inspiracji lewicowych, socjalistycznych, usiłująca w tradycyjnych formach pomieścić radykalne społecznie treści. Szczególny charakter ma wiersz Hieronima Truszkowskiego „Do matki Polki”, będący trawestacją znanego wiersza Adama Mickiewicza o tym samym tytule. Gorzką refleksję Mickiewicza nad tragicznym losem tych, którzy narodzili się do wypełniania patriotycznych powinności, zastępuje tu szyderstwo, wymierzone w pogłębiający się, zdaniem poety, upadek moralny społeczeństwa i wynikającą stąd bezideowość:

„O Matko Polko, gdy u syna twego
W żrenicy błysnie żądza do kielicha,
Kiedy mu patrzą z lica dziecięcego
Dawnych Polaków pijaństwo i pycha
(.)
O, ciesz się, Matko, niech się bawi, pije,
Niech pluje z młodu już na ideały,
Cóż go obchodzi jakaś ludzkość może?”

W tych mocnych słowach zawiera się osąd przemiany, jaka dokonała się w ciągu dzielącego te dwa wiersze półwiecza: od „genijusza świetności” do „ża-

dzy do kielicha", od „dumy i szlachetności" do „pijaństwa i pychy" — osąd zapewne zbyt surowy, lecz wzbudzony bez wątpienia przez szczególne okoliczności powstania utworu: cela w poznańskim więzieniu musiała potęgować poczucie osamotnienia i pesymizm.

Warto zauważyć, że argumentacja zastosowana przez Truszkowskiego: pijaństwo warstw posiadających jako dowód ich pasożytnictwa i degeneracji — wątek pojawiający się zresztą w wielu utworach agitacyjnych tego nurtu — stanowić może broń obosieczną. Oto bowiem sprzeciw wobec radykalnych ideologii społecznych opierał się często — także w świadectwach literackich, choćby w „Nie-Boskiej komedii" — na obawie przed rewolucją jako eksplozją ślepego zniszczenia, orgiastycznych ekscesów, jako uwolnieniem najprymitywniejszych instynktów. W radykalnej poezji tego okresu natrafiamy na przykład polemiki z tymi poglądami, o tyle interesujący, że przyjmujący zawarty w nich wizerunek rewolucji. Chodzi o Mikołaja Bierackiego (Rodocia) — znanego przede wszystkim jako satyryka i humorystę, lecz zaangażowanego również w działalność demokratów lwowskich — który replikując niejako na nakreślone przez Krasińskiego obrazy rewolucyjnego okrucieństwa i rozpasania, uznaje je, jako nieuniknione okoliczności klasowego odwetu, za zło, które wobec wyższych racji powinno zostać usprawiedliwione:

„Gdy tłum w społecznej walce morduje i pali,
Cnota się od zbrodniczej odwraca swawoli,
Ale sumienie wstaje i kładzie na szali:
Godziny pijanej orgii i wieki niedoli.”

Wracając jednak do diagnozy stawianej swym współczesnym przez literaturę tego okresu, trzeba stwierdzić, że stan moralności społecznej budził niepokój nie tylko wśród twórców o orientacji radykalnej. Dowodzi tego twórczość najwybitniejszego z poetów doby pozytywizmu, Adama Asnyka, który nieustannie konfrontując swe czasy z romantyczną skalą wartości, daleki jest co prawda od jednoznacznego ich potępiania, jednak wiele przejawów współczesnego stylu życia rodzi w nim zdecydowaną niechęć. Oto choćby jego satyryczny wiersz „Dwa spotkania”, syntetycznie ukazujący duchowe skarlenie i degrengoladę tych, którzy za młodu wołali: „Zwycięstwo albo zgon!”, by po latach na widok towarzyszy dawnych porywów reagować już tylko propozycją: „Choćmy do szynku!” Rozczarowanie popowstaniowymi nastrojami społeczeństwa, przedkładającego status „zjadaczy chleba” nad „prawdy jasny płomień” i „tęczę idealnych snów”, widać i w innych wierszach Asnyka. Najbardziej desperacki ton brzmi w „Pijąc falerno”, owym „bachicznym credo”, wskazującym rozpacz, zrodzonej z utraty nadziei, drogę zapomnienia dostarczanego przez trunek:

„Com kochał?... Razem z miłością
Pamięć rzuciłem za okno,
A resztki wspomnień z radością
W kieliszku mokną
(.)
Więc kniijmy w pijanym szale
Opatrzność niemilosierną...
W łeb sobie jutro wypalę
Pijąc falerno.”

Duszna atmosfera depresji — której znakiem, częstym i w innych utworach, bywa „wino mieszane z łzami” — jest tu jednak przetykana specyficznym, straceńczym humorem, w którym prowokacyjne poszukiwanie w alkoholich doznaniach znamion wieczności miesza się z melancholijną refleksją nad przemijaniem:

„Rozkoszy stawmy ołtarze,
Pijacką miejmy bezczelność,
A może znajdziem w czarze
I nieśmiertelność
Zdziwim się, a przy wdzięczności
W piwnice pójdziemy rajskie
Wybierać z beczek wieczności
Wina tokajskie.
(.)
Życie nad śmiercią przeważa,
Bo taka istnienia kolej;
Wypijmy zdrowie grabarza...
Wina mi doleję!”

Ten zabarwiony goryczą humor jest tropem, który prowadzi do zupełnie odmiennego świata poetyckiej wyobraźni, świata beztroskiej twórczości bachichnej. Rodzaj ten znajdował — jak w każdej niemal epoce — pokaźne grono zwolenników, którzy eksploatowali przede wszystkim tradycyjną formę sarmackiej pieśni biesiadnej, wzbogaconą o inspiracje ludowe i obce (głównie niemieckie) oraz o współczesne realia obyczajowe. Do najpopularniejszych utworów tego typu należą: „Historia patriarchy Noego” i „Historia proroka Jonasza” Włodzimierza Zagórskiego, „Legenda o szampanie” Bolesława Czerwieńskiego oraz „Hymn do kufla” Klemensa Junoszy. Oto próbka ostatniego z wymienionych wierszy:

„Statku, co piwem mienisz się bawarskim,
Zrodzony w hucie na ludzki pożytek,
Ty safandulę robisz człkiem dziarskim,
Dziada starego namawiasz na zbytek.
(.)
Na barkach twoich z topionego blasku
Tyś dźwignął dramat w warszawskich ogródkach,
Tyś dźwignął kankan, przyjęty wśród wrzasku,
I pocieszyłeś warszawiaków w smutkach.”

To zaś słynny początek bachicznego apokryfu Zagórskiego:

„Nasz praszczur Noe świętym był
I chadzał wciąż przed Panem,
Jak ognia tak się wody bał,
a wino pijał dzbanem;
Za to go też miłował Pan
I w wszelkiej strzegł przygodzie.
I gdy potopu nadszedł czas,
Nie dał mu zginąć w wodzie.”

Pozytywistyczni humoryści nie zawsze jednak poprzestawali na pielęgnowaniu bachicznej niefrasobliwości; w ich utworach nastrój beztroski mącą czasem akcenty satyryczne, a żart przerasta w napomnienie. Najżywsze w tym względzie były wzorce satyry oświeceniowej, z jej uogólnionym adresem, przewagą akcji, dialogu, zaskakującej pointy nad autorskim moralizowaniem. Tradycja ta patronuje takim utworom, podejmującym na różny sposób temat alkoholu, jak „Ciężkie czasy” Mikołaja Biernackiego, „Złoty młodzieniec” Aleksandra Michaux, bliźniacza „Przypowieść złotego panicza” Włodzimierza Zagórskiego, a także tego samego autora „Rozmowa pijaka z księzcym” i „Stary wywód logiczny”, warta przytoczenia parodia sofizmów, jakie bywają stosowane dla usprawiedliwienia nałogu:

„Kto wyskok pija, w sen twardy zapada,
Kto śpi, ten swymi zmysłami nie włada,
Bez władzy zmysłów — człek grzeszyć nie będzie,
Kto grzechów nie ma — ten niebo posiedzie.
Ergo — wódeczkę pić temu potrzeba,
Kto się chce dostać po śmierci do nieba.”

Kultura szlachecka i właściwy jej sposób literackiego ujęcia problematyki alkoholu żywe były w okresie pozytywizmu nie tylko w postaci wzorów pieśni biesiadnej. Ziemianstwo w niemałej części kultywowało wciąż sarmackie wyobrażenia, wzory życia i obyczaje, co znajdowało wyraz również w literaturze, choć w utworach o podrzędnej w większości randze. Typowym przedstawicielem tego nurtu był Kajetan Abgarowicz, który w powieściach takich jak „Klub nietoperzy” czy „Z wiejskiego dworu” z upodobaniem wystawiał fantazję ziemiańską, najskuteczniej wyżywając się w awanturnictwie i zapamiętałych pijatykach. W kręgu tym powstało też wiele popularnych powieści historycznych — by wspomnieć na przykład utwory Piotra Jaxy Bykowskiego — ożywiających wyidealizowany świat cnót sarmackich, spośród których zamiętanie do kielicha i tęga głowa należały do tych, które darzono największym sentymentem. W tym miejscu nie sposób nie wspomnieć o „Trylogii” Henryka Sienkiewicza, barwnej eskapadzie po Polsce szlacheckiej drugiej połowy XVII wieku. Dzieło to, pod względem artystycznym przewyższające wielokrotnie całą wspomnianą produkcję literacką, wyrastało również z odmiennych koncepcji ideowych. Awanturnicze przy-

gody jego bohaterów, z Onufrym Zagłobą, rubasznym opojem i „kontuszowym Uliksesem”, na czele, sugestywnie nakreślone sylwetki szlachciców-rycerzy, łączących w sobie umiłowanie ojczyzny i męstwo z upodobaniem do rodzinnych trunków — wszystko to nie stanowiło bynajmniej artykulacji anachronicznego „neosarmatyzmu”; było raczej owocem idei „krzepienia serc” dawną, choćby nie pozbawioną skaz, wspaniałością, wyrazem tęsknoty do wielkich, rozpalających uczucia celów i swojskich, pełnokrwistych bohaterów, sympatycznych nawet w swych słabościach, a jednocześnie świadectwem przekonania o przejściowym charakterze wszystkich dziejowych upadków, bo — jak powiedział Zagłoba — „nie masz takowych terminów, z których by się viribus unitis przy boskich auxiliach podnieść nie można.”

Relikty sarmatyzmu, w życiu nie rzadziej niż w literaturze przybierające postać karykaturalną, częściej znajdowały w tym czasie krytyków i prześmiewców niż wiernych apologetów. Wytrwale powielano w różnych odmianach portret typowego szlachciury, tęskniącego, jak bohaterowie „Monachomachii”, za czasami, kiedy:

„Nauki zgubnego jadu
Nikt w dusze ludzkiej nie szczepił,
Zepsucia nie było śladu.
Najwyżej — wioskę kto przepił.”

(Adam Asnyk
„Dzień wczorajszy”)

Podobne wierszyki, kpiące z szlacheckiego Ciemnogrodu, z zadufania domorosłych Sarmatów, którzy swe pijackie skłonności osłaniali chętnie patriotycznymi frazesami, pisali Artur Bartels, Mikołaj Biernacki i Włodzimierz Zagórski. Galerię tych postaci zawierają również humorystyczne opowiadania Józefa Bliżińskiego: „Pan Maciej” — wizerunek szlachetki-rezydenta, za główny cel życia uważającego „możność zalania robaka przed jedzeniem”; „Upředzenia sąsiedzkie” — opowiadające o zapiekłych Sarmatach, Kocioburskich z Zacoфанego, mających za złe sąsiadom, że „nie przymuszają do picia”; „Rycerze kieliskowi” — parodystyczna relacja wspomnieniowa o niegdysiejszych wspaniałych pijaństwach. Jej początek sugeruje zrazu krytyczną, moralistyczną postawę opowiadającego: „Nic zapewne dotyklniej nie przekonywa o tej prawdzie — powiada — że z pokolenia w pokolenia upadamy i karłowaciejemy, jak pogląd na dzieje nasze pijackie.” Dalsze jednak zdania okazują rzeczywisty sens tej tezy: „Niegdys pijactwo było sztuką, którą z zamiłowaniem uprawiano, a w niektórych okolicach lub rodach doprowadzono do możliwej doskonałości — dziś my, karły, pijamy (...) dla zaostrenia apetytu lub ułatwienia trawienia.” Oto więc zaniedbywanie, a nie nadużywanie trunków jest dla narratora znamię obecnego upadku! To ironiczne utożsamienie z chwałką dawnych obyczajów pełni podwójną funkcję satyryczną: ośmiesza nie tylko pielęgnowane wciąż tradycje pijackie, ale też mentalność i sposób myślenia (czy raczej bezmyślności) tych, którzy

usiłują tradycje te podtrzymywać, wielkość mierząc pojemnością spełnianych kielichów, a wstrzeмиęźliwość uważając za oznakę gnuśności.

Diagnozom Blizińskiego w sukurs przychodzą utwory Michała Bałuckiego (m.in. komedia „Sąsiedzi”) i Juliana Wieniawskiego, który w „Wędrówkach delegata” przedstawił karykaturalny obraz ziemiańskich zaścianków: Blichtrawa, Łgarzewa, Sobkowic, a w tej liczbie i Kuflewa, którego zabudowania wyglądają „jak pijany chłop”, upodabniając się w ten sposób do swego właściciela, Pana Doliwy, który zalewając się na umór przy okazji kolejnych oświadczyń, pozostaje z konieczności starym kawalerem. Trudno się zresztą dziwić niedoszłym narzeczonym:

„... pan kuflewski
To pan z panów... sieje hreczkę,
Wąs ma biały... nos niebieski,
A w brzuch leje niby w beczkę.”

Nietrudno zauważyć, że krytyka sarmackich przeżytków utraciła w tym okresie determinację i ostrość, z jakimi te same cechy piętnowano w epokach wcześniejszych. Satyryczne wycieczki przeciw nim podejmowano raczej w celu uzyskania efektów komicznych niż moralistycznych; w drugiej połowie XIX wieku nie to stanowiło najdotkliwszy problem społeczny, nie to więc stało się głównym obiektem literackiej penetracji.

Służebna wobec wysuwanego wówczas programu społecznego, literatura pozytywistyczna miała być — wedle słów Piotra Chmielowskiego, czołowego publicysty tej doby — „obrazem, a nie parawanem życia”. Miała zatem, burząc granice konwencji i „stref zakazanych”, skierować się ku tym częściom organizmu społecznego, które stały się przedmiotem najżywszej troski i „pracy u podstaw”: społecznym „nizinom”, rozległym obszarom nędzy i upośledzenia. „Wysadziwszy głowę z salonu czy przedpokoju swoich chlebobawców” — pisał Bolesław Prus — miała ujrzeć ten nowy dla niej, rzadko dotąd dostrzegany świat.

Pierwszym „kontynentem”, który odkryła na swój użytek literatura pozytywizmu, była wieś. Nie ta jednak szlachecka, z malowniczymi dworami, ani też „włościańska” — zgrzebno-sielankowa; obie były w literaturze dobrze już zdomowione. Nowością było dostrzeżenie innego oblicza wsi — z nędznymi chałupami i obskurnymi karczmami, głodującej, ciemnej, trawionej prymitywnymi nałogami. Nie chodziło wszakże o samą rejestrację „brudnej” strony chłopskiej egzystencji; ważna była również perspektywa obserwacji i interpretacja cywilizacyjnego i moralnego zacofania wsi. Działali bowiem w tym okresie pisarze, którzy choć dostrzegali nędzę chłopskiego bytowania i boleli nad nią, pozostawali w kręgu przesądów stanowych i anachronicznych poglądów społecznych. Ich to dziełem była liczna grupa utworów „o treści pouczającej”, w których przedstawiano lud i do tegoż ludu kierowano umoralniające wskazania. Już wówczas iro-

nizowano na ten temat, tak oto przedstawiając schemat typowego „dramatu ludowego”, formy najpopularniejszej w tym nurcie, bo przez swą naoczność najbardziej komunikatywnej: „Weź pijanicę, o złych instynktach włościanina, dodaj do tego łotra karczmarza-Żyda, zmieszaj razem z pocziwym, najstarszym patriarchą na wsi, podlej to sosem niby poetycznym sielanki, zakrop wszystko czarami, modlitwą, cudownością, a będziesz miał sztukę ludową.” Jednym z najsłynniejszych autorów tego typu dziełek był Władysław Anczys, którego wrażliwość na los wsi wiodła co najwyżej do niewybrednych złośliwości pod adresem przyrodzonej jakoby skłonności chłopów do pijaństwa (wierszowana scenka „Chłop i świnia”) lub protekcyjnych apeli o trzeźwość, niewiele w istocie odbiegających od wątpliwego dydaktyzmu średniowiecznej „Satyry na leniwych chłopów”. Tematykę tę najobficiej prezentuje jego sztuka pt. „Gorzałka”, której wymowę streszcza następujący czterowiersz:

„Już to w tej gorzałce moc szatańska taka,
Z porządnego czleka zrobi nawet pijaka;
Przestańmyż pić wódkę, Polacy, włościanie,
A naszym zamysłem pobłogosław Panie!”

Jakkolwiek ujęcia takie nie były wcale odosobnione, pisarze związani z obozem „pozytywizmu warszawskiego” prezentowali w tej kwestii stanowisko daleko gruntowniejsze. W ich twórczości chłop przestawał być sprowadzany do roli biernego obiektu obserwacji czy manipulacji, o najszlachetniejszych choćby intencjach; stawał się pełnoprawnym bohaterem, wraz z właściwymi sobie kategoriami myślenia i życiem psychicznym, jednostką zdolną samodzielnie świadczyć o swym losie. Sąd ten najlepiej dokumentuje opowieść o „chłopskim Hiobie”, „Placówka” Bolesława Prusa. Ten bogaty w realia wiejskie utwór ujawnia wszechobecność alkoholu w życiu chłopów, przynoszącego pocieszenie tym, którzy nie mając nadziei na jakąkolwiek poprawę swej mizarii, każdy zarobiony grosz trawią natychmiast na trunku, pozwalając choć na chwilę o niej zapomnieć. Bez wódki nie może się tu obejść żadna uroczystość, żadna transakcja handlowa, zaś karczma jest jedyną dostępną formą rozrywki, a zarazem wyłączną instytucją lokalnego życia społecznego, miejscem, gdzie się „politykuje” i gdzie rodzi się opinia publiczna. Dopelnieniem tego wizerunku są obrazy dworu i plebanii, gdzie również nie stroni się od kieliszka, za to chłopskie pijaństwo traktuje się z pogardą i odrazą. Karczmarz Josel mówi: „co oni mają robić (...), jeżeli nie pić? Kiedy chłop nie ma stałego obowiązku, to on co zyska w dzień, zaraz przepije na noc.”

Funkcjonowanie alkoholu w środowisku wiejskim równie wszechstronnie przedstawiają nowele Henryka Sienkiewicza. I tak w „Jamiolu” mieści się dramatyczna scena odbywanej w szynku stypy, której uczestnicy poją wódką dziesięcioletnią sierotę, w ten sposób wyrażając swoje współczucie: „Napij się, boś sierota. Nie zaznasz dobroci.” Z kolei w „Bartku zwycięzcy” Sienkiewicz przedsta-

wia konsekwencje wytrącenia bohatera z organicznego środowiska życia i załamania się tradycyjnej wizji świata. Kolejne etapy narastającego kryzysu znaczone są coraz częstszym sięganiem po alkohol, którym usiłuje zagłuszyć dotkliwe, a nie do końca rozumiane przez siebie rozterki. Rolę karczmy w życiu wsi w nie mniejszym stopniu niż „Placówka” eksponują „Szkice węglem”. Utwór analizuje błędne koło, którego osią jest alkohol: więcej urzędnicy cynicznie żerują na pijaństwie chłopów, ci zaś, próbując zapić poczucie bezsilności wobec doznawanych krzywd, jeszcze bardziej pogrążają się w nałogu.

Liczne świadectwa wyniszczającego oddziaływania alkoholu mieści przesycona współczuciem dla losu chłopów twórczość Marii Konopnickiej i Teofila Lenartowicza. Daleko idące utożsamienie z chłopską mentalnością i sposobem widzenia świata potęguje autentyzm i wyostreza dramatyczność cierpień doznawanych przez wiejskich bohaterów. Utwory obojga pisarzy stały się dzięki temu czynnikiem przełamywania barier i przesądów stanowych, uwarzliwiania opinii społecznej i mobilizowania do podjęcia odpowiedzialności za sytuację wsi. Podobne ujęcia były też właściwe wielu innym, mniej znanym twórcom — takim jak Józef Wierzbicki czy Ignacy Maciejowski — którzy nie osiągnęli zapewne miary literackiej wybitności, lecz bez wątpienia wzbogacili zapisany w literaturze pozytywizmu rejestr zła, jakiego przysparzał wsi alkohol. Nie o sam rejestr wszakże chodziło. Na fundamencie szeroko zakrojonej diagnozy poddawano surowej krytyce cały układ społeczny i bytowy, który niemal mechanicznie wpędzał chłopów w pijaństwo, w pierwszym rzędzie obwiniając ziemian i tych wszystkich, którzy za ich sprawą lub przyzwoleniem czerpali zyski z masowego spożycia alkoholu na wsi.

Druga połowa XIX wieku stanowiła na ziemiach polskich okres rewolucji przemysłowej, która — choć opóźniona w stosunku do rozwiniętych krajów Europy i nie tak intensywna — dokonała istotnych przemian nie tylko w gospodarce, ale i życiu społecznym. Jedną z jej konsekwencji był szybki rozwój urbanistyczny, kształtujący zupełnie nową strukturę społeczności miejskiej. W ramach tego procesu nastąpił rozrost warstwy biedoty miejskiej, wchłaniającej grupy ludzi zdeklasowanych i pozbawionych stałego zajęcia. Jej specyficzna podkultura stała się pożywką dla różnorodnych form patologii społecznych i moralnych, z których bodaj największe zagrożenie — jako czynnik kryminogenny i źródło wielu innych dewiacji — stwarzał alkoholizm. I to zjawisko znalazło swe miejsce w twórczości pozytywistów, choćby Bolesława Prusa, który w swych kronikach, nazwanych „tragiczno-groteskową epopeją ówczesnej Warszawy”, wytrwale tropił wszelkie schorzenia wielkomiejskiego organizmu.

Tragedie miejskich nędzarzy stanowią ważny temat twórczości Antoniego Pileckiego. Realizując swój program poezji jako „dzielnej dźwigni społecznego rozwoju”, opisywał on w swych „obrazkach” — prawdą, że zwykle dość schematycznych i łzawych — nędę i upodlenie ulicy, smutny los kobiet upadłych i matek, którym mężowie-alkoholicy odbierają „ostatni grosz” etc.

Wiersze o podobnej treści i poetyce znajdują się też w drobku Marii Konopnickiej, która na przykład w „Sobotnim wieczorze” ukazała znikomość perspektyw rysujących się przed miejskim „wolnym najmitą” oraz psychiczną realność wywołanej tym frustracji:

„Czuł, że są wyższe i czystsze uciechy
Nad wrzask pijanej ciżby i muzyki,
Nad wyuzdaną swawolę i śmiechy,
Nad brzęk kieliszków i kłatwy, i krzyki...
Lecz gdzie je znaleźć?...
(.)
Postał, podumał i poszedł — do szynku.”

Alkohol jako forma ucieczki przed „ciśnieniem życia”, ciężarem porażek i zawodów doznawanych w świecie przemysłowej cywilizacji — ucieczki, która tylko potęguje nędzę i poczucie beznadziejności — stanowi podstawowy składnik warstwy opisowej również niektórych nowel Konopnickiej (np. „Pod prawem”), a także Elizy Orzeszkowej („Julianka”, „Sielanka nieróżowa”) i Michała Bałuckiego („Typy i obrazki krakowskie”).

Alkoholizm wszakże nie był przypadłością jedynie warstw najuboższych. Obejmował swym zasięgiem również wyższe piętra społeczeństwa, zwłaszcza że przechodziło ono proces istotnych przemian strukturalnych. Awans dorabiających się mieszczan i pauperyzacja szlachty to dwie strony tego samego zjawiska: przebudowy organizacji społeczno-ekonomicznej na ziemiach polskich. Obie te grupy, tracąc swe tradycyjne zakorzenienie, a wchodząc w obręb środowisk o zupełnie nowych warunkach życia, normach i wartościach, były szczególnie podatne na różnorakie dewiacje obyczajowe i społeczne. Zgodnie z tym w wielu utworach pozytywistycznych pojawiają się postaci noworyszów, którzy równie często jak „wysadzeni z siodła” popadają w pijackie nałogi. W konfrontowaniu bohaterów należących do tych dwóch, symetrycznie ewoluujących grup społecznych specjalizował się głównie dramat pozytywistyczny. Komediiopisarstwo Michała Bałuckiego i Józefa Blizińskiego, podobnie jak utwory mniej znanych przedstawicieli tzw. „dramatu mieszczańskiego” bogato ilustrują zepsucie, utracuszczość i pijackie zapamiętanie upadłych arystokratów oraz alkoholiczne skłonności nowobogackich, leczących w ten sposób swe kompleksy i wybujałe ambicje.

Barwne, a zarazem satyryczne w rysunku portrety lekkoduchów będących stale pod dobrą datą zawierają humoreski przywołanych przed chwilą autorów. Pośród nich zwraca uwagę „Mój pierwszy frak” Blizińskiego, nowela, która relacjonując przebieg pewnego przyjęcia weselnego, przynosi niezwykle bogaty w szczegóły zapis typowego scenariusza zbiorowej libacji. Wyrazistość obrazu potęgowana jest przez kontrast między pijackim grubiaństwem większości biesiadników i perspektywą narratora, nie zepsutego jeszcze młodzieńca, który w przekonujący psychologicznie sposób opowiada o swej alko-

holicznej inicjacji: „Wypiłem, nie wzdragając się, nie wiedziałem sam, co robię... wypięm i drugi kieliszek, bo toasty wytrząsano jak z rękawa. Stało się ze mną coś, z czego nie mogłem sobie zdać sprawy; jakaś nieznana siła przykuwała mnie niby do ziemi, a przecież nóg nie czułem i bujałem w powietrzu; nie wiedziałem, czym byłem: bydlęciem czy człowiekiem-olbrzymem?”

Także Eliza Orzeszkowa w swej obszernej powieści „Pan Graba” kreśli szeroką panoramę prowincjonalnych „niebieskich ptaków”, żyjących „na żart”, lecz „nie na żart” pijących. Podczas kolejnej hulanki z ust jednego z nich padają znamienne zdania, obnażające trywialny hedonizm tego środowiska, a jednocześnie wskazujące na wychowanie rodzinne jako jedno z podstawowych źródeł deprawacji: „Panowie! niech żyją tkliwie i nerwowo kochające swoich synów matki (...), albowiem one to dostarczają znakomitego kontyngensu do zastępów rycerzy wesela, albowiem ich to staraniem wielu młodzieńców umiłowyywa kielich zamiast księgi i zielone pole stolika zamiast pól rodzinnej gleby. (...) Błogosławieni niech będą także ojcowie, którzy dziecięce kroki synów prowadzą tam, gdzie brzmią hymny (...) na cześć Bachusa i Wenery (...), albowiem oni (...) nie dają wygasnąć rodowi wesołych młodzieńców.”

Lista utworów o podobnej tematyce i tendencji mogłaby być jeszcze dłuższa; alkohol jako problem społeczny był bowiem jednym z tych zjawisk, na które pisarze pozytywistyczni byli szczególnie uwrażliwieni. Obok żywionych przez nich przekonań społecznych sprzyjała temu bez wątpienia obowiązująca wówczas formuła literatury, otwartej na najbardziej drażliwe kwestie społeczne, podobnie jak wzorzec pisarza — dążącego do osadzenia twórczości literackiej na jak najsolidniejszym fundamencie wiedzy o opisywanym świecie, czerpanej z praktyki dziennikarskiej, ustaleń nauki czy studiów „z natury”.

Ale zarówno efekty literackie, jak siła oddziaływania pozytywistycznego piśmiennictwa rzadko dorastały miary zadań, jakie przed nim stawiano. Ten rozziew między sferą programowych haseł a praktyczną rzeczywistością przedstawiony jest — nie bez akcentów gorczy i zniechęcenia — we fragmencie przywoływanego już wiersza Marii Konopnickiej, w którym ta sama co i wcześniej pointa zyskuje szerszy, symboliczny wymiar:

„Z przechodniów owych niejednen zapewne
Kochał lud, myślał o jego oświacie
I miał dla niego to uczucie rzewne,
Które obcemu nawet mówi: «bracie»...
Lecz gdzież są drogi, na których by duchy
Dwóch sfer odmiennych schodziły się społem?
Czyliż zwyczaj jak więzów łańcuchy
Kaźdej z nich ciasnym nie zamknęły kołem?
Przedmiotem czyjej troski i narady
Jest znikczemnienie w zwierzęcym spoczynku?...
Czyliż więc dziwno, że wyrobnik błady
Postał, podumał i poszedł — do szynku.”

WIZJA LOKALNA W KNAJPIE

Na gruzach pozytywistycznej wiary w możliwość bezkonfliktowego uzdrowienia i modernizacji społeczeństwa, a także w perswazyjną moc podporządkowanej temu celowi literatury, na początku, a zwłaszcza od połowy lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku kiełkować zaczęły w Polsce idee naturalizmu. Nie złożyły się one co prawda na oddzielną formację literacką, nie doprowadziły do ukształtowania osobnego prądu; poza nielicznymi wyjątkami stanowiły tylko jeden z rysów ówczesnych i późniejszych pisarzy, których osobowości twórcze z reguły wyrastały poza ramy naturalistycznych kanonów sztuki i wyobrażeń o świecie. Kierunek to jednak szczególnie zasłużony w literackich dziejach motywu alkoholu — może nie tyle ze względu na oryginalność jego ujęcia, ile raczej z uwagi na imponującą skalę problematyki społecznej odzwierciedlonej na kartach naturalistycznej prozy.

Było to bezpośrednią konsekwencją założeń, jakie stały u podstaw naturalizmu, będącego nie tylko nurtem estetycznym, ale też pewną formacją światopoglądową, o orientacji filozoficznej bliskiej materializmowi. Założenia te sformułowane zostały w wypowiedziach teoretycznych i praktyce pisarskiej Emila Zoli i grona związanych z nim twórców. Dzieło sztuki było dlań „skrawkiem natury widzianym przez pryzmat temperamentu” — wierną, pozbawioną wszelkiej założonej idei rejestracją rzeczywistości, ujmowanej jako teren bezwzględnej walki o byt, jaką toczą nieustannie ludzie określani bez reszty przez egoistyczne namiętności, przez fatalistyczny wpływ środowiska i mechanizmy dziedziczenia. Pozbawiona koturnów literatura miała naśladować eksperyment naukowy, odtwarzając i badając w symulacyjnej grze fikcji najbardziej dotykalne i jętrzące przejawy życia. „Wychodzimy na ulicę — pisał Ioris-Karl Huysmans, jeden z uczniów Zoli — na ulicę żyjącą i rojną, chcemy postawić na nogi istoty z mięsa i kości, istoty mówiące językiem, którego ich nauczyli, istoty wreszcie, które drgają i żyją...”

Stanowisko to oznaczało zwrot ku tym sferom społecznym, w obrębie których ślepe prawa natury działały najdotkliwiej, sprowadzając istnienie człowieka do gry elementarnych instynktów, zaś przeznaczeniem jego czyniąc nę-

dzę i zezwierżenie. Istotę naturalizmu w ten sposób określał bohater jednej z powieści Gabrieli Zapolskiej: „Według niego jestem naturalistą! — a ja jestem, jeśli już mam być jakimś «istą» — to nędzarzystą!” W ten sposób świat upodlenia i występku jawił się w literaturze z całą otwartością, jako główny uczestnik „historii naturalnej” społeczeństw. Powieść — nazwana przez braci Goncourt „historią tych, którzy do historii nie należą” — miała być co prawda wolna od wszelkiej ideologii, poprzestając na obiektywnej i chłodnej prezentacji, jednak sama rzetelność analizy mechanizmów ludzkich upadków i przezierająca spod maski neutralności solidarność z najbardziej upośledzonymi czyniły z pisarstwa naturalistów instrument ostrej krytyki społecznej. To właśnie Adolf Dygasiński, czołowy polski naturalista, stwierdzał: „Głodni nie mają żadnych obowiązków, dopóki się przedtem nie nasycą.”

Wierność wobec rzeczywistości nie pozwalała przymykać oczu na żadną z cech „człowieka fizjologicznego” — w tym i na alkoholizm. W artykule o Emilu Zoli Antoni Sygietyński, również bliski naturalizmowi, pisał: „Kiedy Zola pisze *«L'assommoir»* (wyd. pol. pt. *«W matni»*), w umyśle jego powstaje pytanie: jakim jest człowiek, (...) dla którego celem życia jest nie umrzeć z głodu, a jedyną rozkoszą — upić się; (...) który jest skazany z góry przez swe urodzenie, otoczenie i wpływy na delirium tremens...” Literatura naturalistyczna, odzwierciedlając obecność alkoholu w życiu społecznym, nie poprzestawała zatem na prostej dokumentacji. Z iście naukową dociekliwością usiłowała zgłębić przyczyny skłaniania się ku alkoholowi tak licznych grup ludności, ekonomiczne i instytucjonalne uwarunkowania nałogu, różne postacie kryzysu społecznego zrodzonego przez masowe pijaństwo.

Analizie tej problematyki sprzyjała podejmowana często formuła powieści środowiskowej, ujmującej bohaterów we wszechstronnych związkach z otoczeniem, tłumaczącej indywidualne losy socjalnymi i materialnymi okolicznościami. „Na skałach Calvados” Antoniego Sygietyńskiego, utwór uważany za pierwszą polską powieść naturalistyczną, może posłużyć na przykład takiego ujęcia. Kreśląc drobiazgowy obraz bytowania francuskich rybaków, autor z dokumentalną wiernością rejestruje te wszystkie sytuacje, których nieodzownym uczestnikiem jest alkohol: „Co dzień to samo! Czy na pokładzie większe lub mniejsze pijaństwo, czy połów lepszy lub gorszy, czy zarobek, czy strata, pierwsze powitanie ziemi odbywa się w szynku”. Tak zaś wygląda wypoczynek rybaka między jednym a drugim wypłynięciem w morze: „... raz tylko na tydzień jest na brzegu przez dwadzieścia cztery godziny, ale z tych przez sześć pije, przez drugie sześć gra w kręgle lub domino, a potem przez cztery dopija, przez ośm zaś pozostałych wytrzeźwia się i wysypia w łóżku za cały tydzień.” Stąd też bierze się trywialność ich egzystencji, stąd rozkład rodzin, stąd bieda, pogłębianą przez szynkarzy, nazywanych „bankierami-lichwiarzami”, którzy uciekając się do najniższych sposobów, ograbiają ich z większości skromnych zarobków. Gdy dodać do tego presję środowiskowych

norm, piętnujących i wykluczających ze społeczności tych, którzy chcieliby uchylić się od przyjętego stylu życia — powstanie układ zależności który w deterministycznym wręcz sposób rodzi kolejne pokolenia pijaków.

Typową genezę alkoholizmu — tym razem na przykładzie jednostkowych losów — przedstawia Dygasiński również w noweli „Jedynaczka”. Jej bohaterem jest pianista, dla którego muzyka jest wielką pasją, nie mającą jednak pokrycia w talencie. Fiasko artystycznych aspiracji zbiega się z niezbyt szczęśliwym małżeństwem, zaś konieczność utrzymania rodziny czyni niewystarczającym dochód czerpany z lekcji muzyki. „I zaczął szczerze się frasować... Lecz na frasunek — dobry trunek; a kto może dla dodania sobie kurażu wypić jeden kieliszek, ten wypije drugi i trzeci. Pomału zaczęło się na nowo knajpowanie, z początku dla względów towarzyskich, potem dla zadowolenia własnego, dla zakrapiania robaka, w końcu dla nałogu...” Zapamiętanie w piciu czyni go odpornym na starania żony, usiłującej wywabić go z knajpy pod pozorem własnej choroby, tak że nawet wieść o jej śmierci poczytuje za kolejny podstęp. W końcu zostaje sam i uwolniony od wszelkich zobowiązań przepija wszystkie zarabiane pieniądze, nie cofając się przed żadnym upokorzeniem dla zdobycia kieliszka wódki. Wegetując jako szynkowy grajek, umiera z przepicia, u kresu niewrażliwy nawet na najdroższe pamiątki po bliskich. Nowela ta, oszczędna w środkach wyrazu, stanowi studium przypadku człowieka wrażliwego, nie potrafiącego udźwignąć ciężaru codziennej walki o byt. Ten kliniczny przykład alkoholizmu rodzącego się z nieprzystosowania skonstruowany został zgodnie z wszelkimi prawidłami naturalizmu, łącząc beznamietną narrację z grozą postępującego upadku bohatera, jego duchowego obumierania.

Dziełem Sygietyńskiego jest także głośna powieść „Wysadzony z siodła”, której tytuł stał się obiegowym określeniem zdeklasowanej szlachty, pozbawionej majątku przez dokonujące się przemiany ekonomiczne, a często także — za udział w powstaniu styczniowym — przez represje zaborców. Kontynuując niektóre wątki dramatu pozytywistycznego, Sygietyński odsłania tu różne wymiary doświadczenia społecznej degradacji: skazany na nędzne i pospolite bytowanie, bohater powieści szuka w sztucznych podniętach alkoholu namiastek dawnego stylu życia, smaku utraconego bezpowrotnie poczucia własnej wartości. Jest to dla autora okazją do wędrówki po warszawskich przybytkach rozrywki, do przedstawienia realiów i atmosfery hoteli, restauracji, knajp i „handelków”. Oto fragment jednego z wielu podobnych obrazków: „Jedni wpadali na chwilę na kieliszek wódki i jakąś drobną zakąskę, aby się tylko pokrzepić do dalszej pracy; inni jedli i pili z całym uroczystym namaszczeniem sybarytów, którzy umieją życia używać. Przy stołach i stolikach, po ustawianych popod ścianami wokół wszystkich pokoiów, grupy i pary gestykulujące i krzyczące, rozmawiające z wielkim zajęciem lub siedzące w milczeniu, podniecały się piwem, węgrynem, burgundem, porterem, szampanem,

z całą swobodą ludzi, którym się zdaje, że nikt ich nie słucha, że nikt na nich nie patrzy, ponieważ sami nie patrzą i sami nie słuchają. Gwar i hałas ogólny pozwalał każdemu czuć się odosobnionym przy swoim stoliku, być jak u siebie.”

Zjawisko nie tylko społecznej, ale też kulturowej i moralnej degradacji szlachty znajduje wyraz również w nowelistyce Adolfa Dygasińskiego. Obrazy żalosego upadku tej warstwy przedstawił w utworach „Pan Jędrzej Piszczalski” i „Bracia Tatarzy”. Bohaterowie drugiego z nich to synowie zbiedniałego szlachcica, którzy z braku innych perspektyw zawzięcie kultywują „staropolskie cnoty”: hazard, miłostki i pijaństwo. Zbliżony w swych tezach do pozytywistycznych satyr na „złotych młodzieńców”, utwór ten wskazuje na rozdział między dziedzicznymi tradycjami a rzeczywistym statusem materialnym i społecznym szlachty jako źródło domorosłego hedonizmu, uznającego prostackie uciechy przy butelce za najdoskonalszą formę rozrywki. Zapamiętałe pijaństwo, które tu jest efektem obumarcia wszelkich wyższych aspiracji — skutku niefrasobliwego wychowania i atmosfery podupadłego zaścianka — wśród chłopów stanowiło raczej wyraz desperacji wzbudzonej przez nędzę i bezsilność wobec nawarstwiających się za jej sprawą nieszczęść. W opowiadaniu „Ze wsi do wsi” tegoż autora powiada się o chłopach: „...dużo piją oni zawsze tam, gdzie bywa dużo pogrzebów.” Prawdopodobnie tę potwierdza postawa karczmarza, cieszącego się z każdego nowego pochówku, bo „bez pijaństwa się nie obędzie”. Dążenie wszelkimi sposobami do maksymalizacji zysków uzewnętrznia się w obskurnych wnętrzach karczmy i podłogi podawanych trunków, zaś nieustanne namawianie do picia i udzielanie kredytu na lichwiarski procent tworzą skuteczny mechanizm uzależniania chłopów od alkoholu, potęgując jeszcze ich poczucie beznadziejności i rujnując życie rodzinne. Cierpią na tym również kobiety, których skargi składają się w opowiadaniu na przejmujący komentarz upadku mężów. Ale ich wypowiedzi ujawniają jednostronność stosunku wsi do alkoholu: pijak potępiany jest za materialne rujnowanie rodziny i kompromitowanie się wobec sąsiadów — bez śladu refleksji nad głębszymi przyczynami i konsekwencjami nałogu.

Z kolei w powieści „W Swojczy” Dygasiński usiłuje sprowadzić do zakorzenionego na wsi alkoholizmu wszystkie przyczyny niepowodzenia dokonywanych wówczas reform gruntowych. Nadania ziemi rodzą pychę wzbogaconych tą drogą bohaterów utworu, porzucają więc swe obowiązki na rzecz nieustannego świętowania w karczmie. Rosną zadłużenia — narasta więc groźba utraty uzyskanych gruntów. Zostaje ona jednak zażegnana — na zasadzie „deus ex machina” — dzięki grupie światłych włościan, którzy skutecznie propagując wiedzę rolniczą i wstrzemięźliwość, wykorzeniają zgubne skłonności i prowadzą wieś do materialnego i moralnego odrodzenia. Choć powieść trafnie analizuje psychologiczne motywacje pijaństwa i jego ekonomi-

czne skutki, to program przezwyciężenia upośledzenia społecznego i zacofania wsi jedynie drogą zwalczania nałogów musi wydać się naiwną utopią.

Twórczość Dygasińskiego przynosi też utwór, który — zapewne jako pierwszy w literaturze polskiej — nazwać by można literacką, choć o naukowych niemal walorach, monografią problemu alkoholu i alkoholizmu. W powieści „Gorzałka”, „uobrazowaniu i zgrupowaniu wszystkiego, co dotyczy produkcji, rozpowszechniania i konsumpcji wódki”, autor czyni to właśnie zagadnienie głównym tematem, organizując wokół niego wszystkie wątki, bieg akcji i ramy przedstawianego świata. Dzieje się to z pewnością ze szkodą dla konstrukcji utworu, który — zgodnie zresztą z naturalistyczną manierą — przybiera postać luźnej sekwencji epizodów, ale jego poznawcze i perswazyjne walory wydają się przynajmniej w części rekompensować te niedostatki.

Książka omawia dzieje Towarzystwa Spirytusowego, przedsiębiorstwa produkującego wódkę i organizującego jej dystrybucję. Zadziwiająca kompetencja autora we wszystkich drobiazgowych kwestiach z tym związanych nie była dziełem przypadku; Dygasiński odbył wcześniej niemal trzyletnie „studia terenowe”: „Zbierałem materiał w gorzelniach, destylatorniach, szynkach i handlach — pisał w liście do wydawcy — w celu wykazania rozkoszy i cierpień, które alkohol sprawia jednostkom, rodzinie, społeczeństwu.” Postępowanie takie zgodne było z postulatami naturalizmu. Oto jak Emil Zola wspomina swe przygotowania do pracy nad wspomnianą już powieścią „W matni”: „Miałem w głowie myśl zrobienia powieści na tle alkoholizmu. Nie wiedziałem nic więcej. Zebrałem stos materiałów o nadużyciach trunków. (...) Nie wiedząc jeszcze, kto będzie ofiarą alkoholizmu, jak lekarz chodziłem studiować chorobę i śmierć w szpitalu dla obłąkanych.”

Te wszechstronne studia pozwoliły Dygasińskiemu włączyć do powieści szczegółowe opisy stosowanych w gorzelnictwie technologii, systemu rozprowadzania alkoholu i jego obiegu na rynku, brudnych metod walki konkurencyjnej i wątpliwych moralnie sposobów reklamy produktu jako „gorzałki zdrowia”. Towarzystwo Spirytusowe to przedsiębiorstwo założone i zawiadywane przez ziemian, którzy frazesami o „obowiązku obywatelskim”, „postępie cywilizacyjnym” i „interesie narodowym” próbują zamaskować rzeczywistą przesłankę swych poczynąń: zysk za wszelką cenę. Autor wzorował zresztą swe fikcyjne przedsiębiorstwo na powstałym w 1887 roku w Warszawie Towarzystwie Oczyszczania i Sprzedaży Spirytusu, o którym pisano w tonie podobnych zachwyty dla „geniuszu przedsiębiorczości, ducha męskiej administracji i cnoty wytrwałej energii”. Obnażenie w powieście tej reklamarskiej demagogii było wymierzone nie tylko przeciw eskalacji rodzimego gorzelnictwa. Stanowiło też formę pośredniej polemiki z programem pozytywizmu, który sankcjonując w istocie każdy rodzaj przedsiębiorczości jako nowoczesną postać patriotyzmu, w praktyce zyskiwał często takie właśnie wypaczone realizacje.

Tej systemowej i instytucjonalnej analizie towarzyszą w „Gorzałce” dzieje indywidualnych tragedii (zdarzających się także w rodzinach samych przedsiębiorców), drastyczne opisy fizycznych zniszczeń i upodleń alkoholików, obrazy wiejskich i miejskich środowisk toczonych nalogiem, przykłady bezwzględności propinatorów i beznadziejnej walki z pijaństwem prowadzonej przez Kościół. Prawdziwie socjologiczna rozległość perspektywy, skrupulatność w tropieniu ukrytych zależności i powiązań, pozwalających dotrzeć do rzeczywistych przyczyn niebywalej ekspansji nałogu — wszystko to sprawia, że mimo artystycznych niedoskonałości (przewagi poetyki sprawozdania nad epicką narracją, jednowymiarowości świata przedstawionego) utwór ten należy uznać za bezprecedensowy w dziejach literackich opracowań nt. alkoholu jako problemu społecznego. Wyrazistości i sile tego głosu nie zaszkodził brak patetycznych oskarżeń i dydaktycznych komentarzy — sens zrelacjonowanych faktów był aż nadto oczywisty.

Szczegółową dokumentację diagnozy zawartej w „Gorzałce” odnaleźć można w wielu innych utworach Dygasińskiego, spośród których warto wspomnieć o obszernym cyklu powieściowym „Nowe tajemnice Warszawy”, częstym na przełomie wieków skrzyżowaniu „szkicu fizjologicznego” z „powieścią tajemnic”, oraz „Na warszawskim bruku”, ostatniej z serii utrzymanych w podobnym gatunku powieści o „Majcherku-Von Molkenie, nieprawym synu arystokraty i śpiewaczki”. W tym ostatnim utworze autor wnika głęboko w środowisko wielkomiejskich lumpów, których jedynym celem jest: „Przeżyć dzień do ósmej godziny wieczór, (...) zarobić kilka złotych, przepić to wszystko w knajpie i wypaść się w niepłatnej norze”. Powieść, w całości niemal rozgrywająca się w knajpie „Pod Żurawiem” — nazywanej „rodzajem bóżnicy, do której ciągną ludzie gnani uczuciami głodu oraz pragnienia” — prezentuje grupę ludzi beznadziejnie pogrążonych w pijackiej podkulturze. Różne i nie zawsze trywialne są motywacje, które ich tam przywiodły: nadwrażliwość, wstręt do nudy i miałkości życia, nawała bolesnych zawodów i ciosów, obciążenia dziedziczne i środowiskowe etc.; nieodmienne są jednak skutki nałogu: moralne wynaturzenia i schorzenia psychiczne (od psychopatii, przez manię prześladowczą, do paranoi), redukcja egzystencji ludzkiej do jednego tylko wymiaru: głodu alkoholu. W pijackich rozmowach bohaterów rozwinięta zostaje cała „filozofia picia”, która ludziom tym zastępuje filozofię życia: rytuały spożywania alkoholu, tajemnice przyrządzania i sekretne właściwości różnych jego gatunków, legendy o zbawiennej pomocy trunku w różnych kłopotliwych sytuacjach, przesady pijackie, także maksymy etc. Wycucie swojego kolorytu tego środowiska, reporterski zmysł w prezentacji realiów, a zarazem szczególny ton przemieszanego ze straceńczym humorem tragiczmu — pozwalające niektórym historykom literatury zestawiać „Na warszawskim bruku” z głośnym „W matni” Zoli — wyróżniały tę powieść spośród całej fali sensacyjnych „romansów miejskich”, które penetrowały egzotykę zakaza-

nych knajp, a których charakter zdradzają same tytuły: „Zbrodniarz” Władysława Grejnera, „Rycerze Czarnego Dworu” Bolesława Londyńskiego, „Szachraje” Artura Gruszeckiego itp.

Choć Adolf Dygasiński chyba najściślej i najpełniej spośród współczesnych wcielał w swej twórczości dyrektywy naturalizmu, najwszechstronniej też przedstawił rozmiary zniszczeń dokonywanych przez alkoholizm, w obu tych dziedzinach nie był bynajmniej osamotniony. Oto choćby proza Zygmunta Bartkiewicza, którego opowiadania nazwane zostały „monografią nędzy warszawskiej”. Pisarz, wsłuchany w „pijaną, brutalną wrzawę ulicy”, budował swe utwory z luźnych ciągów scen, impresji, strzępów dialogów, chcąc niejako samą kompozycją oddać nerwowy, szarpany rytm wielkomiejskiego życia. Zapisywał w nich fragmenty rozmów prowadzonych przez ulicznice, zgiełk kawiarnianych sal, bełkot zamroczonego furmana. W opowiadaniu „Wódka” przedstawił prawdziwy „portret fizjologiczny” alkoholika, który w delirycznej gorączce ogołaca swe mieszkanie z ostatnich sprzętów, by zdobyć pieniądze na wódkę. W syntetyczny sposób odtworzył autor cechy knajpianego folkloru, a monochromatyczność narracji, skupionej wyłącznie na tych zachowaniach, odruchach, wypowiedziach, których przedmiotem bądź motywem jest alkohol, odzwierciedlać ma obsesyjny typ osobowości człowieka, zamkniętego bez reszty „w matni” nałogu. Iluzję „obiektywizmu” potęguje to anonimowość bohatera, polegająca nie tylko na braku nazwiska, ale i jakichkolwiek innych cech charakterystycznych nie związanych z kondycją alkoholika — co stwarzać ma wrażenie typowości opisywanego przypadku jako „jednego z wielu”.

Literackim świadectwem degeneracji wielkomiejskich nędzarzy są również utwory Gabrieli Zapolskiej. W „Kaście Kariatydzie” spogląda ona na to środowisko oczami wiejskiej dziewczyny, nie zatrutej jeszcze nieprawościami nowoczesnej cywilizacji, co stwarza kontrast wyostrażający i tak już wymowne obrazy: „... rodzaj ogłupienia i zbydlęcenia malował się w rysach tych ludzi, którzy w pracy swej widzieli jedynie źródło zarobku — możliwości wypicia większej ilości piwa (...) jakąż rozrywką mieli ożywić zmęczone dusze, drzeмиące w tych ciałach, które zamiast krwi nosiły w swych żyłach rozczyń alkoholu (...). Brudne żydowskie knajpy, gdzie rozlegała się wrzaskliwa muzyka, otwierały swe przegniłe wrota (...) cisnęły się całe gromady kobiet, mężczyzn, dzieci, kończąc dzień świąteczny zalewaniem się strugami piwa, fałszowanej wódki...”

Nie mniej brutalnie rysuje się świat nowel Ostoi (Józefy Sawickiej). Typowi bohaterowie jej „Szkiców i obrazków” to wyrobnik, który, zmęczony szarą roślinnością, odróżnia święto od dnia powszedniego jedynie dzięki temu, że może się wówczas upić, czy kilkunastoletni ulicznik, któremu alkohol przedwcześnie odebrał rodziców, a teraz pochłania każdy wyżebrany przezeń grosz. Postaci o podobnych cechach i doświadczeniach nie brak również w

wiejskich nowelach Ostoi. W jednej z nich pt. „W Głuszy” autorka z dokumentalną systematycznością rejestruje różnorodne przejawy stosunku środowiska wiejskiego do pijaństwa: od prób jego racjonalizacji przez odwołanie do obyczaju, stosownych fragmentów Biblii czy obecności wina w liturgii chrześcijańskiej — po wymyślne praktyki magiczne, mające odstręczyć bliźnich od wódki. Istotną warstwę „obrazków” Ostoi stanowią sporządzane zgodnie z naturalistyczną metodą, fotograficznie drobiazgowo opisy obskurnych, skażonych alkoholem pomieszczeń. Oto opis głuskiej karczmy: „Wnętrze ohydnie plugawe; izba duża lubo ciemna, pomimo trzech okien: słońce brzydziło się tu zaglądać; ściany i sufit okopcone w górze, w dole zaś, spod odłamanych kawałków widać zgniłe próchno i pleśń białawą; (...) pachniało śledziem, cebulą, nieokreślonem jakimś pieczywem, przede wszystkim zaś nędzą i brudem.”

Wiele podobnych — i przedmiotowo, i stylistycznie — opisów zawierają utwory penetrujące bardziej „egzotyczne” środowiska: „Krety” Artura Gruszeckiego i „Bawelna” Wincentego Kosiakiewicza, przedstawiające złe warunki życia i swoistą obyczajowość górników i tkaczy; utwory Zapolskiej i Dygasińskiego, które zapowiadając modernizm, zarysowywały wizerunek cyganerii artystycznej, traktującej „natchnione” pijaństwo jako protest przeciw społeczeństwu mieszczańskiej przyziemności i zakłamania; wreszcie „Szkice” Adama Szymańskiego, odtwarzające konsolacyjną funkcję alkoholu wśród zesłańców syberyjskich, oderwanych od swego otoczenia, przytłoczonych balastem wspomnień i „nikczemnością” codziennej egzystencji. Oto charakterystyczna wypowiedź jednego z nich, mówiąca o częstych w jego życiu chwilach desperacji i porażenia ogromem ludzkiej podłości: „Biegnę wtedy do szynku, ale walka z myślą-potworem — niełatwa i choć zalewam ją wódką, aby stracić przytomność wprzód, zanim rozpacz w swej logice nieubłaganej do wniosków ostatecznych doprowadzić mnie zdoła, zdarza się często, że chociaż leję w siebie palący wnętrzości spirytus, przytomności w czas stracić nie zdołam...”

Najwybitniejszym pisarzem tego okresu, który podejmował — choć nie nazbyt ortodoksyjnie — inspiracje naturalizmu, był Władysław Reymont. W jego utworach, kreślących zwykle szerokie panoramy społeczne, alkohol pojawiał się jakby mimochodem, jako element tła raczej niż jako pełnoprawny bohater. Ale może dzięki temu właśnie ujęty został w sposób niezwykle wiarygodny: bez przesadnych wyostreń, za to w silnych związkach z różnorodnymi sferami życia zbiorowego i prywatnego. Już na podstawie samych nowel Reymonta można by dokonać dokładnej rekonstrukcji wnętrza ówczesnych szynków, funkcji i przeznaczenia poszczególnych pomieszczeń, zwyczajowych reguł rządzących zachowaniem w ich obrębie. Ale karczma jest tu też sceną, a nierzadko i przyczyną drastycznych wynaturzeń (takich jak „chrzest” wódką nowo narodzonego niemowlęcia w noweli „Sprawiedliwie”) i tragedii

ludzkich — oto jedna z nich, opowiedziana w pijackim monologu przez bohatera „Zawieruchy”: „I babę miołem, i krówsko miołem, i dzieci miołem, a tero, kiej kołek som jezdym... Pochówek sprawilem jednemu — cystą piłem na frasunek; pochowałem na krosty drugie — cerwuną piłem; trzecie pocho- wałem — harak piłem, bo me kole serca kiej kolką spiralo; baba mi się zmar- nowała — som spryt piłem; krowa mi padła na zwiesnę — wszystko razem pi- łem i nic — bolenie firt spiro. (...) pije se, bo me zmora dusi nocami i duszyc- ki we spiku przychodzą się żalić — pije sobie...”

Z epickim rozmachem Reymont rozwinął ten temat w „Chłopach”. Wsze- chobecność karczmy w warstwie opisowej powieści jest wyrazem roli, jaką peł- niła w wiejskiej społeczności; jedyne forum życia zbiorowego, miejsca wię- ziotwórczego, gdzie powstawała lokalna opinia publiczna i ścierały się różno- rodne jednostkowe i grupowe interesy. Chyba po raz pierwszy w tak wszechstron- ny i pozbawiony uprzedzeń sposób przedstawiona została kulturowa funkcja karczmy: tam właśnie finalizowała się większość ważniejszych wydarzeń w życiu jednostek i całej wsi — zмовiny czy chrzciny, wesele czy stypa, jarmark, świno- bicie czy święto kościelne — żadna z tych okazji nie mogła się obyć bez uczce- nia jej w karczmie. Była ona również ogniskiem życia towarzyskiego, zabaw, tańców, umizgów, gdy zaś trzeba było rozstrzygać ważne sprawy całej zbioro- wości, konferowano nad nimi w zacisznym alkierzu.

Jeśli tak istotna była rola karczmy, to przynajmniej w tym samym stopniu — karczmarza. On to koncentrował w swoim ręku lokalny handel, on pośre- dniczył w stosunkach między wsią a dworem, on wreszcie skutecznie dreno- wał chłopskie kieszenie z zapracowanego grosza. Ale mimo to, mimo istnie- nia grona „luzaków”, nieustannie przymawiających się o poczęstunek i zapi- jających alkoholem swą biedę — karczma rysuje się tu przede wszystkim jako pozbawiona cech demonicznych, a nawet cokolwiek sielankowa ostoja solidar- ności gromady we wspólnej rozrywce i odpoczynku: „Tymczasem do karczmy napływało coraz więcej ludzi, bo już mrok gęstniał (...); naród kupił się przy szynkwasiu, pod ścianami albo i zgoła w pośrodku izby i raił, pogadywał, uża- lał się, a kto niekto i przepijał do drugiego, ale z rzadka, bo nie na pijaństwo przyszli, jeno tak sobie, po sąsiedzku postać, pogwarzyć, skrzypic posłuchać abo i basów, coś niecoś posłyszeć nowego; niedziela przeciech, to odpocząć ni folgę dać ciekawości nie grzech, a choćby i ten kieliszek wypić z kumami... byle przystojnie i bez obrazy boskiej się obyć obyło, to i sam dobrodziej nie bronił...”

Zgoła odmienny charakter miał miejski szynk czy restauracja przedsta- wione przez Reymonta w „Komediantce”, a zwłaszcza w „Ziemi obiecanej”. Stanowią one miejsca złowieszcze i groźne — jako „narządy” przemysłowego molocha, pochłaniające wszystkich tych, którzy ulegają rytmowi życia wiel- komiejskiego organizmu. Szaleńcza pogoń za pieniądzem każe sięgać po al- kohol jako środek rozładowujący codzienne napięcia. Zmęczenie robotni-

ków, szukających w kieliszku chwilowego odprężenia, zderza się z narkotycznym hedonizmem „łódzkich królewiat”, pławiących się w bachicznych orgiach, wyuzdaniu i zachłannych libacjach. Postawa spotęgowanego użycia to efekt ich moralnej korupcji, stopienia zmysłów przez nadmiar doznań, stanu domagającego się bodźców nowych, coraz to silniejszych. Wszystkie te, apokaliptycznie niekiedy wystylizowane, sceny, przekonująco osadzone w kontekście napiętych stosunków społecznych i narodowościowych, złożyły się na obraz, który pozwolił określić „Ziemię obiecaną” jako „materiały do patologii milionerów”.

Naturalistyczny epizod literatury polskiej utrwalił się w jej dziejach przede wszystkim za sprawą dokonanego wówczas poszerzenia wrażliwości organów artystycznego poznania oraz wzbogacenia literackiego instrumentarium o nowe formy, które przełamując wiele panujących dotąd konwencji estetycznych, naśladowały — samym kształtem wypowiedzi literackiej — rytm życiowych procesów, nieregularny, zróżnicowany, nacechowany subiektywizmem. Ale trudno zlekceważyć również walory poznawcze diagnozy społecznej przedstawionej przez naturalistów, którzy wprowadzili w obręb zainteresowania literatury te obszary rzeczywistości, dla których dotąd nie było w niej miejsca. Kontynuowali w ten sposób proces zapoczątkowany przez pisarzy pozytywistycznych, czynili to jednak znacznie radykalniej, nawet z niejaką ostentacją. Nędzę, degenerację, patologię, alkoholizm — nazywano po imieniu i stawiano przed oczy z całą brutalnością. Kryło się w tym niekiedy dążenie do epatowania publiczności drastycznością szczegółów, odtwarzanych często w stereotypowej manierze stylistycznej, czego przykłady znaleźć można również pośród przytaczanych wcześniej cytatów.

Dokonania naturalistów — poza niektórymi utworami Dygasińskiego, Żelaznego, a zwłaszcza Reymonta — grzeszyły też nierzadko darwinizmem społecznym, fetyszyzującym ślepą bezwzględność praw życia zbiorowego, a ludzką psychikę redukującym do biologicznie pojętej sfery instynktów. Niewątpliwie brakowało wielu naturalistom szerszych horyzontów myślowych, a na ich twórczości zaciążył — jak pisze współczesny historyk literatury — „niedowład społecznej wiedzy, to poszukiwanie osobliwości indywidualnych zamiast zjawisk typowych. (...) Taka metoda uwalniała od poważniejszego wysiłku, od pogłębionych studiów, wystarczała ad hoc zaimprovizowana «wizja lokalna» — w knajpie.” Wiele w tym prawdy. Ale, z drugiej strony, czy owa — tak ironicznie potraktowana — „wizja lokalna w knajpie” nie dawała okazji do wnikięcia w psychospołeczną rzeczywistość epoki, w sens dokonujących się w jej ramach procesów? Zwłaszcza, że wcale nie zawsze pozbawiona była podbudowy „pogłębionych studiów”. A wreszcie — przecież już wkrótce tam właśnie, w knajpie, barze, kawiarni, rodzić się miały nowe idee, nowy styl życia, nowa literatura, tam właśnie miał zacząć tętnić najżywszy, choć chory, puls nowych czasów...

W OPARACH ABSYNTU

„Idź i pij absynt! W jego czarów kole
Zapomnisz życie swe nędzą brzemiennie
I wszystkich dni twych rzeczywiście zgrozy
I rozczarowań jęki bezimienne!
Ogniem ci swoim stopi wszystkie mrozy
Absynt nad wszystkie wyższy alkohole!
Idź i pij absynt! Gryzące cię bole
Uciekną przed nim jako mary sennie...
On cię wywiedzie na swobodne pole,
Gdzie na lazurach słońce lśni wiosenne
(.)
Więc idź, rozpacz dżiki apostole!
Pij absynt! Wstaniesz jak bóg pelen grozy —
Na gorze będzie, co było na dole:
Dłoniom twym moce nada sturamiennie
Absynt nad wszystkie wyższy alkohole!”

— to fragment wiersza „Absynt” z cyklu „Ballad pijackich” Antoniego Langego, jednego z modernistycznych „poetów wyklętych”. Inni bohaterowie tego manifestacyjnego cyklu to kawa, poncz, haszysz, a wreszcie i szampan:

„Słuchaj, jak szabla świeżo wyostrzona,
Kielich o kielich trącony jak dźwięczy!...
Pijana złotym ogniem winogrona,
Samaś, jak szampan, jak skra, ogień tęczy.
I oto duch mój u stóp twoich klęczy,
Od twego szalu drżą moje kolana!
Może twój uścisk moją boleść zmiękczy:
Utopmy rozpacz w kielichu szampana!
Pójdź, niech twój uścisk — jak grobu sierp żeńczy,
Mózg mi i serce na wieki wycieńczy,
Bo jeno wytwór z tej kuźni szatana,
Uśmierzy boleść, co mi ducha męczy,
Utopmy rozpacz w kielichu szampana!”

Wzbogaćmy ten wizerunek choćby o wypowiedź jednego z bohaterów

„Próchna” Wacława Berenta: „Koniak (...) jest napojem mistycznym: nalewką na sumieniach samobójców.” Otrzymamy w ten sposób wyraziste — choć skromne wobec bogactwa materiału — świadectwo modernistycznej „filozofii trunków”, stanowiącej jedynie kryptonim dla nieporównanie szerszej i powszechniejszej „filozofii użycia”.

Skąd tak nagle eksplozja podobnych skłonności? Skąd też odwaga, pozwalająca na ich literackie wyrażenie i, co więcej, na ujęcie w sposób tak desperacko wyznawczy? Źródeł tej postawy doszukiwać by się można we wpływie literatury i atmosfery duchowej Europy Zachodniej, a zwłaszcza Francji — ojczyzny Charlesa Baudelaire’a i Stefana Mallarmégo, Artura Rimbauda i Paula Verlaine’a, o którym w wierszu-epitafium „Okrywca złotych światów” Leopold Staff pisał:

„Był czysty, choć nawiedzony złych trunków nałogiem,
Wiele przewinił... Spłaci losów nieprzyjaźni
Dług — latami szpitala i więziennej kaźni,
Skąd wyszedł pojedypany z złoczyńcą i z Bogiem.
(.)
I znalazł świat swój złoty — dziecinny odkrywca —
W okręcie izby swojej płynął snów głębiną...
Fala marzeń wśród złotych wyspniosło szczęśliwca
Kołysząc jak morze, dobroczynne wino...”

Wydaje się jednak, że istota rzeczy leży nie w bezpośrednich wpływach, a raczej we wspólnej całej Europie atmosferze przygnębienia, rozczarowania, przesytu, poczucia schyłkowości, dekadentyzmu. „My późno urodzeni przestaliśmy wierzyć w prawdę” — pisał Stanisław Przybyszewski, ale słowa te dobrze mógł napisać którykolwiek z europejskich „poètes maudites”, mogły też posłużyć — i rzeczywiście służyły — jako zawołanie rodzimej moderny. Literatura tego okresu to w przeważającej mierze artykulacja — mniej lub bardziej bezpośrednio — wszechogarniającego kryzysu światopoglądowego, kryzysu kultury, obejmującego zarówno myśl filozoficzną jak moralność, zarówno sztukę jak obyczajowość. Podstawowe jego źródło stanowiło zderzenie wyostrejzonej wrażliwości artysty z moralnością mieszczańską, z trywialnością i bezdusznnością życia zbiorowego, nie pozbawionych oparcia w industrialnych formach organizacji społecznej.

Stan ten bywał niekiedy podobnie ujmowany przez samych modernistów. Artur Górski (Quasimodo), autor głośnego cyklu artykułów programowych „Młoda Polska”, pisał w jednym z nich: „W miarę rozczarowania do życia społecznego i jego typowego produktu, tj. do współczesnego filistra, rwały się więzy między jednostką a tymże społeczeństwem, wzrastała niechęć i protest przeciw banalności i bezdusznosci zorganizowanej masy... Umysły wrażliwsze i głębsze, straciwszy szacunek dla filistra i sympatię dla ruchów społecznych, poczęły się wycofywać z życia i szukać innych trwalszych jego wartości.”

Tak rozpoczęła się podróż modernistów w głąb siebie, w przepaść podświadomości, w czeluście nie zgłębionych dotąd sfer odczuwania. Tak też rozpoczął się modernistyczny bunt — o tyle tragiczniejszy, że zasklepiający się zwykle w egoistycznym doświadczeniu skrajnego rozczarowania i osamotnienia. Nie dostrzegając realistycznych sposobów przewycięzania dramatycznego konfliktu ze światem, szukano form zastępczych. W ich liczbie, obok manifestacyjnego estetyzmu, zatopienia w nicości, nirwanie, skrajnej rozpacz, znalazł się — określony tak przez Kazimierza Wykę — rozpaczliwy hedonizm, pragnienie użycia. W recenzji ze wspomnianego już „Próchna” Ignacy Matuszewski, jeden z teoretyków estetyki modernistycznej, pisał: „Zawody i walka o byt sprowadzają zniechęcenie, apatię i rozstrój psychiczny, a ciągle drażnienie przeczulonych nerwów przez niezdrowe wyziewy gruntu wielkomiejskiego popycha wykołejonych dekadentów w objęcia erotyzmu, alkoholizmu i analogicznych nałogów, które wyczerpują i zabijają w nich energię, prowadząc nieszczęśliwych do szpitala obłąkanych lub do samobójstwa.”

„Normalność”, „zdrowie”, „trzeźwość” — spotykały się w twórczości i praktyce życiowej modernistów ze zdecydowanym potępieniem, a nawet obrzydzeniem, jako synonimy wulgarności, prostactwa, pospolitości. „Norma to głupota, degeneracja zaś to geniusz” — pisał Przybyszewski. Ostap, bohater jego powieści „Synowie ziemi”, powiada: „Ja pić muszę i piję ciągle od jakiegoś czasu. He, he... Nie cierpię trzeźwości! Trzeźwości! Brr... (...) Po pijanemu trzeba wszystko robić. Trzeźwy mózg odstąpić filistrom, wolnomyślnym politykom...”

W ten sposób poddawanie się narkotycznemu działaniu alkoholu stanowiło jedną z płaszczyzn modernistycznego protestu, jedną z dróg kontestowania znienawidzonej kultury mieszczańskiej, a w konsekwencji — jeden z czynników krystalizowania się cyganerii, podstawowej formy skupienia młodopolskich środowisk artystycznych, choć mającej też swą romantyczną prehistorię. W szkicu „Cygan nieznany” Tadeusz Boy-Zeleński, kronikarz bohemy krakowskiej, tak określał genezę tego fenomenu kultury europejskiej: „... przez cały wiek XIX wyłącznym odbiorcą sztuki była bezimienna publiczność. Kto nie zdobył jej łaski, mógł umrzeć z głodu, nie znany nikomu, choćby miał zapal i talent. Stąd element tragicznej loterii w życiu artysty; stąd jego pogarda dla opinii — często niesprawiedliwej i tępej; stąd ekscentryczne formy życia tego «króla bez ziemi», jakim się czuje twórca, zgubiony w obojętnym mroju wielkiego miasta. Stąd i specjalny kostium, w którym lubowali się zwłaszcza nie uznani, czujący potrzebę takiej legitymacji. Zresztą płaszcz lub peleryna służyły często do tego, aby osłonić dziury w surducie, a długie włosy oszczędzały wydatku na fryzjera.”

W rzędzie zewnętrznych wyróżników postawy „cygana” „natchnione” pijaństwo należało do najpospolitszych, a zarazem najbardziej obciążonych znaczeniem. Szynek, restauracja, kawiarnia zastępowały salon literacki. Tam naj-

silniej tętniło życie artystyczne, tam rodziły się najbardziej szalone idee, tam powstawały pomysły, a nierzadko i pierwsze wersje wielu utworów. Oto garść opinii na ten temat, zaczerpniętych z „Próchna”, powieści dokumentującej większość głównych idei epoki: „W kawiarni robi się dziś kulturę. Nawet prorocy nie każą dziś na górach, lecz po kawiarniach.” A dalej: „Tam, gdzie nie ma kawiarni, wszystko, co twórcze, a samotnym być nie potrafi, wkurczy się, wgrzęźnie, da się wnąkać w obmierzłe idealiki mieszczaństwa.” To wyróżnione w tak niezwykle sposób miejsce promieniuje szczególnym urokiem, zniewalającym każdego, kto pozna jego oddziaływanie. Pisz o tym Edward Leszczyński, jeden z licznych satelitów cyganerii:

„Kawiarnio, samotnika świątynio i domie,
Kto raz próg twój wyklęty przestąpił ochotnie,
Tego czar twój magiczny odurzy zawrotnie,
Że zgubi się na zawsze w twej próżni ogromie.”

Modernistyczne pijaństwo to przy tym nie tylko wyraz protestu przeciw mialkości i zakłamanemu filistrów; alkohol zyskuje też pewne funkcje pozytywne, stając się instrumentem umożliwiającym dotarcie do wyższego, niedostępnego „trzeźwym”, porządku poznania. Jedną z charakterystycznych deklaracji co do tego jest wiersz Andrzeja Niemojewskiego „Na dnie kielicha”:

„Dajcie mi wino! Może, u licha,
Znajdźmy syntezę na dnie kielicha,
Za którą próżno rozumu oko
Sięgało w morze badań głęboko.
(.)
Dajcie mi wino! Niech człek nie gości
W tym labiryncie nudy i czczości,
Niech myśl pijana wątek uchwyci.
Do kłębka prawdy — po szalu nici!
(.)
Trzeba się rozgrzać — pijcie do licha!
Gdy w waszych mózgach życie zasycha,
Kiedy je robak trzeźwości toczy,
Gdy strach wam bielmo kładzie na oczy:
Bądźcie mniej trzeźwi, więcej szaleni,
Jeszcze się puchar serca zapieni
I byle dusza zbudzić się zdolna —
To wszystko wolno, nam wszystko wolno!”

Stan niesiony przez upojenie, rozluźniwszy więzy stereotypów i ograniczeń nakładanych przez ciasny rozum, miał pozwolić na dotarcie do — znanych z pism Przybyszewskiego — „prailów bytu” czy „nagiej duszy”. W atmosferę tych gorączkowych poszukiwań dobrze wprowadza fragment jego wczesnej, po niemiecku jeszcze napisanej pracy „Zur Psychologie des Individuums” („Wokół psychologii jednostki”): „W bolesnym skurczu niezdolnych do czy-

nu nerwów indywidualność dekadenska rozpościera się aż do tajemniczej granicy, gdzie w najwyższym swoim napięciu stają się one czymś na podobieństwo niszczycielskiego uczucia rozkoszy, ekstatycznego wyjścia poza i ponad siebie. Wszelkie myśli i czyny przybierają postać niszczycielską, maniacką, gniotącą i ciężąc unosi się nad nimi coś na kształt parnej atmosfery nadciągającej burzy, unosi się coś z bolesnego drżenia obłąkańczej rozkoszy niemocy, coś z gorączkowych wypieków ogarniętej histerią zmysłowości..." Jak przejawiało się to w praktyce? Sięgnijmy znów do relacji Boya: "... Stach nigdy nie pił bez motta; każdy dzień, każda godzina — niemal każdy kieliszek — miały swoje motto. (...) Motto dawało picciu charakter na przemian mistyczny, filozoficzny, marzący, szyderczy, żartobliwy, irracjonalny, absurdalny..."

Sięganie do świadectw stylu życia cyganerii, otaczającej ją atmosfery duchowej i obyczajowej nie oznacza lekceważenia literackiego dorobku modernizmu, charakteryzowała go bowiem daleko idąca zgodność z młodopolską praktyką życiową. Jedność życia i sztuki była konsekwencją rozdźwięku między artystą a społeczeństwem, przekonania o wyjątkowej pozycji twórcy, wyznaczonej przez właściwy mu stygmat geniuszu i nieosiągalny dla innych poziom wrażliwości. Literatura nie usiłowała wówczas kreślić szerokich obrazów społecznych — sam artysta bywał podstawowym jej tematem. I tak pisarstwo niekwestionowanego przywódcy bohemy, Stanisława Przybyszewskiego, jest w znacznej mierze wyciągiem z jego życiowych doświadczeń i pozaliterackich poglądów. Takie utwory jak „Homo sapiens”, „Dzieci szatana”, „Synowie ziemi” czy „Krzyk” to typowe „powieści o artystach”, przynoszące — niewiele niekiedy przetworzoną — relację z kawiarnianych dyskusji przy wódce, z maniackalnych rojeń i szaleńczych czynów artystów, szukających „syntezy na dnie kielicha” i — zgodnie z częstym wśród nich improduktywizmem — poprzestających jedynie na marzeniach o genialnym dziele. „Nie pomoże alkohol, to pomoże morfina, opium, szalej, wszystko mi jedno, ale ja muszę coś stworzyć, coś tak wielkiego, tak niesłychanego...” — mówi jeden z bohaterów „Synów ziemi”. Ale żadna z tych podniet nie przynosi ani spełnienia, ani uspokojenia. Każda gwałtowniejsza emocja wiedzie do alkoholu, ten zaś jest źródłem nowych, jeszcze bardziej ekstatycznych doznań — i tak koło się zamyka, nie pozostawiając często miejsca na działalność twórczą. „Sytuacja ich — pisał Kazimierz Wyka — jest dziwnie paradoksalna; dlatego wyłamują się spod praw moralnych i społecznych, by dać podstawę sztuce, tymczasem usprawiedliwienie przez sztukę nie przychodzi, a wyłamanie trwa. Cyganeria, która pije tak, jak pić powinni ludzie spodziewający się niezwykłych wizji. Cóż, kiedy wizje nie przychodzą, a picie trwa.”

Pozostają wówczas jedynie „bezzasadne” czyny, straceńcze gesty, usiłujące swą gwałtownością, amoralizmem, okrucieństwem zapełnić kryjącą się pod nimi pustkę. Pozostaje, chora, rozedrgana fascynacja tym wszystkim, co najpotężniej zawiera w sobie treść napiętych do ostateczności pożądań, co ucie-

leśnia kształty majaczeń, poszukujących granic ludzkiego doświadczenia. Oto szczególna „modlitwa” bohatera „Krzyku”, najciekawszej bodaj powieści Przybyszewskiego: „Ulica sprośnych targów, żądy i wszelkiej wsteczności — ulica skrytych mordów i skrytych miłostek — ulica radością pijanych nadziei i w konwulsyjnym płaczu tarzających się zawodów: rozwij się najdzikszym wrzaskiem rozpacz, obłąkańcza ulico!” Czego zaś pragnie najbardziej, to roztopienia się w czerpanej stamtąd nagiej intensywności doznań: „... będzie wsłuchiwał się we wrzaski pijanych robotników, wdychać w siebie zgniłe powietrze, przesiąknięte obrzydłą parą fuzlu i piwka — tak! wtedy uczuje się szczęśliwy, bo nigdzie tak głęboko nie można wdychać w siebie ulicy, jak w tych podziemnych norach i spelunkach”.

Sam Przybyszewski — „intrygant, alkoholik, uwodziciel cudzych żon i kochanek, uczestnik czarnych mszy, obdarzony telepatycznymi zdolnościami zabijania na odległość, hypnotyzer wprowadzający w trans diaboliczną grą na fortepianie” (to tylko przykładowy rejestr obiegowych opinii) — potrafił przecież po latach zdobyć się na surową, choć nie pozbawioną mitologizacji, ocenę młodopolskich pijaństw. W pisanych pod koniec życia „Moi współczesnych” rozwija szczególną „filozofię picia”, wedle której „alkohol wesół” („vin gai”) to niezastąpiony katalizator radosnegożywienia, swobodnych kontaktów międzyludzkich, odruchów szlachetności i altruizmu. „Ale jest inny alkohol — pisze dalej — zły, strasznie niebezpieczny — vin triste, który w arsenale Szatana zajmuje bardzo poczesne miejsce, alkohol ludzi, którzy przychodzą na świat obarczeni jakimś przekleństwem, ludzi niezdolnych do życia bez tej fatalnej protezy, jaką jakkolwiekśrodek narkotyczny stanowi. (...) dla tych ludzi (...) urodzonych pod znakiem straszliwego Saturna i trucicielskiego Księżyca, których dusze Szatan pławi w ciemnym morzu melancholii, szarpiającej tęsknoty i bezustannego dławiącego smutku, alkohol staje się — nałogiem. (...) ten smutny alkohol, ten, który był najprawdopodobniej przyczyną strącenia aniołów do piekieł, wyważa tę duszę trzeźwą z zawias, odrętwia ją, a na arenę wkracza obca jakaś dusza, której istnienia nawet byś nie przypuszczał, a skierowana z szatańską złośliwością w stronę drogi, na której czyha na człowieka najcięższy ból — za-przepaszczanie i zagłada.”

Piętno wpływu takiego właśnie „smutnego alkoholu” znać w poezji Antoniego Langego czy Kazimierza Przerwy-Tetmajera, w prozie Ludwika Licińskiego czy Stanisława Muellera. Ale spotkać też można — choć nieczęsto — ton odmienny: pochwałę trunku „wesołego”, niosącego dobry nastrój, nieskrępowanie, lotność, pozbawionego zaś cech demonicznych, „fatalnych”. Ton ten jest udziałem wielu malowniczych wierszy Artura Oppmana (Or-Ota), opiewającego urok staromiejskich kawiarni i restauracji — choćby słynnej „Piwnicy Fukierowskiej”:

„Tokaj — niczym ulep słodki;
 Po maślarczy wigor wzbiera...
 Tedy wnijdźmy na te schodki,
 Co prowadzą do Fukiera!
 Rzędy beczek i antałów
 Stoją w loszku długie lata.
 Do zamorskich tych specjalów
 Wnet ci serce zakolata.
 (.)
 Zawsze pełną wina czarę
 Ma na smętków radowanie.
 Póki stoi Miasto Stare —
 Fukier w mieście pozostanie!”

Osobnym zjawiskiem jest twórczość Józefa Ruffera, której bezpretensjonalny witalizm, rozkołysana radość życia zapowiadają „musującą poczę” skamandrytów. Jego wiersz „Ucieszny rondel pijanicy” nie bez podstaw porównywano z „Wiosną i winem” Kazimierza Wierzyńskiego:

„Upojony przedziwnym trunkiem pijanica,
 Wtoczyłem się na niebios gwiaździste zagony —
 Hej! — słodki-ci wasz napój, zdrajne dziwożony!
 Głowę mąci i piersi pragnieniem nasycą!...
 Ruch niedbale szeroki, dumny, uśmiechniony
 Niech dziewczki-gwiazdy straszy i chciwie zachwycą —
 Upojony przedziwnym trunkiem pijanica,
 Wtoczyłem się na niebios gwiaździste zagony...”

Podobny, choć może nie tak beztroski, nastrój panuje również w niektórych wierszach Andrzeja Niemojewskiego, choćby w tym, którego początek nawiązuje do „Ody do młodości”:

„Pijmy z kielicha ziemskich rozkoszy
 Nim starość młode ułudy spłoszy,
 Kielich wytrąci, marzenia zmąci
 I zwiechnie skrzydła junacze!”

„Oda” Niemojewskiego nie poprzestaje jednak na pochwalę młodzieńczego entuzjizmu; oto końcowy akcent wiersza:

„Ale przeklęty, komu zostawia
 Biesiadę życia demon bezprawia,
 Z chciwemi usty kielich rozpusty
 Napelnia tłumów mozolem.”

Charakter tej przestrogi zdradza lewicowe sympatie pisarza, który, zbliżony przez pewien czas do ruchu socjalistycznego, wyróżniał się wśród współczesnych wrażliwością na krzywdę społeczną i radykalizmem poglądów. W

zbiornie prozatorskich miniatur, a zwłaszcza w wierszach z cyklu „Polonia irredenta” przedstawiał warunki życia najuboższych, których wzburzenie, bliskie rewolucyjnego wybuchu, szuka na razie zaspokojenia w alkoholu, pozwalającym zapomnieć, że „to przecie bywa marnie na tym świecie”. Najgłośniejszy wiersz z tego cyklu to „Branka”, scenka pijatyki wiejskich rekrutów, pragnących zagłuszyć obawy przed niepewnym losem i niechęć do walki o obce sobie sprawy, być może przeciw rodakom służącym we wrogich armiach:

„Pobór, pobór na żołnierza!
Stąd do karczmy każdy zmierza,
Stąd zawziętość wszędzie taka,
Każdy smoli po niewoli,
Jakby zalać chciał robaka...
Grajcie, grajki, wódki, Żydzie...”

Przejmujące, ekspresyjne obrazy z życia wyniszczonej przez nałóg i występki biedoty miejskiej przynosi twórczość Ludwika Licińskiego, pisarza nazywanego anarchistą i nosicielem „dziedzictwa prometejskiej nienawiści”, „artystą-proletariuszem”, człowiekiem o „sercu Chrystusowym” i wreszcie „Villonem neoromantyzmu”. Bohater opowiadań ze zbiorów „Halucynacje” i „Z pamiętnika włóczęgi”, obdarzony wieloma cechami i doświadczeniami samego autora, to artysta, skłócony ze społeczeństwem samotnik, odbywający wędrówki po dzielnicach nędzy, wypełnionych przez włóczęgów, wykołajeńców, prostytutki i złodziei, „podrapanych przez życie”, skazanych na podłą wegetację w szynkach i spelunkach, pozbawionych przez nałóg wszelkich pragnień poza nieprzepartym dążeniem do zdobycia pieniędzy na następną butelkę. Nie brak też dzieci, spółdzonych po pijanemu, urodzonych w oparach wódki, nic też dziwnego, że sięgających po nią w wieku, w którym inne dzieci uczą się czytać. Tak wyglądają miejsca, gdzie się wychowują i dożywają przedwczesnej starości: „Nad głowami wisiały kłęby dymu. Gwar zagłuszał się gwarem... Ostry zapach spirytusu i piwa mieszał się z przypalonymi świądami wątróbki... «Granda» bawiła się całą pełnią młodych sił. Tu i ówdzie przycupiała na palcach chropawa melodia jakiejś głuchej pieśni. Tam pięścią w piersi kołatały ponure zwierzenia. Wywijaly usta do śmiechu cyniczne, rozebrane do koszuli żarciki. Budziły się na zew alkoholu tliwość i tęsknota, żal i ponurość. Nad wszystkim rozpościerał się ciężki, przyniatający czad, ale zarazem dziwny, odrębny liryzm.” Wszystkie te ekspresyjne, rozedrgane emocją obrazy przenika solidarność z „człowiekiem z rynsztoka”, a zarazem postawa oskarżycielska wobec kultury i porządku społecznego, których świat ten jest produktem, spychanym na obojętne miasto, poza zasięg wzroku „sytych i przyzwoitych”.

Literackie penetracje nizin społecznych rzadko jednak wykraczały w tym okresie poza jednorazowe wycieczki w poszukiwaniu „egzotyzmu” — moder-

na była na to zbyt zajęta samą sobą, własnymi doznaniem i problemami, zre-
szta także wobec własnego środowiska niezbyt często zdobywała się na wolne
od mistyfikacji, krytyczne spojrzenie. Jednym z wyjątków była przywoływana
już powieść Wacława Berenta „Próchno”, przedstawiająca grono uwikła-
nych w modernistyczną mitologię artystów-dekadentów, z których niemal o
każdym można by powiedzieć jak o Müllerze: „Pluje krwią, pije i pisze.” Ka-
wiarnie, tyngle, knajpy to nie tylko organiczne środowisko ich życia; wobec
gorączki wywołanej przez napór wielkiego miasta, wobec nieustannych fru-
stracji, poczucia niemocy twórczej, niepełnowartościowości, wobec ciężaru
wspomnień i myśli, których nie sposób „udźwignąć po trzeźwemu” — oszoło-
mienie alkoholem staje się — jedynym, choć niebezpiecznym i zawodnym
wyjściem. Rytm ich życia dobrze oddaje wypowiedź jednego z bohaterów,
zachęcającego swego przyjaciela do kolejnej eskapady: „Opinia wzywa cię do
swego warsztatu. Kawiarnia — nasz stół... Będzie, uważasz, mecenas — mo-
żna liczyć na reńskie, burgundzkie, sekt krajowy — oraz młoda wasza, polska
sława... Etranżerek, młodzieuchny aktor dramatyczny... — kalkuluję szam-
pan. Idziesz?”

Krytyczny osąd cyganerii artystycznej zawiera również twórczość dramaty-
czna Jana Augusta Kisielewskiego, piętnującego w swych sztukach („Karyka-
tury”, „W sieci”, „Ostatnie spotkanie”, „Sonata”) hipokryzję domorosłych
„cyganów”, powierzchowność przyjętego przez nich stylu życia, sprowadzają-
cego się nierzadko do opijania się wymyślnymi alkoholami czy pieczołowite-
go spełniania misterium picia absyntu. Oto charakterystyczne zwierzenie
młodego adepta „cyganowania”, który wyrzeka na cierpienia doznawane na
„barbarzyńskiej” prowincji: „Podła dziura... filisterski loch, Tartar. Na przy-
kład absyntu, żeby się wściec, nie dostanie. Właściwie u Fontazia jest absynt,
ale bez instrumentów... Więc Wydrygał przysiągł i wymógł na mnie, że nie
pije się absyntu, tylko w Paryżu... rzecz prosta, bez szklanki... z dziurką...
lód... jak nieboszczyk Verlaine... to jest profanacja. (...) Absyntu nie można
pić jak maślanki, rzecz prosta...”

Ten sam trop demaskatorskiej analizy nałogów toczących środowiska arty-
styczne podejmują, opatrzone wymownymi tytułami, dramaty Zenona Par-
viego „Knajpa” oraz Bolesława Górczyńskiego „Bagienko”, a także grupa
satyrycznych powieści — takich jak „Pamiętnik Munia” Michała Bałuckiego
czy „Sławny człowiek” Włodzimierza Perzyńskiego — mieszczących pokaźną
galerię pseudoartystów, łatwo ulegających kołtuńskim skłonnościom, oraz
zaprzyięgłych filistrów, zafascynowanych niezdrowym urokiem bohemy, a
najłatwiej bratających się z jej członkami w obliczu pełnych butelek. Utwory
te, parodiując zarówno typowe młodopolskie schematy fabularne, jak i obie-
gową frazeologię modernistów, uderzały w nieautentyczność „artystowskich”
postaw cyganerii, epatującej otoczenie zewnętrzną pozą, prowokacyjnym
strojem czy trybem życia.

Likwidatorskie wobec moderny przedsięwzięcia krytyczne miały miejsce również w obrębie klasycznych form satyrycznych, zwłaszcza w ich kabaretowych odmianach. Niezrównanym mistrzem w tej dziedzinie był Tadeusz Boy-Żeleński. Jego pisane dla „Zielonego Balonika” utwory zgromadzone w „Słówkach” zawierają pełny niemal wachlarz parodiowanych przejawów uczuciowości, stylistyki i obyczajowości modernistów. Dość przytoczyć choćby fragment „Duszy poety”, skarżące się na ekscesy cielesnej istoty, w której przyszło jej mieszkać:

„Jedno wytchnienie to, gdy sen go zmorzy
Lub gdy z opilstwa legnie jak trup błądy,
A mnie porywa wówczas wicher boży
Hen, w gwiazd miriady...
Jam winna temu, że to, co zamarło
W człowieczej piersi z odwiecznych zrozumień,
Próbuje wskrzesić lejąc w spiekle gardło
Żytniówki strumień...”

W dziele tym sekundował Boyowi Edward Leszczyński, wytrwale, choć nie bez pobłażliwości, ośmieszający mody, słabostki i aberracje Młodej Polski, przedstawionej w jednym z wierszy pod postacią „oblędnego okrętu”:

„Po niezbadanej wód głębinie
samotny okręt w bezkres płynie;
posepnie trzuci się załoga,
nikt nie wie, gdzie się kończy droga;
tajne się w duszy lęgną smutki,
bo na pokładzie zbrakło wódki
Dokoła morze wielkie, smętne —
pragnienia dzikie i namiętne
lecą w ocean pustki wielkiej
— hej wódki, wódki choć kropelki!
i z morza w głuche rwą niebiosy
— hej, zamiast deszczu wódki rosy!”

Ten satyryczny obraz zwieńczony zostaje jednak przewrotnym przesłaniem, które w gruncie rzeczy niweluje, a przynajmniej osłabia demitologizacyjną tendencję utworu; okazuje się oto, że sam autor również należy do „załogi”:

„Czyli przez pragnień, wstrętów piekło
dopłynie wreszcie w przystań wódki?
Nie wiem, lecz wyście tą załogą
co wśród żeglugi z krtanią spieklą
stańcie w porcie na czas krótki;
więc przed nieznaną jutra drogą
w szaleństwie choćby chwilę żyjmy,
jutro odpłyniem w dal — dziś pijmy!”

Podobne wolty spotkać można i u Boya. Wydrwiwszy do woli opilstwo cyganerii, bodaj z większą jeszcze werwą szydzi — właśnie z pozycji modernistycznych, wtórując jakby bohaterom Przybyszewskiego — z tych, którzy wyznawcom absyntu przeciwstawiają „nową wiarę”, z „apostołów trzeźwości”:

„Zewsząd chóry brzmią radosne:
Ma cel wreszcie egzystencja,
Cel, co wskrzesi rajska wiosnę,
A tym celem — Abstynencja.
(.)
„Odmawiajcie, abstynenci,
Higieniczny wasz różaniec,
Niech się mały światek kręci
W ten świętego Wita taniec;
Pijcie wodę w cnym skupieniu,
Ale mnie przechodzi mrowie,
Że gdzieś w trzecim pokoleniu
Znajdzie się ta woda — w głowie...”

Nie sposób więc zaprzeczyć, że obu satyryków w większym stopniu niż zapędy likwidatorskie cechowało poczucie wspólnoty z moderną, zarówno w sferze przekonań, jak i stylu życia. Prześmiewcze skłonności — dla których przeciwwagą było niemało utworów bachicznych, żartobliwie opiewających uroki hulanek — stanowiły wyraz raczej odmiennego temperamentu niż antagonizmu postaw.

Najprzenikliwszy chyba, obok Berentowskiego „Próchna”, osąd młodopolskiej cyganerii — choć pośredni i wpleciony w obszerniejszy wizerunek — przyniosło „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego. Dokonując neokazjonalnego obrachunku rodzimego „stanu posiadania”, nie oszczędził żadnej z grup czy formacji, które decydowały o osobowości polskiego społeczeństwa. Pośród nich w tej niezrównanej „polskiej szopie” znaleźli się też reprezentanci moderny, z wszystkimi swymi mitami, naiwnymi pozami i złudzeniami, sztucznością i fałszywą poetyzacją. Najdotkliwiej — pod postacią Nosa — ośmieszone zostały pijackie ekstazy spod znaku Przybyszewskiego:

„Piję, piję, bo ja muszę,
bo jak piję, to mnie kluje;
wtedy w piersi serce czuję,
straszenie wielce odgaduję:
tak po polsku coś miarkuję —
szumi las, huczy las:
has, has, has.
Chopin gdyby jeszcze żył,
toby pił — ”

W końcu zamknięci zostają wraz z innymi w zaklętym kręgu chocholego tańca, którego pojemna symbolika obejmuje również jałowość młodopolskich „psychomachii”, zrywających wiele żywych wątków kulturowych i nieuchronnie prowadzących do samounicestwienia.

Po latach Boy-Żeleński mógł napisać we wspomnieniowym szkicu: „Premiera «Wesela» była jakby (...) otrzeźwieniem. (...) Pianie kura i melodia Chochoła spłoszyły cyganerię...”

NIEPODLEGŁOŚĆ I WINO

„Ojczyzna moja wolna, wolna...
Więc zrzucam z ramion płaszcz Konrada”

— pisał w poemacie „Czarna wiosna” Antoni Słonimski, łącząc, w sposób znamienity dla swego pokolenia, entuzjastyczną radość z odzyskania przez Polskę niepodległości ze zmianą sposobu myślenia o sztuce, o jej funkcjach w odrodzonej ojczyźnie. „Płaszcz Konrada” — symbolizujący narodowe i społeczne powinności literatury, która od czasów romantyzmu zastępowała z konieczności wszystkie nie istniejące instytucje życia publicznego — u progu niepodległości wydawał się zbyt czysty. To samo stanowisko — tyle że wyrażone z brawurą żartobliwej kontestacji — „dekretował” Kazimierz Wierzyński w swym „Manifeście szalonym”:

„Precz z poezjami! Z duszą tromtadrata!
Niech żyją bzdurstwa, bujdy, banialuki!
Dostyć rozsądku! Wiwat, trans wariata!
Życie jest wszystkim! Nie ma żadnej sztuki!
(.....)
Literatura kona w dzikich krzykach,
A tłum się śmieje, śmieje do rozpuku!
Kpy jakieś tango tańczą na pomnikach
I wieszczom krzyczą: terefere-kuku!”

Pokolenie twórców, dla których odzyskanie niepodległości zbiegło się z pisarskim debiutem, kształtowało nowy model literatury, będący próbą sprostanienia nowej sytuacji narodu, nowemu stanowi nastrojów społecznych. Najbardziej reprezentatywnymi, a zarazem najsilniej zaznaczającymi swoją obecność członkami tego pokolenia byli skamandryci. Ich poezja była przede wszystkim manifestacją kultu życia, radości, zachwyty urokami codzienności, była artystycznym wyrazem powszechnego entuzjazmu, powrotem do wartości najprostszych, do pozbawionej patosu, za to intensywnie przeżywanej zwyczajności. Jan Lechoń pisał już w 1917 roku: „A wiosną niechaj wiosną, nie Polskę zobaczę.”

To właśnie wiosna, jako symbol odradzającego się życia, pojawi się w tytule tomu poezji Kazimierza Wierzyńskiego „Wiosna i wino”, tomu będącego jednym z najwcześniejszych, ale i najbardziej znaczących skamandryckich manifestów. Wszakże i drugi człon tytułu nie jest przypadkowy. Oto tytułowy wiersz zbioru:

„Wiosna i wino: dwa płuca oddechem
Młodym wezbrane i w ślepym zachwycie
Wyśpiewujące pogańskim swym śmiechem
Ziemię, panteizm, człowieka i życie.
Wiosna i wino: dwie wargi, co swymi
Pocałunkami mieszają sny w głowie,
Że się zawraca do góry i dymi!...
O, przyjaciele! Piję wasze zdrowie!”

Wino, upojenie — to poetyckie obrazy rozkiełzanego instynktu życia, euforii młodzieńczej, radosnej żywiołowości, uwolnionych wreszcie spod masek i ról społecznych, które wiązały się dotąd nierozzerwalnie ze statusem pisarza. Życie stawało przed młodymi poetami w nieprzeliczonym bogactwie przejawów, jako „morze zjawisk”, pochłaniające bez reszty człowieka uwolnionego od „przeklętych problemów” przeszłości. Tylko odrzucenie wszystkich hamulców, intelektualnych kategorii, narosłych barier i stereotypów kulturowych — tylko „upicie się życiem” dawało możliwość nasycenia się w nim w pełni. „Świat się kręci”, „chwieją się domy”, „szumi w mej głowie”, „musuje w ciele”, „pijane szczęście” — to motywy obrazujące narkotyczne roztopienie się w wezbranym strumieniu życia, odmienne od alkoholicznych eksperymentów modernizmu, bo odślaniające „jasną” stronę spontaniczności, nie metafizyczną czelusć wnętrza, a zaniedbywaną zewnętrzną żywiołowość życiowych impulsów.

Bachiczna metaforyka, tak często spotykana w skamandryckich manifestacjach stosunku do świata, była również wyrazem właściwych tej grupie innowacji w dziedzinie estetyki, sposobu wypowiedzi. Polegały one przede wszystkim na „odpoetycznieniu” języka, nasyceniu go żywiołem mowy potocznej, zbliżeniu do doświadczeń i możliwości percepcyjnych „szarego człowieka”, a także na zdynamizowaniu wiersza, obdarzeniu go siłą bezpośredniości. Do wszystkich tych celów motywy koncentrujące się wokół alkoholu i jego oddziaływania nadawały się doskonale. Oto wyrazisty — choć mający już pewne cechy autoparodii — przejaw tej tendencji, pochodzący również z tomu „Wiosna i wino”:

„Jestem jak szampan lekki, doskonały,
Jak koniak mocny, jak likier soczysty.
Jak miód w szaleństwie słonecznym dostały
I wyskokowy jak spirytus czysty.

Królestwo moje na całym jest świecie
I mój alkohol wszystkie pędzą czasy,
Znacząc na sercach, jak na etykietach,
Gwiazdami markę trunku pierwszej klasy.”

Julian Tuwim zaś w wierszu „Poezja” stwierdza wprost:

„Nauczyłem się cudownej pieśni,
Tryumfuję, szaleję z radości,
Upilem się światem Bożym,
Pokochałem ostateczną miłością,
Za pan brat jestem z nieskończonością!
(.)
Hura! To moja wesoła poezja!
To moje pijaństwo świeckie,
Moje święto wszechświatowe!
Kajdany rwę!”

Skamadrycy nie wahali się obejmować tym prowokacyjnym oświeceniem postaci z panteonu europejskiej tradycji kulturowej — choćby Sokratesa, który w słynnym wierszu Tuwima porzuca toż i godność mędrca na rzecz radosnego oszołomienia winem i nieskrępowanego tańca, przedkładając tym samym radość życia nad martwą literę prawd filozofii. Podobnie czyni Świątopełk Karpiński, poeta blisko związany ze Skamandrem, w wierszu „Gioconda”, gdy postaci tytułowej każe opuszczać wieczorami ramy obrazu i szaleć całą noc na dansingach, podczas których:

„... gorącą symfonią do białego rana
gra pijackie delirium jak mszę na organach!”

Prowokacji estetycznych z alkoholem w roli głównej, stanowiących apologię biologicznej niemal witalności, jest w wierszach skamandrytów wiele. Ich przykładem mogą być „Syna poetowego narodziny” Tuwima, barwna, karnawałowa wizja utopionych w ojcowskiej euforii chrzcin. Syn, który podchmielony już przyszedł na świat, zyskuje ojca chrzestnego w ociekającym małmazją Marcholcie, „grubym a sprośnym”, sam zaś poeta tak zwraca się do grona gości:

„Ksiądz nie ochrzcił — wy mi go ochrzczajcie!
Toć sto pociech będziem mieli z synem!
A za zdrowie jego mocno pijcie,
A pokropcie go święconym winem,
A wykąpcie go w miodnej kąpieli!
Herasz diabłu i świętoszkom w Rzymie!
Hulaj dusza! Niech się świat weseli!
Dionizy będzie mu na imię!”

Oto więc powraca do literatury polskiej — jako symbol ducha beztroskiej

zabawy — pożegnany przed ponad wiekiem Bachus, tyle że w swej greckiej postaci! Zmiana kulturowego zakorzenienia tego motywu nie jest jednak przypadkowa: oznacza nawiązanie nie do sarmackich wzorów bachicznych — choć i ich elementy, przewartościowane, pojawiają się czasem w poetyckim obrazowaniu skamandrytów (np. w wierszach „Rozmyślania” i „Patriota” Tuwima) — lecz do źródeł mitologicznej tradycji antyku w takiej postaci, w jakiej na nowo wprowadził ją w krwiobieg kultury europejskiej Fryderyk Nietzsche. Tradycja ta bodaj najwyraźniej — i już bez Tuwimowskiej żartobliwości — ujawniła się w „Dionizjach” Jarosława Iwaszkiewicza, dokonujących niemal sakralnego uwznioślenia pierwiastka dionizyjskiego jako symbolu nieokiełznanych sił życia. Stwarzało to nie tylko dogodną płaszczyznę ekspresji gwałtownych, ekstatycznych doznań człowieka jako istoty cielesnej, zanurzonej w naturze, ale też rodzaj kulturowego autorytetu dla skamandryckiej wizji świata, czynnik nobilitujący i uniwersalizujący właściwy jej witalizm. W tej też funkcji motywy dionizyjskie pojawiają się w poezji Kazimierza Wierzyńskiego, a także Jerzego Lieberta, który w wierszu „Colas Breugnon” przeciwstawiał swoiście zinterpretowanemu chrześcijaństwu, jako religii cierpienia, „jasną twarz Dionizosa”:

„Przeplęnęła nam przez serca radość
Musującą jak strumień nowiną —
Daleś, Panie, kielich goryczy,
Myśmy gorycz zmienili na wino.
Łuk świętyń, jak brwi Twe gniewne,
Zacisnęły nad nami niebiosą,
O, Panie, rozchyl zasłony niebieskie,
Ukaż jasną twarz Dionizosa.”

Przesycenie poezji spod znaku Skamandra podobnymi motywami ma jeszcze inne źródło. Oto wraz z dokonującymi się wówczas głębokimi przemianami życia kulturalnego nastąpił niebywały wzrost znaczenia kawiarni literackiej jako instytucji artystycznej. Inna to wszakże kawiarnia od tej, która była przybytkiem młodopolskich „misteriów” i „statkiem pijanym”, zagubionym w oceanie „trzeźwej” nijakości i bezduszości. Egalitaryzacja, a nawet umasowienie sztuki, upowszechnienie nowych, demokratycznych sposobów jej przekazu, zaś w przypadku skamandrytów także program literatury chłonnej na doświadczenia codzienności i dostosowującej do nich swą poetykę, wszystko to przekształciło kawiarnię z azylu dla słóconych ze światem artystów-outsiderów, miejsca ich dobrowolnej izolacji — w ośrodek, gdzie rodziły się i wzmacniały więzy między pisarzem a publicznością, gdzie autentycznie i bezpośrednio toczył się proces komunikacji literackiej. To właśnie sprawiło, że nazwy kawiarni i restauracji, których skamandryci bywali stałymi gośćmi, na trwałe zrosły się z ich działalnością literacką: od „Udziałowej” przez „Picadora” po „Ziemiańską” — wszystkie te lokale pełniły wobec grupy funkcję

integracyjną, stanowiły forum formalnych i nieformalnych kontaktów z publicznością, jak również życia towarzyskiego młodych poetów, które — często za pośrednictwem skandalizującej plotki — współtworzyło ich obiegowy wizerunek wśród czytelników. Nie brakło w nim rysów, których źródłem były — zmistyfikowane lub realne — nie całkiem po trzeźwemu wzniecane ekscesy i trunkowe upodobania.

Sami skamandryci chętnie zresztą podtrzymywali ten popularny, nieco ludyyczny aspekt swej roli w życiu kulturalnym, uprawiając z zamiłowaniem twórczość spod znaku lżejszej muzy — satyryczną lub zgoła frywolną — na łamach „Cyrulika Warszawskiego” i podczas wieczorów literackich czy kabaletowych. Oto jeden tylko, lecz smakowity przykład, wiersz Tuwima „Sprzeczką z żoną”:

„Lojalnie mówię do żony:
«Małżonko, jestem wstawiony».
Odrzekła z pogardą: «Błazen!
Uważam, że jesteś pod gazem».
Mówię: «Przesady nie lubię,
Przysięgam ci, że mam w czubie».
Powiada: «Kłamiesz, kochany.
Twierdzę, że jesteś pijany».
«Nie przeczę — mówię — żem hulał,
Lecz jam się tylko ululał».
Odrzekła: «Łżesz, jak najęty.
Po prostu jesteś urżnięty».
«Ja — mówię — nic nie skłamałem.
Doprawdy: pałę zalałem».
«Kłamstwo — powiada — co krok!
Jesteś urżnięty w sztok».
«Oszczerstwo — oświadczam z gestem;
Pijany jak bela jestem».
«Baranek — krzyczy — bez winy!
A kurzy mu się z czupryny».

Jeszcze przez kilka następnych zwrotek trwa podobna wymiana zdań, by zakończyć się taką pointą:

„Godzinę trwała ta spreczka,
Aż poszła na wódkę żoneczka.
A ja, by się nie dać ogłupić,
Także poszedłem się upić.”

Ta niebywała sprawność Tuwima w operowaniu synonimami języka pijackiego nie jest bynajmniej przypadkiem. Na marginesie swej twórczości poetyckiej opracował on wiele ekscentrycznych tematycznie rozpraw i antologii, wśród których znalazł się także „Polski słownik pijacki i antologia bachiczna” (nb. książce tej autor niniejszego zawdzięcza немало).

Satyra o podobnym adresie była w dwudziestolecu dość popularna, wystarczy wspomnieć zabawne fraszki Jana Huszczy czy wierszowane satyry Henryka Zbierzchowskiego, który swoje „Trochę prawdy” — kpiącą apologię „stanu pijackiego” — kończy równie kpiącym „morałem”:

„Bo kto pijaka nie umie szanować,
Ten w niebie kropli wódki nie dostanie.”

Nie brakło też antyalkoholowych akcentów satyrycznych na marginesach twórczości futurystów — Tytusa Czyżewskiego i Brunona Jasieńskiego — którzy wyposażali je w konkretne konteksty społeczne. Podobnie czynili inni, na przykład Benedykt Hertz, który w wierszu „Architekci” piętnuje tych, którzy „budując” odrodzoną Polskę w knajpie przy kieliszku, robią „z Rzeczypospolitej pospolitą rzecz”, oraz Jan Lemański, który w „Spadku marki” kreśli taki obrazek:

„Gwoli dum rozproszenia podano kielichy.
Burgund. — Tak, życie smutne. — Tak, tak, żywot lichy...
Pij pan: to czysty trunek, nie żadne sikaczce.
— Więc marka spada? — Spada. Pijmy! Dolar skacze!...”

Podobnym tropem idzie Andrzej Nowicki, który w „Małym aperitifie” — miniaturowej replce XVII-wiecznego dialogu „Nędza z Biedą” — wcielając w starą formę alegorii współczesne realia i język, odzwierciedla w czarnych barwach stan kondycji społecznej:

„Jakże człowiek nie popije,
Gdy spragniony i niesyty?
Więc wstąpiły Bida z Nędzą
Na maleńki aperitif.
No i pily. Po dwie małe.
Po dwie większe, po dwie średnie,
Coraz więcej, coraz szybciej,
Że aż chlejąc, czekały wrednie.
I spluwały, przeklinały,
Na głód! Na smród! Na ohydę!...
Zapijała: Bida — nędzę,
Zapijała: Nędza — bidę.
Urznęły się w sztok! Na pestkę!
Aż już pić nie mogły więcej.
Nędza już nie czuła biedy,
Bida już nie czuła nędzy.”

To rozczarowanie nie dorastającą do oczekiwań rzeczywistością odrodzonej Polski z czasem zaczynało zataczać coraz szersze kręgi. W twórczości skamandrytów pośrednim przejawem tego załamania nastrojów jest zmiana sto-

sunku do alkoholu: miejsce „alkoholu radosnego”, niemal euforycznego, zajmuje „alkohol smutny”, potęgający tylko żal i rozgoryczenia. Pojawia się on i w „Księdze nocy” Iwaszkiewicza, i w twórczości Słonimskiego:

„Z otwartymi oczami, jako nurek na dno,
Zajrzyjmy w głęb kielicha, w to źródło zapachu,
Co nas truje, nocami płaczących bezradnie,
Rozpalonych od żądz i zimnych ze strachu.”
(„Dzieci chwały”)

W podobnym duchu pisze Jerzy Liebert, w wierszu „Smutna wiosna” znacząco zmieniając koloryt tytułowego obrazu, tak optymistycznie ujmowanego w skamandryckim okresie „burzy i naporu”. Tym razem wiosenny krajobraz wywołuje przygnębienie, melancholię, apatię:

„Deszczyk ciepły tnie ukosem,
Oko tonie w mętym stropie...
Pomalutku w kuflu topię
Najsmutniejszą z wszystkich wiosen.”

Obrazy baru, knajpy, karczmy tracą w poezji swą ludyczną funkcję, częściej współtworzą pesymistyczną tonację wierszy, kształtują dogodną scenerię dla ujawnienia „ciemnych” stron ludzkiej psychiki. Nie jest to wszakże powrót do ekstremalnych doznań modernistów, owego skowytu „nagiej duszy”; częściej niż rozpacz pojawia się melancholia, a choć i teraz odzywa się pogłos spopularyzowanego przez Przybyszewskiego satanizmu, to nie w okultystyczno-naturalistycznym, a raczej w łagodniejszym, imaginacyjno-symbolicznym ujęciu. Przykładem — „Jurgowska karczma” Lieberta, gdzie „z kieliszków wyskakuje siny bies”, czy „Karczma” Bolesława Leśmiana:

„Między niebem a piekłem, wśród słynnych bezdroży,
Które lotem starannie pomija duch boży,
Stoi karczma, gdzie widma umarłych opojów
Święcą tryumf swych szalów pijackich i znojów.”

Demoniczny kostium przybiera też gorzki obrachunek z życiem dokonywany pod wpływem nastroju spleenu i zniechęcenia w „Barze «Pod Zdechłym Psem»” Władysława Broniewskiego, który — warto o tym pamiętać — nie rzadziej niż rewolucyjnym „budzicielem” był przejmującym lirykiem:

„Zanim się serce rozelka
— czemu? — a bo ja wiem? —
warto zajrzeć do szkiełka
w barze «Pod Zdechłym Psem».
(.)

I poniosło, poniosło, poniosło
 na całego, na umór, na ostro.
 I listopad pijany, i bies,
 a mnie gardło się ściska od łez.
 (.)
 wkoło chleją, całują się, wrzeszczą,
 nieprzytomnie, głupawo, złowieszczo;
 przetaczają się falą pijaną,
 i tak — do białego dnia...
 Milcząc pijemy pod ścianą
 diabeł, listopad i ja."

Podobne pęknięcie, załamanie tonacji pojawia się również w poezji Juliana Tuwima. Alkohol pozostaje w niej częstym motywem — ale tym razem jako środek zagłuszenia daremnych tęsknot, rozładowania codziennych lęków i napięć (wiersze „Odpowiedź” i „Pieśń sobotniego wieczoru”), jako niepewny sprzymierzeniec w obronie przed widmem śmierci („Dzień”), wreszcie jako przyczyna otępienia i degeneracji zzartych przez alkohol umysłów:

„Zapomnieli. Nie wiedzą. Nie znają się z nikim...
 Tak niedobrze... tak białą kręcą im się mózgi...
 Jak tam dojść, tam, za ścianę... Tam w wysiłku dzikim
 Zaczną z ust tryumfalnie miotać śliskie bluzgi!
 (.)
 Potem w sen runą. W mózgach będą im szumiały
 Rojowiska skaczące, robaczywe łkanie...
 Jak ciężkie kry popłyną snów splaszczonych zwały,
 Zgroza głupstw pogmatwanych, bzdurstwa grube banie."

Ale jeszcze bardziej drastyczne są u Tuwima jaskrawo kreślone obrazy ohydnych przejawów życia wielkiego miasta — tego nowotworu, „tytanicznej krosty” nowoczesnej cywilizacji — zawarte w „Wiośnie”, „dytyrambie” opiewającym pijacki szal „straszliwej masy”, owego „potwora porubczego”, oraz w „Balu w Operze”, zjadliwej, groteskowej satyrze na prymitywny hedonizm „Warszawki”. Wreszcie pojawią się w jego poezji nawet ekspresjonistyczne wizje „pijanego globu” (w wierszu „Dziurawiąc niebo...”), powracające później nieodległym echem w poezji katastrofistów — choćby u Czesława Miłosza: „... stolice wrzecionem /kręciły się pijane pod niebem spienionem” („O książce”) — jako częsty wyraz przeczuć globalnego kataklizmu, apokaliptycznego załamania się kultury europejskiej.

Ale motyw alkoholu bywał w poezji dwudziestolecia wykorzystywany i w bardziej tradycyjny sposób. Stawał się oto poetycką figurą — wykorzystywaną w tej funkcji już przez romantyzm krajowy i jego epigonów — gniewnego protestu społecznego, oskarżenia rzucanego w imieniu warstw upośledzonych tym, których obarczano odpowiedzialnością za ciężar społecznych krzywd. Spośród licznych, podobnie ukształtowanych, płomiennych wierszy rewolu-

cyjnych wart przytoczenia jest wiersz Leona Pasternaka „Toast”, w którym radykalizm społeczny przenika ton determinacji, manifestującej się w obrazach zapamiętałego pijaństwa, a zrodzonej właśnie przez nastroje katastroficzne:

„Wznoszę dziś złowieszczy toast,
niechaj odeń zadrżą szyby,
a kto ze mną, niech też woła:
«Czasom naszym na pohybel!»
Żłop i chlej, hulaszczu paczko!
Solenizant oby szcezl!
Dziś lub nigdy! Nunc per Bacco!
Nunc bibendum est!
Przechyl, bracie, flaszę wina,
czemu smutny siedzisz w kącie?
Za najdroższy nasz kryminal,
trąć się ze mną, bracie, trąć się!
Pijmy zdrowie tęgich armat,
zanim mury się zatrzęsą,
i spirytus lejmy w gardła
— w swe armatnie mięso.
Więc nie żałuj, zgrajo, gąb!
Życie nasze nic nie znaczy!
Pijmy zdrowie kul i bomb
i kartaczy, i kartaczy!
Dzisiaj młodość oddasz lochom,
jutro głowę wciśniesz w kask,
teraz perli się alkohol
— jutro zaś trujący gaz!
Gdy nas ściga śmierci fantom,
ciągnij na stół nową flaszę!
Czyńmy radość fabrykantom,
pijmy zdrowie śmierci naszej!”

Nie tak wielokształtne artystycznie, za to — zgodnie z właściwościami perspektywy epickiej — głęboko sondujące ówczesną rzeczywistość psychospołeczną, świadectwo problematyki alkoholu pozostawiła proza międzywojnia. Jednym z ważniejszych składników tego świadectwa jest pisarstwo Marii Dąbrowskiej, zwłaszcza cykl opowiadań „Ludzie stamtąd”, poświęcone — wedle słów samej autorki — „ostatnim ludziom świata”: „robotnikowi rolnemu i służbie dworskiej w ciężkich objawach ich życia”. Pisarka odsłania tu skalę upośledzenia cywilizacyjnego i socjalnego wsi folwarcznej, przekładając jednocześnie ogólne prawidłowości na tragizm jednostkowych losów, tragizm beznadziejnej walki o godność, chwilowe choćby szczęście, poczucie wspólnoty i ludzkiej solidarności. Opowiadanie „Szklane konie” mieści historię dramatu chłopca, który po swym zmarłym z przepicia ojcu przejmuje posadę dworskiego stangreta. Determinujący wpływ środowiska, a także nieco natu-

ralistycznie pojmowany przez pisarkę mechanizm dziedziczenia powodują, że chłopiec rychło wstępuje w ślady ojca. Bezskuteczne próby wyzwolenia się z nałogu rysują się tym dramatyczniej, że towarzyszą im nadzieje matki na lepszą przyszłość syna, nadzieje tak silne, że prowadzące do samooszukiwania się nawet wówczas, gdy los chłopca jest już przesądzony. Karczma, prymitywne, skojarzone z pijaństwem obrzędy ludowe, niedostępność innych niż alkohol sposobów spędzania nielicznych wolnych chwil stwarzają tak skuteczny system deprawacji, że nawet życzliwość i dobra wola otoczenia nie są w stanie odwrócić biegu rzeczy. Wałą się w gruzy wszystkie dążenia i plany chłopca, zaciera się współczucie dla cierpiącej z jego powodu matki — pozostaje tylko alkoholiczna obsesja, gorączkowe poszukiwanie sposobności do wypicia, poniżające próby ukrycia nałogu. Wreszcie następują deliryczne wizje na jawie, zwiastujące ostateczny upadek, choć wyrażające zarazem rys nie zagłuszonego do końca człowieczeństwa: szklane sześciorogie konie, wspinające się na gwiazdy. „Do tego chciał się dopić. To budziło w sercu skurcze szczęścia...”

Zbliżony w rysunku i w humanistycznej tendencji obraz nędznego bytowania prostych ludzi, nie znających innych niż wódka rozrywek i radości, przynosi „Sól ziemi” Józefa Wittlina, pacyfistyczna w duchu „powieść o cierpliwym piechurze”. Środowisko wiejskie jest też terenem podobnie zorientowanej penetracji literackiej Stanisława Piętaka i Jalu Kurka, a zwłaszcza Jana Wiktora, nieschematycznie i wnikliwie analizującego procesy modernizacyjne na wsi, ich blaski i cienie: proces wykorzenia kulturowego chłopów, demoralizującego i popychającego do alkoholu, ale i wynaturzony tradycjonalizm, uświęcający zwyczajowe pijatyki.

Swoich kronikarzy miały też w prozie międzywojennej prowincja i peryferie. Sposób kształtowania przez tę przestrzeń kulturową osobowości i losów wzrastających tam ludzi lapidarnie ujął Adam Ważyk: „Kto ssał z jej piersi prowincjonalnej, z mlekiem wysała alkohol.” Może najoryginalniejszy, a zarazem najbardziej drapieżny obraz prowincji zawarł w swej twórczości Emil Zegadłowicz, zwłaszcza z głośnych „Zmorach”. Nie wolny od manieri ekspresjonistycznej i od skandalizujących szczegółów, utwór ten ukazuje w krzywym zwierciadle różnorodne dewiacje moralne i obyczajowe wywołane przez izolację i gnuśność prowincjonalnego życia. W ich liczbie, obok wszechpotęgi biurokracji i ekscesów seksualnych, pojawia się również ściśle z nimi spleciony alkoholizm, efekt chybionych prób uwolnienia się od poczucia braku perspektyw życiowych, małościowości i miałości prowincjonalnej egzystencji.

Wielkomięskie przedmieścia doczekały się w dwudziestoleciu nawet grupy literackiej, której członkowie pod tym właśnie hasłem postanowili występować. Inicjatorami lewicowego „Przedmieścia” byli Helena Boguszevska i Jerzy Kornacki, których twórczość stanowiła też najbardziej ważki literacko-dorobek grupy. W zbiorze opowiadań „Przedmieście”, w powieściach „Jadą wozy z cegłą” czy „Wisła” z pietyzmem i skrupulatnością przedstawili oni ży-

cie robotników fabrycznych oraz zamieszkujących peryferie „luzaków” i wykojeńców. Wierność szczegółom nie płynie tu wyłącznie z chęci odmalowania lokalnego kolorytu, ale ma wyrazisty cel społeczny: unaocznia skalę nędzy tych środowisk, warunki życia, które niezależnie od woli jednostek spychają je na dno materialnej i moralnej vegetacji. Istotnym składnikiem tego „syndromu nędzy” jest alkohol, nie tylko pomnażający ubóstwo, ale też wyjąławiający wewnętrznie. Pozbawiając wrażliwości moralnej i skrupułów, pcha on ludzi do przestępstw, rodzi specyficzną podkulturę, sankcjonującą przemoc, brutalność, agresję. Nie tak demaskatorski i nasycony społecznikowską pasją, ale również tchnący autentyzmem obraz bytowania mieszkańców przedmieść, wraz z przejawami deprawującego oddziaływania tego środowiska, stworzyły w swych powieściach także Pola Gojawiczyńska i Wanda Melcer.

Literacką panoramę życia społecznego w międzywojennej Polsce uzupełniają powieści portretujące warstwy wyższe: elitę intelektualną, ziemiaństwo, bogatych przedsiębiorców, a także sfery rządowe. Znaczną wszechstronność w tej mierze prezentuje proza Zofii Nałkowskiej, która — choć skoncentrowana przede wszystkim na psychologii swych bohaterów — potrafiła, niejako mimochodem, odtworzyć właściwą tym sferom obyczajowość, tryb życia, codzienność, wraz z suto zakrapianymi kolacjami, wystawnymi przyjęciami przeradzającymi się w pijatyki etc. Satyryczną glossą do tego obrazu jest „Kariera Nikodema Dyzmy” Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, powieść, która na planie pomysłowej i żywej fabuły demaskuje birbanckie skłonności, utracuszość, egoizm — lekkomyślny, konsumpcyjny styl życia, nierzadki wśród najbardziej uprzywilejowanych kręgów społeczeństwa.

W pewnym sensie ten sam zespół zjawisk — tyle że widzianych jakby z przeciwnej strony, „od kuchni” — przedstawiają „Zakłète rewiry” Henryka Worcella. Powieść ta opisuje z dokumentalną wiernością wielkomiejskie „życie restauracyjne”, przy czym autor czerpał wiedzę o przedstawianej rzeczywistości z własnego doświadczenia: wieloletniej pracy w zawodzie kelnera. Na „rodzajowy” wymiar jego relacji składają się obserwacje dotyczące wyrafinowanych gustów gości co do ulubionych gatunków alkoholu czy zapisy wyszukanych ceremonii, towarzyszących konsumpcji niektórych trunków, nie mówiąc już o licznych scenach pijackich libacji. Na uwagę zasługuje też harmonijnie włączona w fabułę analiza mechanizmu rozpijania ludzi przez same restauracje: jego głównym czynnikiem sprawczym jest opłacalność wyszynku znacznie przewyższająca inne dochody restauratorów i kelnerów. Każe to im nakłaniać gości do picia raczej niż do jedzenia, i to w jak największych ilościach, również po to, by wykorzystywać następnie ich zamroczenie, manipulować uwalniającymi się wówczas skłonnościami, bezkarnie oszukiwać, fałszować serwowane trunki etc. Nie reba dodawać, że i sam personel tak działających lokali nie pozostaje długo obojętny na uroki alkoholu...

Relację Worcella, sugestywną i wiarygodną także dzięki nieobecności jakiegokolwiek jawnej tendencji dydaktycznej, warto może wzbogacić o świadectwo innej postaci restauracyjnej sceny — fordanserki z powieści Jalu Kurka „Grypa szaleje w Naprawie”: „Kiedy w dansingu poprawiła się frekwencja, otrzymywała po pięć złotych za noc oraz procent od wypitego alkoholu. Musiała więc siedzieć przy stoliku i pić. Pić jak najwięcej i zapraszać do picia partnerów. Słaba od przepicia, wylewała wódkę na kwiaty, do popielniczek, do wody sodowej; oczy mętniały, szła czym prędzej tańczyć, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Trzeba jednak zarabiać. (...) Oprócz dansingu oraz stolików w barze były i gabinety. Tam się piło już wino, czasem szampana, od którego niezdolnie bolała ją głowa. (...) Wszyscy byli wtedy pijani i mieli wargi mokre, a oczy chorobliwie wysadzone na wierzch. Działał obłęd opilczy, który czynił każdą namiętność zwierzęcą i wstrętą.”

Paradokmentalne opisy rozmaitych „barwnych” stron życia i „egzotycznych” środowisk, dokonywane przez samorodne talenty pisarskie stamtąd się właśnie wywodzące, były w dwudziestoleciu nader popularne: „Strachy” Marii Ukniewskiej o tancerkach kabaretowych, powieści Sergiusza Piaseckiego i Urke Nachalnika, resocjalizowanych kryminalistów, pisane po części w więzieniu — dostarczają obfitej dokumentacji wszechobecności alkoholu w życiu przestępców i „półświatka”.

Swoisty wymiar autentyku ma również „Wspólny pokój” Zbigniewa Uniłowskiego, międzywojenna wersja „powieści o artyście”. Oddajmy głos współczesnemu historykowi literatury: „Autentyzm «powieści z kluczem», przejrzyste kamouflujące sylwetki kolegów — członków grupy poetyckiej Kwadryga, turpistyczna brutalność inwentarza nędzy, niechłujstwa, obrzydliwości, były tyleż samooskarżeniem, co literackim wyzwaniem. (...) Ucieczki bohaterów Uniłowskiego w pijaństwo, mitomanię, erotyzm nie mają w sobie nic patetycznego, wzmagają tylko to odkształcenie, które w ich duszach powoduje pozbawiony perspektyw i wzniosłości, zmieniony status artysty w epoce kryzysu światowego. Nędza, alkoholizm, wyobcowanie inteligentów Uniłowskiego nie są inne niż w powieściach Przybyszewskiego (...) czy w «Próchnie» Berenta, ale zdegradowany już został młodopolski mit bohemy, artysty-kapłana wyniesionego ponad miałość filistrów. Sami mieszkańcy «wspólnego pokoju» niszczeni są od wewnątrz przez filisterstwo, płaskość i marazm, ich tęsknoty do niezwykłości są już tylko żałosne i paradyjne.”

Inną, dość szczególną, wersją „powieści o artyście” była proza Stanisława Ignacego Witkiewicza, również na swój sposób wykorzystującego wątki autobiograficzne. W „Pożegnaniu jesieni” i „Nienasyceń” — podobnie zresztą jak w dramatach Witkacego — osobny, groteskowo odkształcony świat katastroficznych wizji „niwelizmu” i „vie privé” ekscentrycznych postaci, praktykujących eksperymenty z „metafizycznym pępkiem” i intelektualne „kompowanie życia”, osadzone jest na podłożu karykaturalnie przedstawionych

„artystowskich” obyczajów, gdzie pośród „psychicznych perwersji” i ekscesów erotycznych, ryzykownych psychodram i kokainicznych „sztucznych rajów” czołowe miejsce zajmują nieprzytomne pijatki, często w stylu „popojki à la manière russe”. Pozostawiając na boku interpretację tych oryginalnych powieści (nb. przez samego Witkacego nie uznawanych za dzieła sztuki), dość stwierdzić, że choć trudno by im przypisywać jakąkolwiek tendencję satyryczną, to poprzez zniekształcającą soczewkę poetyki groteski odzwierciedlały na swój sposób ekstremalne przejawy stylu bycia niektórych kręgów elity intelektualno-artystycznej. W tej zaś mierze alkohol stanowi nieodłączny składnik życiowej praktyki tego środowiska, traktowany bez zbędnych emocji, z rutyną, a nawet poufałością, na jaką zasługuje zwyczajowy rys powszedności — czy chodziło o prostą śliwowicę, czy o „coraz to nowe kombinacje najrzadszych alkoholi świata”. Co więcej, jest on niezbędny jak powietrze, jak niezastąpione paliwo dla metafizycznych spekulacji, „rozmów istotnych” czy seksualnej brawury. Jako taki zaś spotyka się z pełną pietyzmu życzliwością, czego drobnym, choć znamionym przejawem są wielokrotnie ponawiane przez narratora próby tworzenia rodzimych odpowiedników dla obco brzmiącej terminologii pijackiej. Znane skądinąd słowotwórcze inklinacje Witkacego uwidoczniły się choćby w takiej oto liście zamienników drażniącego ucho, lecz nieuniknionego słowa „katzenjammer”: „pochmielje”, „popijackie darcie w duszy”, „popijnik”, „popijny sumieniobój”, „piciowyrzut”, „głatwa”, „glen”.

Ale i tak to literackie świadectwo ginęło w cieniu fantastycznych zgoła plotek (nie wygasłych zresztą do dziś) na temat alkoholizmu i narkomanii Witkacego. On sam zresztą starał się je nie tyle dementować, co sprowadzać do właściwych wymiarów. Twierdził co prawda, że lepiej skończyć „w pięknym szaleństwie niż w szarej, nudnej banalności”, lecz na początku lat trzydziestych wydał książkę pt. „Narkotyki”, w której przeprowadził energiczną kampanię przeciwko nikotynie, alkoholowi, kokainie, morfinie i innym używkom. Nie miejsce tu na referowanie tej publicystycznej czy wręcz naukowej (jeśli naukowe są eksperymenty przeprowadzane na samym sobie!) książki, przytoczę więc tylko jeden, wybrany na chybił-trafił, urywek: „Alkoholicy żyją zamiarami — przestają oceniać obiektywne wyniki swych własnych, pozorowanych wysiłków. Bo wysiłek jest pozorny i za każdym razem spuszczenia się na pomoc «przezroczystego płynu» osłabia się zdolność dokonania prawdziwego aktu woli, który stwarza podstawę do dalszego działania. Alkohol tę podstawę niszczy, przyzwyczajając nałogowca do zastępowania autentycznej woli przez protezę.” Tak cytować by można całe dwadzieścia stron! A w ogóle Witkacy zadeklarował się jako zwolennik całkowitej abstynencji i prohibicji!

Te zaskakujące sprzeczności i paradoksy twórczości i osoby Witkacego wydają się wiernie — choć symbolicznie — odzwierciedlać wewnętrzne napięcia

i metamorfozy, jakie były udziałem epoki międzywojennej. Rozpościera się ona bowiem między witalistycznym optymizmem a katastrofizmem, mistyfikacją a szczerością, realizmem a wizjonerstwem, legendą a dokumentem, ascezą a hedonizmem, społecznym zaangażowaniem a Nietzscheańskim „poza dobrem i złem”. Jeśli w tych antynomicznych równaniach jedną z wielu możliwych zmiennych uczynić problem alkoholu, okaże się, że ujawniła się w tym okresie większość zaświadczonych w całej dotychczasowej literaturze polskiej postaw wobec tego problemu, zarówno literackich, estetycznych, jak pozaliterackich: moralnych społecznych, światopoglądowych.

Opinia ta jest, rzecz jasna, pewną schematyzacją i przybliżeniem, choćby dlatego że historyczny kontekst literackiego świadectwa jest czynnikiem, którego nie sposób pominąć czy zlekceważyć, nie mówiąc już o tym, że dzieło sztuki nie poddaje się żadnym procedurom redukcijnym, zarówno gdy chodzi o sprowadzenie jego zawartości do pewnych modeli czy „typów idealnych”, jak wówczas, gdy waga czy żywotność problematyki skłaniałyby do koncentracji na czysto poznawczym wymiarze twórczości literackiej. Literatury bowiem nie wolno mylić z pedagogiką społeczną, choć obie te dziedziny, zachowując swą odrębność, mogą się czasem wspierać. Toteż literacki wizerunek „Bachusa w kontuszu” — i w innych strojach — to nie tylko, a może nawet nie przede wszystkim satyryczna figura piętnowanych przywar, narzędzie społecznej propagandy, ale artystyczne świadectwo — powtórzmy to raz jeszcze — historycznie zmiennego i zróżnicowanego stosunku człowieka do problemu alkoholu, jego roli w kulturze i obyczaju, a także motyw służący artykulacji szerszych postaw wobec świata, współtworzący osobne, imaginacyjne światy literatury.

Bibliografia

- Alkohol w kulturze i obyczaju, red. J. Górski i K. Moczarski, Warszawa 1972.
- Antologia literatury sowiżrzalskiej XVI i XVII wieku, oprac. S. Grzeszczuk, Wrocław 1966.
- B. Baranowski: Polska karczma. Restauracja. Kawiarnia, Warszawa 1979.
- A. Brückner: Dzieje kultury polskiej, t. 1-3, Warszawa 1957-1958.
- J. Burszta: Społeczeństwo i karczma. Propinacja, karczma i sprawa alkoholizmu w społeczeństwie polskim XIX wieku, Warszawa 1951.
- J. Burszta: Wieś i karczma. Rola karczmy w życiu wsi pańszczyźnianej, Warszawa 1950.
- J.S. Bystron: Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI-XVIII, Warszawa 1976.
- Cztery wieki fraszki polskiej, oprac. J. Tuwim, Warszawa 1957.
- J. Detko: Warszawa naturalistów, Warszawa 1980.
- J. Kamionka-Straszakowa: Nasz naród jak ława. Studia z literatury i obyczajów dobrego romanizmu, Warszawa 1974.
- J. Kitowicz: Opis obyczajów za panowania Augusta III, Wrocław 1951.
- W. Kotowski: Biała księga. Literaccy klasycy alkoholizmu, Ciechanów 1984.
- Księgi humoru polskiego, oprac. S. Czernik i in., t. 1-3, Łódź 1958-1965.
- Z. Kuchowicz: Obyczaje staropolskie XVII-XVIII wieku, Łódź 1975.
- Literatura mieszczańska w Polsce od końca XVI do końca XVII wieku, oprac. K. Budzyk i in., t.1-2, Warszawa 1954.
- Z. Libera: Życie literackie w Warszawie w czasach Stanisława Augusta, Warszawa, 1971.
- W. Łoziński: Życie polskie w dawnych wiekach, Kraków 1979.
- S. Milewski: Ciemne sprawy dawnych warszawiaków, Warszawa 1982.
- Satyra prawdę mówi... 1918-1939, oprac. Z. Mitzner i L. Pasternak, Warszawa 1963.
- M. Szczepaniak: Karczma, wieś, dwór, Warszawa 1977.
- J. Tuwim: Polski słownik pijacki i antologia bachiczna, Warszawa 1935.
- S. Wasylewski: Życie polskie w XIX wieku, Kraków 1962.
- T. Weiss: Cyganeria Młodej Polski, Kraków 1970.
- K. Wyka: Modernizm polski, Kraków 1968.

Spis treści

Wprowadzenie	5
Bachus w kontuszu: intronizacja	9
Bachus w kontuszu: panowanie	31
Bachus w kontuszu: schyłek	49
Pijani geniuszem	65
„Trzeźwi”?	77
Wizja lokalna w knajpie	89
W oparach absyntu	99
Niepodległość i wino	111
Bibliografia	125

